



JOHN GRISHAM

Theodore Boone

Aktywista

JOHN GRISHAM

Theodore Boone

Aktywista

Z angielskiego przełożył
LECH Z. ŻOŁĘDZIOWSKI



Spis treści

[Książki autora](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Propozycje wydawnicze](#)

[Przypisy](#)

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

FIRMA

KANCELARIA

ZAKLINACZ DESZCZU

KRÓL ODSZKODOWAŃ

WIĘZIENNY PRAWNIK

OSTATNI SPRAWIEDLIWY

CALICO JOE

KOMORA

DARUJMY SOBIE TE ŚWIĘTA

UŁASKAWIENIE

Jake Brigance

CZAS ZABIJANIA

SYCAMORE ROW

Theodore Boone

OSKARŻONY

AKTYWISTA

Wkrótce

RAPORT PELIKANA

NIEWINNY CZŁOWIEK

TRENER

APELACJA

BRACTWO

TESTAMENT

Tytuł oryginału:

THEODORE BOONE: THE ACTIVIST

Copyright © Boone & Boone LLC 2013

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros

A. Kuryłowicz 2014

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2014

Redakcja: Piotr Chojnacki

Zdjęcie na okładce: Andrey Yurlov/Shutterstock

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7885-839-3

(oprawa miękka)

ISBN 978-83-7885-840-9

(oprawa twarda)

Książka dostępna także jako audiobook i e-book (czyta Marcin Kwaśny)

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

tel. 691962519

skan i opracowanie wersji elektronicznej

lesiojot

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Rozdział 1

Stroną przeciwną w dzisiejszej debacie była drużyna Centralnej, „tej drugiej” szkoły średniej w mieście i odwiecznego rywala Gimnazjum Strattenburskiego. Gdy GS rozgrywało z Centralną mecz czy zawody w jakiegokolwiek dyscyplinie sportowej, zawziętość zawodników rosła, na widowni zasiadał większy tłum, a stawka meczu automatycznie się zwiększała. To samo dotyczyło potyczek pozasportowych. Przed miesiącem Dyskusyjny Klub Klas Ósmych GS uczestniczył w debacie w szczelnie wypełnionej auli Centralnej. Gdy jury ogłosiło zwycięstwo gości, widownia dała głośno wyraz swemu niezadowoleniu. Rozległy się nawet gwizdy i buczenie, zostały jednak szybko uciszone. Od uczestników międzyszkolnych potyczek wymagano odpowiedniego zachowania i sportowego ducha walki we wszystkich dyscyplinach.

Kapitanem drużyny GS był Theodore Boone, który poza tym pełnił też funkcję jej rzecznika, służył kolegom wsparciem w trudnych chwilach i zawsze prezentował końcowe stanowisko drużyny. Drużyna dowodzona przez Theo nigdy nie przegrywała, choć nie można jej było nazwać niepokonaną, ponieważ dwa miesiące wcześniej chłopcy zanotowali remis w zawziętej debacie z drużyną dziewcząt z ich własnego gimnazjum. Tematem dyskusji było podwyższenie granicy wieku dla uzyskania prawa jazdy z szesnastu do osiemnastu lat.

Ale w tej chwili Theo nie myślał o wcześniejszych debatach. Siedział na scenie przy składanym stoliku, z Aaronem po jednej stronie i Joeyem po drugiej. Chłopcy mieli na sobie marynarki i koszule z krawatami i prezentowali się bardzo sztywnie. Nie spuszczaali wzroku z drugiego

końca sceny, gdzie przy takim samym stoliku siedziała drużyna Centralnej. Pośrodku sceny stał pan Mount – doradca, mentor i przyjaciel Theo, który pełnił funkcję moderatora. Pan Mount wziął mikrofon i zapowiedział:

– Teraz w imieniu Gimnazjum Strattenburskiego zabierze głos Theo Boone, który zaprezentuje końcowe stanowisko swojej drużyny.

Theo popatrzył na publiczność. W pierwszym rzędzie siedział jego ojciec, matki – wziętej adwokat od spraw rozwodowych – niestety nie było na sali. Musiała zostać w sądzie i była niepokieszona, że nie obejrzy występu swojego jedynaka. W rzędzie za panem Boone'em rozsiadła się grupka dziewcząt, a wśród nich April Finne- more, jedna z najbliższych przyjaciółek Theo, a także ciesząca się największym powodzeniem ósmoklasistka Hallie Kershaw. Za dziewczętami usiadło kilka nauczycielek: pani Monique z Kamerunu, która uczyła hiszpańskiego i plasowała się na drugim miejscu prywatnego rankingu Theo na ulubionych nauczycieli (pierwszym oczywiście był pan Mount), pani Garman od geometrii i pani Everly od angielskiego, a nawet pani Gladwell, dyrektorka szkoły. W sumie całkiem niezłe grono jak na szkolną debatę. Gdyby chodziło o koszykówkę czy futbol, publiczności byłoby dwa razy więcej, ale w tamtych drużynach nie grało po trzech zawodników, i szczerze mówiąc, mecze zapewniały dużo więcej emocji niż debaty.

Theo starał się teraz o tym nie myśleć, choć nie przychodziło mu to łatwo. Był astmatykiem, co wykluczało udział w zawodach sportowych, i debaty dawały właściwie jedyną okazję do zaprezentowania się przed szerszym gronem. Cieszyło go, że większość kolegów panicznie boi się przemawiać publicznie, on zaś kochał to robić. Justin mógł całymi dniami kozłować piłkę do koszykówki i celnie rzucać za trzy punkty, ale gdy miał stanąć przed klasą i coś powiedzieć, zaczynał się jąkać i wstydzić niczym czterolatek. Brian był najszybszym trzynastoletnim pływakiem w całym Strattenburgu i chodził w glorii pewnego swej pozycji sportowca, ale postawiony przed gronem słuchaczy wiądnął jak kwiat wyjęty z wody.

Odwrotnie niż Theo, który rzadko zasiadał na boiskowej trybunie, by dopingować kolegów, za to spędzał dużo czasu w salach sądowych, z zachwytem obserwując potyczki prawników obu stron z ławami przysięgłych i sędziami. Wiedział, że pewnego dnia on też zostanie wybitnym prawnikiem i choć miał dopiero trzynaście lat, zdążył się już przekonać, jak ważna dla przyszłego sukcesu jest umiejętność przemawiania. A nie było to łatwe. Szczerze mówiąc, konieczność stanięcia na mównicy sprawiała, że żołądek podchodził mu do gardła, a serce waliło jak oszalałe. Czytał wiele wspomnień o wybitnych sportowcach, którzy przed wyjściem na boisko przeżywali ataki tremy niekiedy tak potężne, że aż wymiotowali. Theo nigdy nie miewał mdłości, ale czuł strach i niepewność. Stary, doświadczony prawnik powiedział mu kiedyś: „Gdybyś nie miał tremy, synu, toby to znaczyło, że z tobą jest coś nie tak”.

Theo niewątpliwie miał tremę, jednak z doświadczenia wiedział, że ten stan szybko mija i gdy przystąpi do działania, motylki w brzuchu przestaną trzepotać. Przejął mikrofon, spojrzął na pana Mounta i rzekł:

– Dziękuję, panie moderatorze. — Zwrócił się w stronę drużyny Centralnej, odchrząknął i raz jeszcze się napomniął, żeby mówić wolno i wyraźnie. – Pan Bledsoe ma dużo racji, zwłaszcza gdy mówi, że ktoś łamiący prawo nie może odnosić z tego korzyści. A także, że wielu młodych Amerykanów, których rodzice się tu urodzili, nie stać na pójście do college’u. Tych argumentów nie można zignorować.

Theo nabrał powietrza i omiół oczami widownię, unikając jednak kontaktu wzrokowego z kimkolwiek. Udział w debatach nauczył go paru sztuczek i jedną z nich było niepatrzenie nikomu prosto w oczy. Było to niebezpieczne, gdyż groziło utratą wątku. Zamiast tego Theo spoglądał na martwe przedmioty – puste krzesło po prawej, zegar na tylnej ścianie, okno po lewej – i stale przenosił wzrok z jednego miejsca w drugie. To pozwalało stworzyć wrażenie, że pilnie obserwuje reakcję publiczności i utrzymuje z

nią stały kontakt wzrokowy. Pomagało to też stwarzać pozory swobody w mówieniu, co zawsze robiło korzystne wrażenie na jurorach.

– Jednak dzieci nieudokumentowanych pracowników, kiedyś nazywanych nielegalnymi imigrantami, nie wybierają sobie miejsca urodzenia ani dorastania. Ich rodzice podjęli decyzję o nielegalnym przedostaniu się do Stanów Zjednoczonych i robili to zwykle z głodu i chęci znalezienia pracy. Nie można karać dzieci za decyzję ich rodziców. To niesprawiedliwe. W naszej szkole, a także w Centralnej i każdej innej szkole w naszym okręgu są uczniowie, których rodzice złamali prawo. Czyli też nie powinno ich tam być, a jednak są przyjmowani i akceptowani, nasz system oświaty ich kształci, a z wieloma się przyjaźnimy.

Był to bardzo gorący temat. W całym stanie trwała intensywna akcja propagandowa za wydaniem zakazu przyjmowania dzieci nieudokumentowanych pracowników do publicznych college'ow. Zwolennicy zakazu argumentowali, że po pierwsze, wielka liczba „nielegalów” w uczelniach nadmiernie obciążą system kształcenia uniwersyteckiego, a po drugie, pozbawi szans rodowitych Amerykanów, którym bez konkurencji ze strony „nielegalów” udałoby się zakwalifikować do college'u. Wreszcie na kształcenie „nielegalów” pójdą miliony dolarów z podatków płaconych przez prawdziwych Amerykanów. Drużyna Centralnej całkiem zgrabnie i przekonująco wykorzystała te argumenty w trakcie debaty.

– Prawo nakazuje – ciągnął Theo – by w ramach systemu oświaty obowiązującego w każdej placówce naszego stanu przyjmować i kształcić wszystkich w wieku szkolnym, bez względu na ich pochodzenie. Skoro władze stanowe mają obowiązek łożyć na pierwsze dwanaście lat nauki, dlaczego potem mają mieć prawo, by zatrząskiwać drzwi przed tymi, którzy chcą pójść dalej?

Theo miał przed sobą kartkę, ale ani razu na nią nie spojrział. Jurorzy kochali mówców niekorzystających ze ściąg i chłopak wiedział, że w ten

sposób zdobywa dodatkowe punkty. Wszyscy trzech rywale posługiwali się notatkami.

Zaczął wyliczać na palcach:

– Po pierwsze, to kwestia uczciwości. Wszyscy usłyszeliśmy od naszych rodziców, że powinniśmy pójść do college'u. To część amerykańskiego marzenia. Dlatego uchwalenie prawa, które wielu naszym kolegom i przyjaciołom uniemożliwi dalszą naukę, wydaje się nieuczciwe. – Wyprostował drugi palec. – Po drugie, konkurencja jest zawsze czymś dobrym. Pan Bledsoe twierdzi, że obywatele Stanów Zjednoczonych powinni mieć pierwszeństwo w przyjmowaniu do college'u, bo ich rodzice byli tu pierwsi, nawet jeśli niektórzy ustępują poziomem wiedzy dzieciom nieudokumentowanych pracowników. Czy nasze uczelnie nie powinny po prostu przyjmować najlepszych i nie interesować się niczym innym? W całym stanie mamy co roku około trzydziestu tysięcy miejsc dla rozpoczynających naukę w college'ach. Dlaczego przyznawać komuś specjalne względy? Jeśli nasze uczelnie będą zwyczajnie przyjmować najlepszych, czy nie staną się przez to lepsze i silniejsze? Oczywiście, że tak. Nikt nie powinien się dostać do college'u, jeśli jego kwalifikacje na to nie zasługują. Nikomu nie wolno odmawiać prawa do nauki z powodu miejsca urodzenia rodziców.

Pan Mount ze wszystkich sił starał się nie uśmiechać. Theo płynął na fali i czuł to. Zabarwił nawet głos śladowym tonem gniewu, nie robiąc tego jednak nazbyt dramatycznie. Nieco tylko zmienił intonację na znak, że to, co mówi, jest tak oczywiste, że właściwie nie ma o czym mówić. Pan Mount znał ten ton z wcześniejszych debat. Theo szykował się do zadania finałowego ciosu.

Wyciągnął trzeci palec.

– Po trzecie i ostatnie... – Mówca przerwał, zaczerpnął powietrza i potoczył wzrokiem po widowni tak, jakby jego następny argument był tak oczywisty, że nikt z obecnych nie może mieć cienia wątpliwości co do jego

prawdziwości. – Istnieje wiele kierunków studiów, których absolwenci mają większe możliwości, lepszą pracę i wyższe zarobki niż ludzie bez dyplomu wyższej uczelni. To dla nich punkt wyjścia do lepszego życia. A wyższe zarobki oznaczają wyższe dochody państwa z podatków, to zaś z kolei oznacza lepsze szkoły i uczelnie. Ci, którym odmówi się prawa do wyższego wykształcenia, mogą łatwo dołączyć do grona bezrobotnych, z czego rodzą się różnego rodzaju problemy.

Theo znów przerwał i powolnym ruchem sprawdził górny guzik swojej marynarki. Wiedział, że z guzikiem jest wszystko w porządku, ale chciał stworzyć wrażenie człowieka, który budzi najwyższe zaufanie.

– Na zakończenie chcę powiedzieć, że zatraskiwanie drzwi naszych uczelni przed uczniami, których rodzice przyjechali tu nielegalnie, nie jest słuszne i zostało odrzucone już w ponad dwudziestu stanach. To dlatego Departament Sprawiedliwości w Waszyngtonie zagroził wytoczeniem sprawy sądowej władzom naszego stanu, jeśli podejmą taką uchwałę. To postępowanie krótkowzroczne, nacechowane złą wolą i po prostu nie fair. Żyjemy w kraju wielkich możliwości i wszyscy nasi przodkowie przybyli tu kiedyś jako imigranci. Wszyscy jesteśmy narodem imigrantów. Dziękuję.

Theo wrócił na miejsce za stołem, a na środku sceny stanął pan Mount, który się uśmiechnął i pogodnym tonem powiedział:

– Nagródźmy obie drużyny gorącymi oklaskami.

Publiczność, którą wcześniej ostrzegano przed wyrażaniem zbyt głośnego uznania lub sprzeciwu, zareagowała ciepłym aplauzem.

– Zróbmy sobie teraz krótką przerwę – rzekł pan Mount. Theo, Aaron i Joey wstali z miejsc, podeszli do stołu drużyny Centralnej i uścisnęli dłonie swoim oponentom. Wszyscy poczuli ulgę, że mają to już za sobą. Theo skinął głową ojcu, a ten uniósł oba kciuki na znak, że chłopiec świetnie się spisał.

Po kilku minutach jury ogłosiło zwycięzcę.

Rozdział 2

Theo pozbył się marynarki i krawata, włożył kurtkę khaki i od razu poczuł się swobodniej, choć biała koszula nieco raziła zbytnią elegancją. Środowe lekcje się skończyły, wybrzmiał ostatni dzwonek i chłopak pomaszerował do szkolnej sali prób na zajęcia z muzyki. Kilku spotkanych po drodze ósmoklasistów pogratulowało mu kolejnego świetnego występu, Theo tylko skromnie się uśmiechnął, jakby nic wielkiego się nie wydarzyło, jednak w głębi serca był bardzo z siebie zadowolony. Ciesząc się kolejnym zwycięstwem, uważał, by nie dać nic po sobie poznać i nie wyjść na zarozumialca. „Niech nigdy sukces nie uderza ci do głowy – ostrzegł go kiedyś zaprzyjaźniony weteran bojów sądowych. – Zawsze może się okazać, że na następnej ławie przysięgłych połamiesz sobie zęby”. Lub poniesiesz klęskę w następnej debacie.

Przeszedł przez dużą aulę i wszedł do pokoju prób, gdzie kilkoro kolegów rozpakowywało instrumenty, szykując się do zajęć. Podszedł do April Finnemore, która właśnie oglądała swoje skrzypce.

– Świetna robota – powiedziała cicho. April rzadko mówiła na tyle głośno, by wszyscy mogli ją usłyszeć. – Byłeś najlepszy.

– Dzięki. I dziękuję, że byłaś. Publiczność była fajna.

– Będzie z ciebie superprawnik, Theo.

– Taki mam plan. Tylko nie bardzo wiem, jak muzyka do tego pasuje.

– Muzyka pasuje do wszystkiego.

– Skoro tak mówisz. – Otworzył duży futerał i ostrożnie wyjął wiolonczelę. April i jeszcze kilkoro uczniów grało na własnych

instrumentach, inni – w tym Theo – nie mając pewności, na ile starczy im zapasu, grali na instrumentach należących do szkoły. Theo zapisał się na lekcje muzyki za namową April, a także dlatego, że jego mama zachwyciła się myślą o synu instrumentalście.

A czemu właśnie wiolonczela? Theo nie tylko nie miał na to odpowiedzi, ale nawet nie pamiętał, co o tym zdecydowało. Do tego stopnia, że nie był nawet pewien, czy decyzję podjął sam, czy ktoś postanowił za niego. W orkiestrze smyczkowej gra kilka skrzypiec i altówek, duży kontrabas, co najmniej jedna wiolonczela i zwykle fortepian. Dziewczyny zdawały się preferować skrzypce i altówki, Drake Brown od razu zaklepał sobie kontrabas, natomiast nikt nie garnął się do wiolonczeli. Od pierwszego pociągnięcia smyczkiem Theo czuł, że nigdy w życiu nie nauczy się dobrze na niej grać.

Próby orkiestry zostały w ostatniej chwili dodane do sześciotygodniowego planu zajęć. Przeznaczono je dla początkujących, niegrających na żadnym instrumencie. Dla absolutnie początkujących i zupełnie zielonych w muzyce, uczniów mających w tej dziedzinie minimalną wiedzę i jeszcze mniejsze uzdolnienia. Theo pasował do tego opisu jak ulał, podobnie zresztą jak większość uczestników. Próby odbywały się raz w tygodniu, trwały godzinę i były traktowane na pełnym luzie. Głównie chodziło o dobrą zabawę i tylko przy okazji przemycano trochę nauki.

Dobłą zabawę zapewniał nauczyciel, pan Sasstrunk, nieduży zwawy człowieczek z długimi siwymi włosami, ruchliwymi piwnymi oczami, kilkoma nerwowymi tikami i wiecznie tą samą wypłowiałą marynarką z brązowego samodziału. Twierdził, że w trakcie swej długiej muzycznej kariery dyrygował wieloma orkiestrami, a przez ostatnie dziesięć lat uczył muzyki w college'u w Stratten. Odznaczał się wielkim poczuciem humoru i parsknął śmiechem, gdy któryś z podopiecznych popełnił błąd, co zdarzało się niemal bez przerwy. Twierdził, że jego zadaniem jest umożliwienie im

pierwszego kontaktu z muzyką, wstępne jej liźnięcie. I że nawet nie marzy o zrobieniu z nich prawdziwych muzyków.

– Po prostu spróbujemy poznać kilka podstawowych zasad, kochani, i zobaczymy, co z tego wyniknie – mawiał co tydzień.

Po czterech godzinnych lekcjach uczniowie nie tylko polubili zajęcia, ale zaczęli dużo poważniej podchodzić do muzyki.

Wszystko to jednak miało się wkrótce zmienić.

Pan Sasstrunk spóźnił się dziesięć minut i gdy w końcu wszedł do sali prób, wyglądał na przygnębionego, a jego twarzy nie rozjaśnił zwyczajowy powitalny uśmiech. Przez chwilę patrzył na uczniów, jakby nie bardzo wiedział, jak zacząć.

– Właśnie wracam od pani dyrektor – powiedział w końcu. – Wygląda na to, że zostałem wyrzucony.

Kilkanaścioro obecnych w sali uczniów niepewnie spojrzało po sobie. Pan Sasstrunk miał taką minę, jakby był bliski płaczu.

– Jak mi oznajmiła pani dyrektor – podjął na nowo – szkoły publiczne muszą zacisnąć pasa ze względów budżetowych. Wygląda na to, że w kasie miejskiej jest mniej pieniędzy, niż zakładano, i w rezultacie szkoły muszą zrezygnować z szeregu mniej istotnych zajęć i programów edukacyjnych, i to ze skutkiem natychmiastowym. Przykro mi, kochani, ale nasze zajęcia zostały skreślone z programu. Koniec.

Wszyscy byli zbyt oszołomieni wiadomością, by cokolwiek powiedzieć. Nie było im żal tylko zajęć, które zdążyli polubić, ale również pana Sasstrunka. Podczas którejś próby zażartował, że skromną pensyjkę ze szkoły odkłada na uzupełnienie swojej kolekcji kompaktów z dziełami wielkich kompozytorów.

– To chyba nie fair – odezwał się Drake Brown. – Po co zaczynają zajęcia, jak potem z nich rezygnują?

Pan Sasstrunk nie miał na to odpowiedzi.

– Będziecie musieli spytać o to kogoś innego – powiedział tylko.

– Nie ma pan umowy o pracę? – spytał Theo, zaraz jednak pożałował swoich słów. To, czy pan Sasstrunk miał umowę o pracę, czy nie, nie powinno go obchodzić. Wiedział jednak, że każdy nauczyciel zatrudniony w publicznej szkole miejskiej podpisuje roczną umowę o pracę. Mówił o tym pan Mount na lekcji WOS-u.

Panu Sasstrunkowi udało się jednocześnie prychnąć i uśmiechnąć.

– Pewnie, że mam – odparł – tylko niewiele mi to pomoże. W umowie jest wyraźnie napisane, że szkoła z ważnych przyczyn może w każdej chwili zrezygnować z zajęć. To dość typowy zapis.

– Czyli to żadna umowa – mruknął Theo.

– Niestety. Przykro mi, kochani. Kończymy nasze lekcje. Bardzo was polubiłem i życzę wam wszystkiego najlepszego. Część z was ma muzyczne uzdolnienia, część nie, ale jak już mówiłem, każde z was, o ile tylko odpowiednio się przyłoży i będzie wystarczająco dużo ćwiczyć, może nauczyć się grać. Pamiętajcie, że ćwiczenie czyni mistrza. Powodzenia. – Pan Sasstrunk smutno się uśmiechnął i wyszedł z pokoju.

Drzwi się zamknęły i w salce zapadła cisza. Uczniowie patrzyli po sobie w niemym osłupieniu. Pierwsza odezwała się April.

– Theo, zrób coś. To przecież nie w porządku.

– Chodźmy do pani dyrektor – powiedział Theo, wstając. – Wszyscy, jak tu jesteśmy. Wpakujemy się jej do gabinetu i nie wyjdziemy, póki z nami nie porozmawia.

– Świetny pomysł.

Wyszli z salki prób, przeszli przez aulę i zwartą grupą pomaszerowali korytarzem i przez dziedziniec. Weszli do głównego skrzydła, przeszli długim korytarzem i dotarli do holu przy frontowym wejściu. Wkroczyli do sekretariatu pani Gladwell i stanęli przy biurku panny Glorii, szkolnej sekretarki, której jednym z obowiązków było strzeżenie dostępu do

gabinetu dyrektorki. Theo znał pannę Glorię i kiedyś nawet udzielił jej porady prawnej w sprawie brata, którego policja przyłapała na jeździe po alkoholu.

– Dzień dobry – burknęła panna Gloria, mierząc ich wzrokiem znad okularów zsuniętych na czubek nosa. Akurat pisała coś na klawiaturze i nagłe wtargnięcie gromady rozzłoszczonych ósmoklasistów chyba ją trochę zirytowało.

– Witamy, panno Glorio – powiedział Theo. – Chcielibyśmy zobaczyć się z panią dyrektorką.

– A o co chodzi?

Typowe zachowanie panny Glorii. Zawsze musiała we wszystko wtykać nos i wiedzieć, z czym przychodzi się do dyrektorki. Miała opinię najbardziej wścibskiej osoby w szkole. Theo wiedział z doświadczenia, że sekretarka prędzej czy później i tak o wszystkim się dowie, więc nawet nie próbował zmyślać.

– Mieliśmy zajęcia z muzyki z panem Sasstrunkiem – wyjaśnił spokojnie. – Który właśnie został wyrzucony z pracy. Chcemy porozmawiać o tym z panią dyrektorką.

Brwi panny Glorii podjechały tak wysoko, jakby Theo zmyślał jakieś niedorzeczności.

– Pani dyrektorka ma teraz bardzo ważne spotkanie – poinformowała, wskazując głową drzwi gabinetu, które jak zwykle były zamknięte. Theo zdarzało się wielokrotnie przez nie wchodzić, zwykle w miłych okolicznościach, choć zdarzały się też mniej przyjemne powody. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu uczestniczył w bójce, jego pierwszej od trzeciej klasy, i został wtedy wezwany przez panią dyrektorką na dywanik.

– Poczekamy – rzucił krótko.

– Jest bardzo zajęta.

– Zawsze jest zajęta. Proszę ją tylko powiadomić, że czekamy.

– Nie mogę jej przeszkadzać.

– W porządku, to poczekamy. – Theo rozejrzał się po przestronnym sekretariacie. W części wydzielonej na poczekalnię stały dwie ławki i kilka steranych wiekiem krzeseł. – Nigdzie się stąd nie ruszymy. – Jak na dany znak wszyscy odsunęli się od biurka i rozsiedli na ławkach i krzesłach. Ci, dla których zabrakło miejsca, po prostu usiedli na podłodze.

Panna Gloria słynęła z napadów złego humoru i chyba właśnie padła ofiarą jednego z nich. Złościło ją, że w jej sekretariacie panoszy się zgraja naburmuszonych uczniów.

– Theo – prychnęła. – Proponuję, żebyście poczekali w holu.

– A dlaczego nie tu? – odwarknął Theo.

– Powiedziałam, że macie poczekać w holu – powtórzyła panna Gloria podniesionym głosem. Była już naprawdę zła.

– Kto powiedział, że nie wolno nam czekać w sekretariacie?

Twarz panny Glorii zrobiła się sinoczerwona, wyglądając, jakby za chwilę miała eksplodować. Na szczęście się opanowała, ugryzła w język i głęboko westchnęła. Nie miała prawa wyrzucać uczniów z sekretariatu i zdawała sobie sprawę, że Theo o tym wie. Wiedziała też, że rodzice Theo są powszechnie szanowanymi prawnikami i nie wahają się stawać w obronie syna przed dorosłymi, gdy rację ma on, a nie oni. Szczególnie pani Boone była znana ze zdecydowanej postawy, gdy Theo spotykał się z jakąś niesprawiedliwością.

– Proszę bardzo – burknęła. – Tylko zachowujcie się cicho. Mam pracę do zrobienia.

– Dzięki – kiwnął głową Theo. Miał ochotę złośliwie dodać, że dotąd nie wydali z siebie ani jednego dźwięku, ale dał spokój. Zwyciężył w krótkiej potyczce z panną Gloria i nie było sensu jeszcze bardziej zaognić sytuacji.

Przez pięć minut obserwowali w milczeniu, jak sekretarka stara się sprawiać wrażenie zapracowanej, było już jednak po czwartej i od pół

godziny w szkole nie było nikogo. Dzień pracy szybko dobiegał końca. Po pewnym czasie drzwi pani Gladwell otworzyły się i z gabinetu wyszło dwoje młodych rodziców. Niemal nie zwracając uwagi na Theo i jego grupę, pośpiesznie opuścili sekretariat. Po ich minach było widać, że spotkanie z panią dyrektor nie przebiegło po ich myśli. Pani Gladwell wyszła do sekretariatu, spojrzała na czekającą gromadę i z uśmiechem powiedziała:

– Theo, świetnie się dziś sprawiłeś w debacie.

– Dziękuję.

– Co tu się dzieje?

– Wszyscy chodziliśmy na zajęcia pana Sasstrunka, więc chcielibyśmy się dowiedzieć, dlaczego zostały odwołane.

Pani Gladwell westchnęła, uśmiechnęła się i spokojnym tonem oświadczyła:

– Nie powiem, żebym była bardzo zdziwiona. Proszę, wejdźcie. – Gromadka uczniów weszła gęsiego do gabinetu. Idący na końcu Theo przed zamknięciem drzwi nie odmówił sobie triumfalnego zerknięcia na pannę Glorię. Musiał jednak uczciwie przyznać, że zareagowała na to pogodnym uśmiechem.

W gabinecie wszyscy ustawili się rzędkiem przed biurkiem dyrektorki. Dla gości znajdowały się tu tylko trzy krzesła i nikt nie odważył się usiąść. Rozumiejąc to, pani Gladwell nawet nie próbowała ich namawiać.

– Dziękuję, że wpadliście – powiedziała i biorąc do ręki jakiś papier, dodała: – Jest mi bardzo przykro z powodu lekcji muzyki. Dostałam to dziś rano z kuratorium. Pismo podpisał pan Otis McCord, główny kurator i mój zwierzchnik. W wydziale oświaty odbyło się wczoraj nadzwyczajne posiedzenie, na którym omówiono sytuację finansową. Wygląda na to, że na oświatę w Strattenburgu dostaniemy w tym roku o milion dolarów mniej, niż nam obiecywano z budżetów miasta, okręgu i stanu. Wszystkie trzy

składają się na nasz budżet oświatowy i z różnych powodów kwoty przeznaczone na ten cel zostały obcięte. Dlatego my też musimy poczynić oszczędności. W całym mieście zwalniani są nauczyciele zatrudnieni na umowy- zlecenia. Odwoływane są wyjazdy w teren. Likwiduje się dodatkowe zajęcia, takie jak lekcje muzyki pana Sasstrunka. Lista wprowadzanych oszczędności jest dużo dłuższa. To bardzo smutne, ale nie mam na to żadnego wpływu.

Pani Gladwell miała dar mówienia o wszystkim jasno i bez ogródek. Chłonąc każde jej słowo, uczniowie zaczęli rozumieć, że nic w tej sprawie nie mogą zrobić.

– A co się stało z tymi pieniędzmi? – spytał Theo.

– To trudne pytanie. Niektórzy szukają przyczyn w recesji i spowolnieniu krajowej gospodarki. Wpływy z podatków drastycznie zmalały i na wiele rzeczy brakuje pieniędzy. Inni uważają, że system oświatowy jest zbyt rozrzutny, zwłaszcza po stronie wydziału oświaty. Tak naprawdę, sama nie wiem. Ale muszę stosować się do poleceń. Poza panem od muzyki muszę też zwolnić jednego woźnego, dwie pracownice stołówki i czterech instruktorów sportowych, a także rozwiązać sześć innych grup pozalekcyjnych. Właśnie poinformowałam pana Pearce’a, że w tym roku jego kółko naukowe klas siódmych będzie musiało zrezygnować z dorocznej wycieczki do elektrowni atomowej w Rustenburgu.

– Straszne – jęknęła Susan. – To taka wspaniała wycieczka.

– Wiem, wiem. Pan Pearce od lat ją organizuje.

– Ale to nie fair podpisywać z kimś umowę, dawać mu obietnicę zatrudnienia, a potem w pół drogi się wycofywać – rzekł Theo.

– Tak, Theo, to nie fair. Ale nie ja decyduję o podpisywaniu i anulowaniu umów. Zajmuje się tym dział prawny urzędu gminy.

Brutalna prawda zaczynała do nich docierać i kilkoro uczniów popatrzyło po sobie ze smutkiem.

– Jest mi bardzo przykro – ciągnęła pani Gladwell. – Bardzo bym chciała móc coś zrobić, ale to wszystko dzieje się poza mną. Nie wątpię, że kuratorium i pan McCord usłyszą wiele gorzkich słów w tej sprawie i nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście i wy się w to włączyli. – Umilkła i w gabinecie zapadła długa cisza. – Jeśli to wszystko, musimy się pożegnać, bo czeka mnie następne spotkanie.

– Dziękujemy, że nas pani wysłuchała – powiedział Theo.

– To mój obowiązek.

W poczuciu poniesionej porażki uczniowie w posępnym milczeniu opuścili gabinet.

Rozdział 3

Rodzice Theo jeszcze przed jego przyjściem na świat założyli niewielką firmę prawniczą Boone & Boone. Jej biura mieściły się w adaptowanym domu mieszkalnym, jednym z wielu podobnie wykorzystywanych przy cichej zadrzewionej uliczce kilka przecznic od Main Street, w centrum Strattenburga. Przy ładnej pogodzie gromady prawników z teczkami ciągnęły Park Street do budynku sądu, od którego dzieliło ich jakieś dziesięć minut spaceru. Podczas przerwy obiadowej na ulicę wylęgały tłumy prawników, księgowych i architektów, którzy rozmawiając i przerzucając się żartami, ruszali ku swym ulubionym knajpkom. Sekretarki i asystenci z kancelarii prawniczych często korzystali z tej okazji, by podrzucić pilne pisma do innych biur czy do sądu.

W tym rejonie, a zwłaszcza na samej Park Street, dzieci na rowerach nie były zbyt częstym widokiem. Wyjątek stanowił Theo, który codziennie po szkole jechał tędy do biura.

O ile wiedział, był jedynym trzynastolatkiem w mieście z własnym biurem. Biuro nie wyglądało zbyt imponująco i sprowadzało się do ciasnej klatki na tyłach domu mieszczącego firmę rodziców, ale pokój miał oddzielne wejście z małego, wysypanego żwirem parkingu za domem, z którego korzystali rodzice Theo, pozostali pracownicy firmy i ich goście. W kancelariach prawniczych zawsze brakuje miejsca, bo prawnicy nie potrafią się zdobyć, by cokolwiek wyrzucić (a produkują tony papierzysk), więc pokój był niegdyś archiwum starych spraw, a także magazynkiem na środki czystości. Theo po wprowadzeniu się opróżnił go ze zbędnych rupieci i wstawił stary stolik do kart w roli biurka. Na strychu znalazł połamane

obrotowe krzesło, które za pomocą drutu i superkleju doprowadził do stanu używalności. Na jednej ścianie powiesił plakat reklamujący jego ukochaną drużynę Minnesota Twins, na drugiej umieścił swój rysunkowy portret, który dostał w prezencie od April Finnemore na dwunaste urodziny.

Na biurku trzymał zeszyty i przybory szkolne, pod biurkiem zwykle leżał Asesor, jego ukochany pies. Nikt nie znał dokładnego wieku Asesora ani jego pochodzenia poza tym, że trafił do miejskiego psiego aresztu i w pewnej chwili od uśpienia dzieliła go tylko jedna doba. Dwa lata temu Theo uratował mu życie w Sądzie do spraw Zwierząt, nadał nowe imię i zabrał z sobą do domu, gdzie pies spokojnie ułożył się do snu pod łóżkiem chłopca. Asesor spędzał dni, włączając się leniwie po pomieszczeniach biurowych Boone & Boone, drzemiąc na małym posłaniu pod biurkiem Elsy w głównym holu, pod dużym stołem konferencyjnym, gdy nikt z niego nie korzystał, lub leżąc na podłodze w kuchni w nadziei, że ktoś rzuci mu coś do jedzenia. Asesor ważył prawie dwadzieścia kilogramów i choć odżywiał się ludzkim jedzeniem, opiekujący się nim weterynarz stwierdzał, że ani trochę nie przybiera na wadze. Pies preferował słone chrupki – chipsy, paluszki i krakersy, ale nie gardził też kanapkami z wędliną. Tak naprawdę nie gardził żadnym jedzeniem, a z okazji urodzin liczył na kawałek tortu. Jeśli ktoś z biura – zwykle Theo – wyskakiwał do łodziami < ruffa, Asesor też się spodziewał przekąski, najchętniej mrożonego waniliowego jogurtu. Ponadto Asesor był chyba jedynym członkiem personelu kancelarii Boone & Boone, który ze smakiem chrupał okropne owsiane ciasteczka co najmniej raz w miesiącu pieczone i przynoszone do biura przez Dorothy, osobistą sekretarkę pani Boone.

Z rzeczy jadalnych Asesor właściwie nie lubił tylko psiej karmy. Wolał jeść to, co Theo, czyli chrupki Cheerios z pełnym – broń Boże chudym! – mlekiem na śniadanie oraz to, co rodzina jadła wieczorem na kolację. Do tego przegryzki wybrane w biurze w czasie, gdy Theo był w szkole.

Żyjąc w środowisku prawników, Asesor wiedział, jak ważny jest czas. Umówieni klienci, konferencje, terminy sądowe, spotkania, harmonogramy powodowały, że pracownicy kancelarii wciąż zerkali na zegarki i to zegar zdawał się o wszystkim decydować. Asesor posługiwał się własnym zegarem, który mu mówił, że w środy – jak zresztą w większość pozostałych dni tygodnia – Theo wraca ze szkoły około czwartej po południu. Dlatego już o wpół do czwartej układał się pod biurkiem Elsy i spokojnie usypiał. Był to jednak psi sen, niezbyt głęboki, a właściwie lekka drzemka z niedomkniętymi do końca oczami i uszami nasłuchującymi kroków Theo i brzęku ustawianego na ganku roweru.

Usłyszawszy wyczekiwane dźwięki, Asesor podniósł się i przeciągnął tak, jakby od wielu godzin drętwiał w bezruchu, po czym wylazł spod biurka i zaczął czekać.

Theo wszedł do holu z plecakiem przerzuconym przez ramię i jak zawsze rzucił przyjazne „Cześć, Elso”. Elsa zerwała się z fotela, uszczypnęła go w policzek i spytała, jak mu minął dzień. „W porządku”, odrzekł jak zwykle. Elsa poprawiła chłopcu przypinany na guziczki kołnierzyk koszuli i oznajmiła:

– Ojciec powiedział, że świetnie się spisałeś w czasie debaty. Tak było?

– Chyba tak. W każdym razie wygraliśmy. – Asesor kręcił mu się przy nogach, machając ogonem i domagając się pieśczości i powitania.

– Bardzo elegancko wyglądasz w prawdziwej koszuli – powiedziała Elsa. Theo spodziewał się tego, bo Elsa na powitanie zwykle musiała skomentować jego wygląd. Była starsza od jego rodziców, ale ubierała się jak dwudziestolatka z pokręconym gustem. Pełniła też funkcję babci Theo i zajmowała w jego życiu bardzo ważne miejsce.

Theo przywitał się z psem, poklepał go po głowie i spytał:

– Mama w biurze?

– Jest i czeka na ciebie! – radośnie wykrzyknęła Elsa. Starsza pani tryskała niebywałą wprost energią. – I jest jej bardzo przykro, że nie dotarła na debatę.

– Nic się nie stało. Przecież też ma swoją pracę.

– Tak, wiem. W kuchni są pekanowe ciasteczka.

– Kto je upiekł?

– Dziewczyna Vince’a.

Theo kiwnął z aprobatą głową i ruszył przez hol w stronę gabinetu mamy. Drzwi były uchylone i mama gestem ręki przywołała go do siebie. Chłopak usiadł przed jej biurkiem, Asesor ułożył mu się przy nogach. Pani Boone trzymała przy uchu telefon i słuchała czyjejś tyrady. Jej szpilki leżały na podłodze, co świadczyło o wielogodzinnym przebywaniu w sądzie. Marcella Boone miała czterdzieści siedem lat, była starsza od większości matek kolegów szkolnych Theo i uważała, że prawniczki w sądzie mają obowiązek wyglądać elegancko. Do biura zwykle ubierała się swobodniej, jednak na wizytę w sądzie szpilki były obowiązkowe.

Pan Boone, którego gabinet znajdował się na piętrze, rzadko bywał w sądzie, a jeszcze rzadziej zwracał uwagę na swój wygląd.

– Gratuluję – powiedziała pani Boone, odkładając słuchawkę. – Tata mi powiedział, że świetnie wypadłeś. Przepraszam, że nie mogłam być.

Jeszcze chwilę pogawędzili o debacie i Theo powtórzył trafne argumenty Centralnej i kontrargumenty jego drużyny. Pani Boone szybko wyczuła jednak, że coś jest nie tak. Chłopca często zdumiewało, jak matka potrafi wyczuć, kiedy coś go gryzie. Z tych samych względów większość jego kawałów czy prób nabrania jej paliła na panewce. Wystarczyło, że popatrzyła mu w oczy i od razu wiedziała, że coś kombinuje.

– Co się dzieje, Theo? – spytała.

– No cóż, możesz zapomnieć o mojej karierze muzycznej – zaczął, po czym opowiedział o wycofaniu się szkoły z lekcji muzyki. – To takie

niesprawiedliwe. Pan Sass- trunk to taki fajny nauczyciel. Żył tymi lekcjami, a poza tym myślę, że potrzebował tych dodatkowych pieniędzy.

– To okropne, Theo.

– Poszliśmy z tym do pani Gladwell, a ona powiedziała, że to wydział oświaty zarządził oszczędności. Będzie musiała pozwalniać trenerów, woźnych, personel stołówki. To naprawdę okropne, a ona nie może nic w tej sprawie zrobić. Powiedziała, że możemy złożyć skargę w kuratorium, ale jeśli w kasie brakuje pieniędzy, to brakuje i koniec.

Pani Boone obróciła się z fotelem do niewielkiej szafki na dokumenty i zaczęła czegoś w niej szukać. Gdy pan Boone szukał czegoś w swoim gabinecie, grzebał po omacku w stercie papierów na biurku. Teczki z dokumentami leżały również pod biurkiem, koło biurka, a zdarzało się też, że pojedyncze kartki wysuwały się z teczek i zalegały luzem na podłodze. Gabinet pani Boone był bardzo nowoczesny, dobrze zorganizowany i wszystko leżało na swoim miejscu. Pokój pana Boone'a był stary, zagracony i pełen niepotrzebnych szpargałów. Mimo to – Theo był wielokrotnie tego świadkiem – ojciec potrafił znaleźć szukany dokument niemal równie szybko jak mama.

Odwróciła się do biurka, trzymając w ręce teczkę z aktami.

– Ta klientka przyszła do mnie w zeszłym tygodniu w sprawie rozwodu. Bardzo smutna historia. Ma dwadzieścia cztery lata, małe dziecko i drugie w drodze. Nie pracuje, bo cały czas poświęca dziecku. Mąż jest początkującym policjantem i wszyscy troje żyją tylko z jego pensji. Ledwo wiązą koniec z końcem i nie ma mowy, żeby było ich stać na prowadzenie dwóch domów. Zasugerowałam wizytę w poradni małżeńskiej i podjęcie próby ułożenia sobie życia w ich związku. Zadzwoiła do mnie wczoraj z informacją, że mąż właśnie dostał wypowiedzenie. Burmistrz polecił wszystkim podległym sobie służbom, by obcięły wydatki o pięć procent. Mamy w mieście sześćdziesięciu policjantów, więc to oznacza, że trzech z nich straci pracę. Mąż mojej klientki jest jednym z tej trójki.

– I co ona teraz robi? – spytał Theo.

– Będzie musiała jakoś sobie radzić. Wszystko to jest bardzo smutne. Powiedziała, że wydaje jej się, jakby jeszcze wczoraj była w liceum i marzyła o pójściu do college’u i zrobieniu kariery. A teraz jest przerażona i nie wie, co z nią będzie jutro.

– Poszła w końcu do college’u?

– Próbowała, ale obcięto jej pomoc finansową.

– Wszędzie cięcia. Co się dzieje, mamo?

– Gospodarka raz rośnie, raz się kurczy. Jak jest dobra koniunktura, to ludzie więcej zarabiają i więcej wydają, dzięki czemu do budżetu wpływa więcej pieniędzy z podatków. Więcej w postaci podatku od sprzedaży, od nieruchomości, od...

– Nie bardzo rozumiem podatek od nieruchomości.

– Już ci tłumaczę. To bardzo proste. Tatuś i ja jesteśmy właścicielami tego budynku, czyli nieruchomości. Nieruchomościami nazywa się budynki i ziemię, natomiast samochody, łodzie, motocykle czy ciężarówki zaliczają się do majątku ruchomego. Od nich też się płaci podatki, ale wróćmy do budynku. Jego obecną wartość ocenia się na czterysta tysięcy dolarów, a to dużo więcej, niż zapłaciliśmy za niego wiele lat temu. Po dokonaniu wyceny nieruchomości przez władze miejskie służby finansowe wymierzają od niej podatek. W zeszłym roku wynosił on blisko jeden procent, co oznaczało podatek od nieruchomości w wysokości czterech tysięcy dolarów rocznie. To samo dotyczy naszego domu, tyle że domy mieszkalne są opodatkowane nieco niżej. Jeśli chodzi o majątek ruchomy, to stanowią go nasze dwa samochody, a podatek od nich wyniósł około tysiąca dolarów. W sumie w zeszłym roku wpłaciliśmy do kasy miejskiej około siedmiu tysięcy dolarów w postaci podatków.

– I co się dzieje z tymi pieniędzmi?

– Najwięcej idzie na szkoły, ale z naszych podatków opłacają również straż pożarną i policję, szpitale, zakładanie i konserwację parków i placów zabaw, remonty ulic, wywóz śmieci. Lista potrzeb jest bardzo długa.

– Macie wpływ na to, jak te pieniądze są wydawane?

Pani Boone się uśmiechnęła i zastanowiła przez chwilę.

– Może trochę. Na pewno nie bezpośrednio, ale to my wybieramy burmistrza i radnych, którzy teoretycznie powinni nas słuchać. Ale w praktyce po prostu płacimy, bo nie mamy wyboru, i możemy mieć tylko nadzieję, że nasze pieniądze zostaną rozsądnie wydane.

– Lubisz płacić podatki?

Pani Boone znów się uśmiechnęła, tym razem z naiwności syna.

– Theo, nikt nie lubi płacić podatków, ale jednocześnie wszyscy chcą mieć jak najlepsze szkoły, najlepiej wyszkolonych strażaków i policjantów, piękne parki, najlepsze szpitale i tak dalej.

– Myślę, że siedem tysięcy dolarów rocznie to nie tak strasznie dużo.

– Theo, to siedem tysięcy dolarów tylko do budżetu miasta. Płacimy też podatki władzom okręgowym, stanowym i Wujowi Samowi w Waszyngtonie. A ponieważ gospodarka przechodzi załamanie, na wszystkich poziomach budżetowych robione są oszczędności. To nie dzieje się tylko u nas w Strattenburgu.

– To znaczy, że wszędzie jest tak źle?

– Bywało gorzej. Jak już mówiłam, raz jest gorzej, raz lepiej. Tyle że zawsze odczuwa się to boleśniej, gdy dotyka kogoś znajomego, jak twojego pana Sasstrunka czy mojej młodej klientki. Kiedy nasi znajomi tracą pracę, sprawa od razu nabiera wagi.

– Czy to załamanie gospodarki dotyczy też dobrej starej firmy Boone i Boone?

– O tak, zwłaszcza działki twojego taty. Jeśli ludzie przestają kupować domy i budować nowe, cały handel nieruchomościami podupada. Ale nie

ma się czym przejmować, Theo. Już nieraz przez to przeszliśmy.

– Ale to takie niesprawiedliwe.

– To prawda, tyle że nikt nie powiedział, że życie ma być sprawiedliwe.

Zadzwoił telefon wewnętrzny. Dzwoniła Elsa.

– Muszę odebrać – powiedziała pani Boone. – Myślę, że tata chętnie cię zobaczy.

– Dobra, mam. Co dziś na kolację?

Ale dowcip! Była środa, a w środę zawsze jedli chiń- szczyznę na wynos ze Złotego Smoka. Pani Boone była zbyt zajęta, by przesiadywać w kuchni.

– Mam dziś ochotę na słodko-kwaśne krewetki.

– Dla mnie bomba – ucieszył się Theo. Wstał z krzesła, Asesor podniósł się z podłogi i razem wyszli z gabinetu.

Rozdział 4

Theo w ostatniej chwili zmienił zdanie i zamiast słodko-kwaśnych krewetek poprosił o wołowinę na chrupko. Był to jeden z przysmaków Asesora. Ojciec pojechał po jedzenie i punktualnie o siódmej wszyscy zasiedli w salonie z tacami na kolanach, gotowi do uczyty. Pan Boone pobłogosławił jedzenie swoim zwyczajowym „Bogu niechaj będą dzięki” i wszyscy zabrali się do jedzenia. Asesor jak zwykle usiadł przy Theo, cierpliwie czekając na swoją kolej.

Zawiadywanie pilotem telewizora przypadło pani Boone. Po długotrwałych wojnach kilka miesięcy temu w domu doszło do zawieszenia broni i zawarcia porozumienia, w wyniku którego władza nad pilotem w kolejne środy przypadała rotacyjnie jednemu z członków rodziny. Po przełknięciu dwóch kęsów krewetek z ryżem i wygłoszeniu kilku dodatkowych uwag na temat szkolnej debaty, pani Boone w końcu włączyła telewizor i zaczęła skakać po kanałach. Dźwięk w telewizorze był wyłączony i w salonie słyhać było tylko chrupanie wołowiny przez Asesora. Gdyby zawiadywanie pilotem przypadło panu Boone’owi lub Theo, od razu włączyliby swój ulubiony program, powtórki starych filmów z Perrym Masonem, jednak pani Boone niewzruszenie parła przed siebie, zmieniając kanały. Jak dotąd, nic nie przykuło jej uwagi. Rzadko oglądała telewizję i starała się zniechęcać do niej Theo.

W końcu zatrzymała się na programie Strattenburg dzisiaj, dość nieciekawie redagowanym przeglądzie gorących tematów dnia, oczywiście o ile coś gorącego się wydarzyło. Zwykle nic takiego się nie działo. Włączyła dźwięk, ekran wypełniła sztucznie uśmiechnięta twarz

gubernatora, a głos zza kadru poinformował: „Gubernator Waffler przybył dziś do naszego miasta, by oficjalnie zainauguować budowę obwodnicy Red Creek, blisko trzynastokilometrowej pętli wokół miasta, której koszt wyniesie dwieście milionów dolarów, a która od lat stanowiła przedmiot gorących sporów wśród mieszkańców. Do gubernatora Wafflera dołączyła grupa miejscowych liderów biznesu i naszych oficjeli, którzy od początku popierali budowę obwodnicy. Gubernator oświadczył, że polecił swojemu sekretarzowi transportu, by zaliczył inwestycję do zadań priorytetowych i zapewnił niezbędne środki na jej realizację”. Kamerzysta zrobił odjazd i pokazał w szerszym planie grupę mężczyzn w ciemnych garniturach, którzy stali za mówiącym do mikrofonu gubernatorem.

– Nie do wiary – zachnęła się pani Boone.

– Co to za obwodnica? – spytał Theo.

– W tym przypadku to droga donikąd, która będzie kosztować co najmniej dwieście milionów dolarów i pozwoli kierowcom ciężarówek zaoszczędzić około pięciu minut przy przejeździe przez Strattenburg.

– Ale także bardzo potrzebna czteropasmowa droga szybkiego ruchu, która radykalnie zmniejszy korki na Battle Street – wtrącił pan Boone.

– I również klasyczny bezsens. Pięć lat temu grupa konserwatystów, czyli ludzi twojego pokroju, nazwała to trzecim co do wielkości projektem wyrzucenia w błoto pieniędzy podatników w skali całego kraju.

– Przecież badanie przeprowadzone przez Izbę Handlową wykazało, że korki na Battle Street są tak straszne, że wpływają hamująco na dalszy rozwój miasta.

– Dwieście milionów dolarów za pięć minut. To nie do wiary – mruknęła pani Boone.

– Nie wolno stawać na drodze rozwoju – mruknął pan Boone.

Zapadła pełna tłumionych emocji cisza.

– Przepraszam, że spytałem – bąknął Theo.

Jeszcze przez chwilę jedli w milczeniu, słuchając gubernatora. Po nim głos zabrał miejscowy senator i zaczął opowiadać, jak budowa obwodnicy zbawiennie wpłynie na życie mieszkańców miasta i całego okręgu. Senator nie robił najlepszego wrażenia – był niski, tęgi, miał czerwoną nalaną twarz i wyglądał tak, jakby go siłą wtłoczono w za mały garnitur. Przez chwilę słuchali zachwytów nad planowaną drogą, po czym pani Boone spytała:

– I ty głosowałeś na tego pajaca?

Po minie pana Boone’a było widać, że nie może zaprzeczyć.

– Głosowałeś, tato? – powtórzył Theo z takim niedowierzaniem w głosie, jakby chciał powiedzieć: „Jak ktokolwiek może głosować na kogoś takiego?”

– Głosowałem – mruknął ponuro jego ojciec.

Jak normalny trzynastolatek, Theo niezbyt interesował się polityką. Zresztą to, co oglądał w telewizji, zdecydowanie go od niej odstręczało. Wiedział, że matka ma poglądy bardziej liberalne, ojciec bardziej konserwatywne, jednak wielokrotnie słyszał ich wzajemne zapewnienia, że zaliczają się do osób „umiarkowanych” i plasują gdzieś pośrodku. Słuchając rozmów rodziców, Theo dochodził do wniosku, że bycie umiarkowanym wcale nie jest takie proste. Na szczęście państwo Boone mieli dość rozsądku, by nie wciągać go w spory polityczne. W ogóle rzadko się spierali na jakikolwiek temat, przynajmniej w jego obecności.

– A skąd oni wezmą te dwieście milionów dolarów? – spytał.

– Głównie z budżetu stanowego, ale część środków wyasygnują władze okręgu i miasta.

– Ale skoro miasto na wszystkim oszczędza, likwiduje zajęcia szkolne i zwalnia z pracy policjantów i woźnych, to jak może wydawać na obwodnicę?

– Bingo! – parsknęła matka.

– W przeważającej większości to fundusze stanowe – rzekł pan Boone.

– Zdawało mi się, że władze stanowe też tną wydatki – zdziwił się Theo.

– Bingo! – powtórzyła matka i znów się roześmiała.

– Dlaczego wciąż powtarzasz „bingo”, mamó?

– Bo zadajesz bardzo celne pytania, na które nie ma dobrych odpowiedzi. Budowa tej obwodnicy byłaby wyrzuceniem pieniędzy w błoto niezależnie od koniunktury gospodarczej, ale przystępowanie do niej teraz, kiedy w budżetach miasta, okręgu i stanu brakuje pieniędzy, to po prostu absurd.

Rodzice Theo byli prawnikami i żadne z nich nie miało zwyczaju łatwo wycofywać się z raz zajętego stanowiska, niemniej Theo odniósł wrażenie, że poparcie ojca dla pomysłu budowy obwodnicy nie jest aż tak zdecydowane jak sprzeciw matki. Zapadła kolejna cisza w rozmowie, po czym jak na zawołanie na ekranie pojawiła się twarz rzecznika Klubu Sierra. Pani Boone, jako dumna władczyni pilota, zwiększyła głośność.

– Pomysł budowy tej obwodnicy był od początku kompletnie chybiony – mówił rzecznik – ale przystępowanie do tego teraz jest jeszcze gorszym błędem. Droga przetnie Red Creek w dwóch miejscach i fatalnie wpłynie na jakość wody w miejskich wodociągach. Przebiegnie też bardzo blisko szkoły podstawowej Jacksona, co spowoduje, że tuż obok dziedzińca szkolnego, z którego korzysta czterysta dzieci, będzie przejeżdżało dwadzieścia pięć tysięcy pojazdów na dobę, w tym mnóstwo wielkich ciężarówek. Aż strach pomyśleć o hałasie i zanieczyszczeniu powietrza.

Pani Boone jeszcze bardziej podkreśliła głośność.

Rzecznik Klubu Sierra mówił dalej:

– Nie przeprowadzono rzetelnych badań wpływu obwodnicy na środowisko naturalne. Inwestycję przepychają na siłę politycy za pieniądze firm transportowych.

Następnym mówcą był polityk i pani Boone szybko ściszyła głos.

– Co to jest Klub Sierra? – spytał Theo.

– Banda radykalnych miłośników drzew – mruknął ojciec.

– To jedna z najsprawniej działających organizacji obrońców środowiska na świecie – powiedziała matka.

– Rozumiem – bąknął Theo i przełknął kolejną porcję wołowiny. Jak większość dzieci, Theo lubił te rzadkie momenty, gdy rodzice spierali się na jakiś temat. Postanowił jeszcze nieco podgrzać atmosferę. – Trochę się pogubiłem. No bo jeśli stan i miasto mają pustki w kasie, to skąd wezmą te dwieście milionów?

– Zapytaj ojca – burknęła pani Boone, odbijając piłeczkę z imponującą szybkością i precyzją.

– Pożyczą – powiedział pan Boone. – Pustki w kasie nigdy nie przeszkadzały władzom w wydawaniu pieniędzy. Jak nie mają własnych, to po prostu pożyczają, ile im potrzeba, pod zastaw płynnych obligacji.

– Co to są płynne obligacje? – spytał Theo.

– No, teraz to się wpakowałeś – parsknęła śmiechem pani Boone.

– Tak, to rzeczywiście dość skomplikowane – skinął głową pan Boone. – Zostawmy to sobie na kiedy indziej. Istotne w sprawie jest to, że władze nie działają, jak należy. Mama i ja ciężko pracujemy. Reprezentujemy naszych klientów i dostajemy za to honoraria. Tak zarobione pieniądze wydajemy na pensje pracowników i wyposażenie biura, na płacenie rachunków za prąd i różnych innych. Ale nie możemy wydawać więcej, niż zarobiliśmy. To proste. Większość rodzin i firm tak postępuje, a przynajmniej się stara. Jednak nie dotyczy to władz, które za dużo wydają, za dużo pożyczają i za dużo marnują.

– A nie muszą zwracać tego, co pożyczają? – spytał Theo.

– Teoretycznie muszą, prawda jest jednak taka, że wolą zostawiać to na później, zrzucać na następne pokolenie. Nasze pokolenie w zasadzie doprowadziło kraj do bankructwa, ale zapłaci za to twoje pokolenie.

– Kurczę, dzięki.

– Nie ma za co. – Pan Boone włożył do ust połówkę sajgonki, co znaczyło, że przez dłuższą chwilę będzie miał pełne usta i przestanie mówić.

Na szczęście temat obwodnicy dobiegł końca, a następny dotyczył profesora Stratten College, który skarżył się na niskie płace woźnych zatrudnionych w uczelnianym kampusie. Profesor zorganizował protest przed budynkiem administracji, jednak wyglądało na to, że wzięła w nim udział jedynie garstka woźnych. Profesor miał długie siwe włosy, kolczyki w uszach i przemawiał wysokim piskliwym głosem.

– Szalony Willie Webber – mruknął pan Boone. – Cóż to za pajac.

– Kto to jest?

– Jeden z naszych lepszych komediantów. Wykłada w college’u historię Rosji i wydaje mu się, że jest komunistą. Wciąż rozrabia, a w każdym razie się siara.

Oczywiście pani Boone miała w tej kwestii inne zdanie.

– Jest naprawdę wybitnym aktywistą w wielu różnych sprawach.

– Kto to jest aktywista? – spytał Theo. Zawsze domagał się definicji nieznanego słowa.

Pani Boone przez chwilę się zastanawiała.

– Aktywista to ktoś, kto ma zdecydowane zdanie w jakiejś sprawie lub grupie spraw i jest gotów podjąć działanie, mające doprowadzić do zmian. Woods?

Pan Boone pokiwał głową.

– Tak, dość trafna definicja. Dodałbym jeszcze, że aktywista zwykle działa na paru frontach. W różnych sprawach przewijają się zwykle te same postacie.

– No, to prawda – zgodziła się pani Boone.

Asesor łyptał okiem na dwie sajgonki pana Boone’a, które zostały jeszcze na talerzu, wiedział jednak, że ma nikłe szanse. Powlókł się więc do kuchni,

by napić się wody, potem jednak wrócił, usiadł tuż przed panem Boone'em i wlepił wzrok w talerz.

– Asesor, odczep się – rzucił pan Boone.

– Tato, ale on uwielbia sajgonki – rzekł Theo.

– Ja też i nie mam ochoty się dzielić.

– W ogóle nie powinien jeść chińszczyzny – dodała pani Boone. Powtarzała to niemal za każdym razem, gdy Theo zaczynał podrzucać Asesorowi kąski ze swojego talerza. Oboje państwo Boone byli zdania, że nie należy karmić psa przy jedzeniu, i często to powtarzali, wiedząc dobrze, że nic to nie da i ich syn będzie nadal podkarmił swojego pupila. Zresztą pan Boone też mu czasem coś rzucał i wtedy żona upomniała go surowo: „Woods, nie karm psa przy stole”. Nie odnosiło to żadnego skutku, pan Boone podrzucał Asesorowi kąski, po czym następnego dnia oboje państwo Boone surowo strofowali syna: „Theo, nie karm psa przy stole”.

Dziwaczne zachowanie. Theo często zdumiewało to, co jego rodzice mówią lub robią. Na przykład co wieczór około dziewiątej, gdy rodzice czytali, rozmawiali lub krzatali się po kuchni, mama mówiła: „Woods, nie zapomnij o kawie”. Codziennie po kolacji ojciec mełł ziarna, wlewał wodę i nastawiał zegar tak, by ekspres zaparzył pierwszą porcję o szóstej rano. Rodzice lubili być budzeni przez aromat świeżo zaparzonej kawy, choć mama piła jej bardzo mało. W odróżnieniu od niej tata był wielbicielem kofeiny i dlatego bez szemrania brał na siebie eowieczomy rytuał przygotowywania kawy. Był to jego obowiązek, którego nawet nie próbował cedować na kogoś innego. Ilość kawy musiała być dokładnie odmierzona, woda wlana do właściwego poziomu, filtr odpowiedni i tak dalej, i tak dalej. A jednak mama co wieczór uznawała, że musi mu o tym przypomnieć. Odpowiedź taty zawsze brzmiała tak samo: „Tak, kochanie, zaraz się tym zajmę”.

Pani Boone nie lubiła wynosić śmieci. Ten obowiązek spadał na pana Boone'a lub – znacznie częściej – na Theo. Sprawa była błaha i Theo nie

miał nic przeciwko temu. Ale mimo to z jakiegoś powodu, którego rodzice zapewne nie potrafiliby wyjaśnić, mniej więcej dwa razy w tygodniu Theo słyszał, jak ojciec pytał: „Kochanie, wyrzuciłaś śmieci?”, na co matka za każdym razem spokojnie odpowiadała: „Nie, właśnie pomalowałam paznokcie”.

Theo specjalnie się nie interesował stanem paznokci mamy ani tym, jak często je maluje, ale był niemal pewny, że co piątek rano mama odwiedza salon kosmetyczny, gdzie się nimi zajmują. W każdym razie zauważył, że jej dłonie zawsze wtedy elegancko wyglądały.

Dlaczego rodzice zachowują się tak dziwacznie? Theo rzadko unikał zadawania pytań, jednak coś mu mówiło, że o pewne sprawy lepiej nie pytać. Może na niektóre pytania po prostu nie ma odpowiedzi. Podejrzewał też, że małżeństwa często popadają w rutynę i robią pewne rzeczy bezwiednie.

Właśnie dumał nad tymi sprawami, gdy matka spytała: „Theo, odrobiłeś lekcje?”. To też było jedno z tych pytań, na które zawsze mógł liczyć, często nawet dwa razy w ciągu wieczoru: raz zadane przez matkę, drugi raz przez ojca. Oboje nalegali, by odrobił wszystkie zadania domowe przed wyjściem z biura i powrotem do domu. Tlico był dobrym uczniem i zwykle odrobienie lekcji zajmowało mu od sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu minut, a jeśli nawet nie zdążył czegoś zrobić, mógł to nadrobić rano w szkolnym pokoju cichej nauki.

- Tak, mamo. Wszystko zrobione.
 - Kiedy będzie następna debata?
 - Nie wiem dokładnie.
 - Na pewno jej nie przegapię, obiecuję.
 - Chcesz obejrzeć dzisiejszą? Mam ją na płycie.
- Pani Boone się uśmiechnęła i odłożyła pałeczki.
- Jasne, Theo! Dawaj.

– Doskonały pomysł – wtrącił pan Boone, któremu zależało na zostawieniu w spokoju tematu obwodnicy.

Theo wyjął krążek z plecaka i wsunął do odtwarzacza, po czym przez następną godzinę wszyscy troje oglądali walkę Theo, Joeya i Aarona na argumenty z drużyną Centralnej w kwestii dopuszczenia do publicznych college'ów dzieci nieudokumentowanych pracowników. Z twarzy pani Boone ani na chwilę nie schodził uśmiech. Rodzice byli z niego dumni, zresztą Theo sam musiał przyznać, że wszyscy trzej dobrze się spisali.

Nawet Asesor siedział wpatrzony w ekran, zapewne nie mogąc pojąć, jak to się dzieje, że Theo jest jednocześnie w dwóch miejscach.

Rozdział 5

1 440. Drużynę Skautów prowadził major Ludwig i robił to w takim stylu, jakby dowodził elitarną jednostką marines, która właśnie szykuje się do boju. Oczekiwał, że cała czterdziestka jego podopiecznych będzie regularnie przychodziła na dwie zbiórki w miesiącu, że wszyscy będą do nich przygotowani i ubrani w mundurki. Dowodził nimi, popędzał, mobilizował i od czasu do czasu dyscyplinował. Major należał jednak do lejącej rasy, która więcej szczeka, niż gryzie i tak naprawdę miał miękkie serce. Chłopcy wręcz go uwielbiali i nie chcieli sprawiać mu zawodu. Theo należał do drużyny od dwóch lat i był już o krok od zdobycia stopnia Skauta Orlego, ale major i tak wciąż go popędzał.

Zbiórki zaczynały się punktualnie o szesnastej w każdy pierwszy i trzeci wtorek miesiąca, chyba że w planie był weekendowy wyjazd. Major należał do gorących zwolenników przebywania w plenerze i uważał, że skauci powinni możliwie jak najwięcej czasu spędzać w lesie. Raz w miesiącu drużyna wyjeżdżała na biwak, opuszczając miasto tuż po lekcjach w piątek i wracając w niedzielę po południu. Zbiórka odbywała się wówczas w czwartek, a skauci spotykali się głównie po to, by dopracować szczegóły wyjazdu i wysłuchać ostatnich wskazówek majora.

Theo żył od jednego biwaku do drugiego. Jego ojciec nie należał do miłośników zajęć na wolnym powietrzu i dopiero dzięki drużynie chłopiec poznał życie obozowe, odbywał piesze wycieczki, łowił ryby, obcował z naturą i czasami się w niej gubił. Rodzice bardzo popierali jego przynależność do skautów, bo jako jedynakowi mogły mu się przydać

lekcje życia w gromadzie, dyscypliny i organizacji oraz dzielenia się z innymi.

W najbliższy weekend drużyna wybierała się nad zalew Marlo, ich ulubione miejsce biwaków. Było to duże, otoczone stromymi zboczami sztuczne jezioro, oddalone od Strattenburga o dwie godziny jazdy. Major starał się wyszukiwać nowe miejsca na biwaki i skauci poznawali coraz to inne okolice, ale nad zalewem wszyscy czuli się jak w domu. W czwartek przed wyjazdem major Ludwig rozpoczął zbiórkę od przedstawienia listy tematów do omówienia, następnie zwołał odprawę zastępowych. 1440. drużyna składała się z pięciu zastępów: Panter, Grzechotników, Traperów, Guźców i Sokołów, w każdym było siedmiu lub ośmiu chłopców. Theo był zastępowym Sokołów i do jego obowiązków należało sprawdzenie namiotów, wyposażenia i narzędzi, a także dopilnowanie, by zastęp miał wystarczający zapas żywności na weekend. Do niego należało też obdzielenie skautów różnymi funkcjami: gotowaniem, sprzątaniami, pilnowaniem ogniska, urządzeniem latryny, zbieraniem drewna i dziesiątkami innych zadań.

Major zapoznał się z zestawem posiłków i rozdziałem obowiązków w zastępach, po czym omówił zaplanowane na weekend zajęcia. Zbiórki przedwyjazdowe były zawsze o wiele ciekawsze od zwykłych, a chłopcy aż się palili do drogi. Bywali na nich nieco bardziej rozbrykani niż zwykle i wykonywanie poleceń majora odbywało się z pewnymi oporami. O siedemnastej trzydzieści major Ludwig zakończył zbiórkę i zwolnił chłopców do domu.

Major przykładął wielką wagę do obecności na zbiórkach i dotąd Theo nie opuścił ani jednej, dorównując pod tym względem Hardiemu Quinnowi, koledze ze szkoły, z równoległej ósmej klasy. Po zbiórce Hardie podszedł do Theo przy stojaku na rowery.

– Słuchaj, Theo – powiedział ściszym głosem, rozglądając się na boki, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje. – Masz chwilkę?

– Jasne – odrzekł Theo. – Co się stało?

– Znasz się na prawie, nie?

– Na niektórych sprawach. Moi rodzice są prawnikami i pozwalają mi się kręcić po biurze, więc to i owo słyszę.

– Tak mi właśnie mówili. – Hardie znów się rozejrzył, jakby miał do wyjawienia jakiś wstydlivy sekret. Theo wciąż się z tym spotykał. Zaczepiał go kolega ze szkoły lub kolega kolegi i grzebiąc nerwowo nogą w ziemi, szukał właściwych słów na przedstawienie swego problemu, który Theo miał przeanalizować i znaleźć radę. A Theo zawsze chętnie pomagał, zwłaszcza tak sympatycznym chłopakom, jak Hardie. Major naciskał, by obaj w ciągu roku zdobyli stopień Orła. Theo miał już dwadzieścia trzy sprawności, Hardie o jedną więcej. Theo był zastępowym Sokołów, Hardie zastępowym Panter.

– Słyszałeś o tej obwodnicy wokół miasta? – zaczął Hardie.

– Mhm. Mówili o tym wczoraj w telewizji.

– No więc moi dziadkowie właśnie dostali list, że chcą im zabrać farmę nad Red Creek, bo mają tamtędy puścić obwodnicę. Dziadkowie mają czterdzieści hektarów, które należą do naszej rodziny od lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Wtedy jeden z moich prapradziadków kupił tę ziemię. A teraz chcą nam ją zabrać i zbudować tam drogę.

– Takie rzeczy wciąż się zdarzają – powiedział Theo. – To się nazywa prawo do wywłaszczenia na cele publiczne.

– Prawo do czego?

Dwóch skautów podeszło po swoje rowery i Hardie zamilkł.

– Masz tu rower? – spytał po chwili Theo.

– Mhm.

– Dobra. Jedźmy do mnie do biura, to pogadamy.

Jazda cichymi, ocienionymi drzewami ulicami Strattenburga zajęła im dziesięć minut. Wjechali na zwirowany parking za kancelarią Boone &

Boone i weszli tylnymi drzwiami do biura Theo. Asesor spał pod biurkiem, ale na widok chłopców od razu zerwał się na nogi. Theo musiał się pochylić i pogłaskać go po głowie.

– To jest Asesor – powiedział i Hardie też pogłaskał psa. – Zaczekaj tu na mnie – dodał i Hardie usiadł.

Dochodziła już szósta i wszędzie panowała cisza. Prawnik Vince, sekretarka do spraw nieruchomości Dorothy oraz główna recepcjonistka Elsa poszli już do domu, drzwi do gabinetu pani Boone były zamknięte, co znaczyło, że ma klienta. Na parkingu za domem nie było SUV-a pana Boone'a, więc zapewne nie było go w biurze.

Theo wszedł do ulubionego pomieszczenia sali konferencyjnej z lśniącym mahoniowym stołem z dwunastoma skórzanymi fotelami i ścianami zastawionymi regałami pełnymi grubych ksiąg prawniczych. Theo wiedział, że do mnóstwa opasłych tomów od lat nikt nie zaglądał, ale książki nadawały pomieszczeniu odpowiednio dostojny wygląd. Wrócił po Hardiego i obaj zasiedli w miękkich fotelach, Asesor położył się przy nogach Theo.

Hardie rozejrzał się po sali.

– Kurczę, Theo – powiedział. – Ale ekstra.

– Lubię tu pracować po wyjściu personelu.

– I rodzice ci pozwalają? – spytał niepewnie Hardie.

– Jasne, spoko. To tylko kancelaria prawnicza.

– Łatwo ci mówić, Theo. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem w prawdziwej kancelarii prawniczej. Mój tata jest pastorem. Jego tata też był pastorem.

Theo poznał wielebnego Charlesa Quinna na jakiejś imprezie skautowskiej i pastor zrobił na nim całkiem sympatyczne wrażenie.

– Wyluzuj, Hardie. Kancelaria może jest prawdziwa, aleja nie jestem prawdziwym prawnikiem, więc nie mogę cię skasować.

– Całe szczęście, bo i tak nie zamierzałem ci płacić. Potrzebna mi tylko informacja. Myślę, że rodzice zwrócą się do jakiegoś prawnika i to niedługo. Tyle że na razie jesteśmy wszyscy odrętwiali ze strachu.

– No więc sprawa wygląda tak – powiedział Theo, przechodząc do rzeczy. – Prawo do przymusowego wywłaszczenia na cele publiczne to stary termin prawniczy, który istnieje od zawsze. Znaczy tyle, że państwo ma prawo przejąć na własność czyjąś ziemię, tylko musi udowodnić, że jest mu ona niezbędnie potrzebna. Państwo musi zapłacić właścicielowi uczciwe odszkodowanie, ale właściciel nie może odmówić wywłaszczenia.

– To straszne. Kto to wymyślił?

– Ktoś w Anglii dawno, dawno temu. W sumie to nie takie złe prawo, bo gdyby państwo nie miało prawa do przymusowego wywłaszczenia, nigdy niczego by nie zbudowało. Pomyśl chwilą. Szosy, mosty, zapory, parki, jeziora. Gdyby któryś z właścicieli ziemi mógł się zaprzecić i odmówić, nic z tego by nigdy nie powstało.

– Theo, nie rozumiesz. Moi dziadkowie nadal gospodarują na tej farmie. Mieszkają w starym wiejskim domu, w którym wszyscy spotykamy się na święta. Z tysiąc razy nocowałem tam z moimi kuzynami. Zbudowaliśmy trzy szalasy, linę do zjeżdżania, forty obronne, skocznię rowerową, wszystko, co ci się może zamarzyć. Przed domem jest długie podwórze, na którym gramy w piłkę, baseball, frisbee, golfa, lacrosse'a i wszystko inne. Na farmie są dwa stawy z taką ilością ryb, że nigdy wszystkich nie wyłowimy, a jeździmy tam łowić co najmniej raz w miesiącu. W zimie łowiliśmy nawet pod lodem na stawie bliżej domu. A jak stawy dobrze zamarzną, to gramy w hokeja. Koło domu jest nieduża stajnia, w której dziadek trzyma dwa kucyki, Belle i Daisy, i konia Kapitana. Jeździłem na nich, zanim zacząłem dobrze chodzić.

Hardie pochylał się nad stołem, gwałtownie gestykułując. Głos mu się łamał i drżał i Theo pomyślał, że jeszcze trochę, a chłopak się zatnie i zacznie płakać.

– Jest tam takie miejsce, które nazywamy Obozowiskiem – mówił dalej.
– Leży tuż nad Red Creek, w zakolu rzeki. Każdy mój kuzyn czy kuzynka spędza tam noc na swoje piąte urodziny. To taka rodzinna tradycja. Tata i wujkowie rozbijają obóz, zjeżdżają się wszyscy starsi kuzyni i przez dwa dni i noce trwa urodzinowa impreza. Palimy ognisko, grillujemy, a wujek Jack opowiada takie historie o duchach, że cię aż zatyka ze strachu i nie możesz oddychać. Z kolei wujek Henry zna nazwy wszystkich gwiazd. Kładziemy się na plecach i godzinami gapimy w niebo. Moją pierwszą sprawnością była astronomia, bo od zawsze miałem z tym do czynienia.

Hardie przerwał, by zaczerpnąć powietrza, potem wolno otarł sobie łzę.

– Przepraszam, Theo – bąknął.

– Nie szkodzi, Hardie. Świetnie cię rozumiem.

Hardie przygryzł wargę i mówił dalej:

– Ojciec i dziadek chcieli, żebyśmy się nauczyli kochać przyrodę i szanować ziemię. Zabierali nas na polowania i na ryby, zresztą wciąż to robią. Gdy miałem osiem lat, ustrzeliłem swojego pierwszego jelenia, a potem patrzyłem, jak ojciec go sprawnia i oddziela mięso. Zrobił z niego kiełbasy i zawiózł do schroniska dla bezdomnych. Nigdy nie zabijaliśmy zwierząt dla sportu. W stawach i w Red Creek łowimy okonie, leszcze i bassy. Umiałem je oczyścić i usmażyć na patelni nad ogniem jako dziesięciolatek. To nasza ziemia. Nikt nie ma prawa nam jej zabierać.

Oj ma, Hardie, ma, pomyślał Theo, ale nic nie powiedział.

– Przy podjeździe rośnie kępa klonów cukrowych, a w ich cieniu znajduje się nasz rodzinny cmentarz. Nieduży kawałek ziemi, ogrodzony białym płotem. Leżą na nim wszyscy zmarli Quinnowie. Kilkadziesiąt małych nagrobków w równych rzędach. Moi pradziadkowie, obok nich ich rodzice. Ciotki i wujkowie. Edward Quinn, poległy w czasie drugiej wojny światowej. Bob i Holly Quinn, moi stryjeczni dziadkowie, którzy w 1985 roku zginęli w wypadku samochodowym, na długo przed twoim i moim

urodzeniem. Można chodzić po tym cmentarzu i odtwarzać historię mojej rodziny. Co roku czwartego lipca mamy na farmie wielki piknik. Przed obiadem wszyscy idziemy na cmentarz i składamy kwiaty na grobach, żeby oddać hołd naszym przodkom. Kuzyn taty, Daniel Quinn, który jest już na emeryturze, strzyże trawę i utrzymuje porządek na cmentarzu. Co się stanie z tymi grobami, Theo, z całym cmentarzem? Przecież nie mogą go chyba zabrać. Tak się nie robi.

Theo lekko powiercił się na fotelu.

Nie wiem, Hardie, chyba będę musiał trochę poszperać w książkach. Porozmawiam też z tatą, bo on jest specjalistą od nieruchomości i wie dużo więcej na temat wywłaszczeń na cele publiczne. Boję się jednak, że nie /najdziemy dobrej odpowiedzi, w każdym razie nie takiej, jaką chciałbyś usłyszeć. Jeśli państwo przewłaszcza teren, lo zabiera go w całości. Sprowadzą buldożery i wszystko zrównają z ziemią.

– A co z grobami, Theo?

– Nie wiem. Będę musiał spytać taty.

I Hardie przez długą chwilę siedział w milczeniu, wbijając wzrok w stół i krążąc myślami gdzieś daleko.

– Ten dom ma sto pięćdziesiąt lat – odezwał się w końcu. – Mój ojciec ma jeszcze dwóch braci i dwie siostry, ale jest najstarszy i dlatego po śmierci dziadków lo on go odziedziczy. A ponieważ jestem jego najstarszym synem, ja też powinienem go kiedyś przejąć. To nasza rodzinna tradycja i przez wiele lat dobrze to działało, tyle że trzeba się też zajmować farmą, a to kupa pracy. Co się stanie z tym domem, Theo?

Theo zaczynał mieć dość pytań, na które nie znał odpowiedzi.

– Będę musiał spytać taty – powiedział, z góry znając odpowiedź. Hardie wyglądał jednak na bardzo zgnębionego i Theo nie chciał pogarszać sprawy. Prawda była taka, że gdy władze przejmą ziemię, zrobią z nią to, co uznają za stosowne.

– Moi rodzice rozmawiali o tej obwodnicy wczoraj przy kolacji – powiedział Hardie.

– Moi też.

– Za tą sprawą stoją jakieś firmy transportowe na północ i południe od Strattenburga. Nienawidzą jeździć przez miasto po Battle Street, bo wiecznie stoją w korkach. Uważają, że budowa obwodnicy bardzo przyspieszy transport ładunków i radykalnie zwiększy im obroty. Dlatego opłacają polityków, w tym samego gubernatora, a oni pociągają za odpowiednie sznurki. No i w rezultacie państwo chce nam zabrać naszą farmę.

– Myślę, że moja mama by się z tym zgodziła. Ale co do taty, to nie jestem już taki pewien.

– I są też miejscowi biznesmeni, którzy liczą, że zarobią na tej obwodnicy. Tylko pomyśl. Mają na nią wydać dwieście milionów dolarów w samym tylko Strat-tenburgu, więc wielu będzie chciało się załapać.

– Na przykład kto?

– Na przykład firmy budowlane, konstruktorzy mostów, sprzedawcy sprzętu i materiałów. Tata twierdzi, że ci ludzie staną na głowie, żeby doszło do budowy. Gospodarka leży, biznes słabo się kręci, a tu nagle taka ogromna inwestycja. Mój tata uważa, że to typowa kiełbasa wyborcza. Politycy zapewniają sobie głosy, a przedsiębiorcy zbijają kasę. I tylko podatnicy dostają rachunek za kolejny zły pomysł.

– Co to znaczy „kiełbasa wyborcza”? – spytał Theo.

– Według taty chodzi o to, że państwowe fundusze trafiają do polityków, a ci realizują za nie pomysły zapewniające głosy wyborców, które pozwolą im zachować stanowiska. Czasami inwestycje są trafione, ale bardzo często nie są. Politycy teraz już nie mówią o kiełbasie, ale zdaniem mojego taty politycy wciąż się o nią starają.

– Myślę, że moja mama i twój tata znaleźliby wspólny język.

– Co mamy robić, Theo?

– Zaangażować prawdziwego prawnika. Spory o przymusowe wywłaszczenie na cele publiczne trafiają do sądu i są rozsądzone przez prawdziwych sędziów, którzy decydują, ile dana nieruchomość jest naprawdę warta. Musicie mieć adwokata.

– Myślisz, że twoja mama zgodziłaby się tym zająć?

– Nie. Mama zajmuje się tylko rozwodami.

– A twój tata?

– Tata nie występuje w sądzie.

– Możesz porozmawiać z rodzicami i spytać ich o jakiegoś dobrego adwokata?

– Jasne. Chętnie to zrobię.

Hardie ciężko dźwignął się z fotela.

– Dzięki, Theo.

– Naprawdę nie ma za co.

– Wysłuchałeś mnie, a to się bardzo liczy.

Theo zgasił światło i chłopcy opuścili salę konferencyjną. Asesor podreptał za nimi do biura Theo i wszyscy trzej wyszli na parking.

Rozdział 6

W piątek na pierwszej stronie lokalnej gazety „Slrattenburg Gazette” drugi dzień z rzędu zamieszczono materiał o obwodnicy Red Creek. Theo z zainteresowaniem przeczytał tekst przy śniadaniu, na które on i Asesor zjedli po porcji cheerios. Zaczynał się kolejny dzień, choć akurat ten nie był zwyczajny, bo po lekcjach Theo wyjeżdżał na biwak. Jediną wadą biwaków był zakaz zabierania na nie psów. Theo i kilku innych właścicieli zwierzków próbowało nawet namówić majora, ale usłyszeli zdecydowane „nie”. Major wyjaśnił, że dość wysiłku kosztuje go panowanie nad pięćdziesięcioma chłopakami z miasta w plenerze i obejdzie się bez sfory szalejących po krzakach miejskich psów.

Theo nie próbował dyskutować, jednak uważał to za niezbyt sprawiedliwe. Asesor był bardzo karnym psem, który przybiegał na każde wezwanie, siadał na rozkaz, tarzał się, gdy mu kazano się tarzać, i nigdy nie uciekał. Poza domem Asesor zawsze trzymał się blisko Theo i na pewno byłby zachwycony wyjazdem na biwak, siedzeniem z chłopcami przy ognisku, spaniem z Theo w namiocie, bieganiem po lesie i kąpielami w zalewie. Ale gdy major mówił twarde nie, nie było dyskusji.

Pana Boone’a nie było już w domu. Lubił schrupać poranny tost w gronie kolegów, którzy zbierali się przy kawie w jednej ze śródmiejskich knajpek. Pani Boone w ogóle nie jadała śniadań i zwykle spędzała poranki, siedząc w szlafroku w salonie i czytając gazetę. Jej zawód zmuszał ją do ciągłego mówienia w ciągu dnia i bardzo lubiła takie ciche poranki. Zdarzało się jednak, że dołączała do Theo przy kuchennym stole i oboje w milczeniu

czytali prasę. Tak właśnie było dziś. Theo po południu wyjeżdżał na biwak i chciała trochę z nim pobyc.

Według autora artykułu w „Gazette” słowa gubernatora wywołały burzę w pewnych kręgach mieszkańców miasta. obrońcy przyrody pod wodzą Klubu Sierra, członkowie Rady Ochrony Środowiska w Strattenburgu i kilka podobnych organizacji wystąpiło z gwałtownymi protestami, grożąc procesami sądowymi. Sfery biznesowe chwaliły gubernatora i pomysł budowy obwodnicy, przypominając wieczne korki na Battle Street i podkreślając, jak hamują one dalszy rozwój miasta. Wśród samorządowców przebąkiwano o tym, że inwestycja jest zbyt kosztowna i właściwie zbędna. Liczni właściciele nieruchomości oburzali się, że władze zamierzają zabrać im ich własność. Rodziny Hardiego Quinna nie wymieniono z nazwiska.

W innych częściach stanu wychwalano gubernatora za popieranie tej inwestycji. Burmistrz Lowensburga, miasteczka godzinę drogi na południe, oświadczył, że brak obwodnicy Strattenburga poważnie zatyka „istotne kanały handlowe” i wpływa ujemnie na gospodarkę jego miasta. W Carlsburgu, miasteczku godzinę drogi na północ, reprezentujący stan senator stwierdził, że w ostatnich latach doszło do zamknięcia dwóch fabryk, gdyż przejazd przez Strattenburg trwał zbyt długo.

Rozgorzała wojna na słowa. Z dalszej części artykułu Theo dowiedział się, że ostateczną decyzję o rozpoczęciu budowy obwodnicy podejmie komisja złożona z pięciu wybieralnych przedstawicieli gmin okręgu. Wiadomo było, że dwóch z nich nie kryje poparcia dla budowy obwodnicy, dwaj są niezdecydowani, z piątym nie udało się dotąd skontaktować.

Na stronie drugiej wydrukowano dużą mapę okręgu Stratten z umieszczonym pośrodku kwadracikiem, oznaczającym jego stolicę. Szosa numer 75, biegnąca przez cały stan czteropasmowa droga szybkiego ruchu, była z reguły mocno zatłoczona. Po dotarciu do północnych granic Strattenburga szosa przechodziła w Battle Street i od tego miejsca zaczynały się kłopoty. By ochronić najstarszą część miasta przed nadmierną

zabudową, urbaniści odpowiedzialni za rozwój miasta i okręgu przenieśli praktycznie wszystkie nowe inwestycje budowlane poza jego granice. Przez blisko trzydzieści lat centra handlowe, niezliczone fast foody, myjnie samochodowe, motele, oddziały banków, wielkie sklepy spożywcze, stacje obsługi i temu podobne tłoczyły się po obu stronach Battle Street, która ze zwykłej dwukierunkowej ulicy urosła do czterech, potem sześciu, a obecnie ośmiu pasów ruchu, po cztery w każdą stronę. Ulicą przejeżdżało mnóstwo pojazdów, ale ruch odbywał się stosunkowo płynnie. Przyjęta strategia rozwoju zdała egzamin i udało się zachować charakter starych fragmentów Strattenburga. Dawało się wprawdzie słyszeć narzekania mieszkańców na ścisk panujący na Battle Street, ale trzeba było przyznać, że ośmiokilometrowy odcinek szosy numer 75 znacząco odciążał Main Street.

Obwodnica miała się zaczynać tuż przy północnej granicy Strattenburga i przebiegać szerokim łukiem przez tereny podmiejskie, omijając korki w centrum. Trasa obwodnicy wiodła tuż obok szkoły podstawowej Jacksona, przecinając nowo zbudowany kompleks boisk do piłki nożnej. Ofiarą miał też paść luterański kościół Świętego Andrzeja, mała, licząca ponad dwieście lat drewniana budowla. Budowa obwodnicy wymagała zburzenia pięćdziesięciu domów mieszkalnych i likwidacji kilkunastu farm, w tym farmy Quinnow, a wartość handlowa dalszych czterystu domów w okolicy musiałaby ulec drastycznemu obniżeniu. Przestałby też istnieć Szlak Red Creek, popularna dwudziestoczerokilometrowa trasa rowerowa, która wiała się wśród wzgórz otaczających Strattenburg. Obwodnica miała w dwóch miejscach przecinać koryto Red Creek.

Zwolennicy obwodnicy przekonywali, że nowa trasa radykalnie odciąży ruch na Battle Street, przekierowując z niej dwadzieścia pięć tysięcy pojazdów na dobę.

Ale draka, pomyślał Theo, kończąc swoją porcję cheerios. Na szczęście w ten piątkowy poranek obwodnica nie należała do jego zmartwień. Miał na głowie wyjazd na biwak i niewiele poza tym się liczyło.

– Jaki macie plan? – spytała mama, myjąc obie miseczki i odkładając na suszarkę.

– O piętnastej trzydzieści kończymy zajęcia. Wpadnę tylko na chwilę po rzeczy. Wszystko mam spakowane: ciuchy, śpiwór, szczoteczka do zębów i tak dalej. Spotkamy się tu o czwartej i zawieziesz mnie do VFW¹.

– Brzmi rozsądnie. Idź umyć zęby. – Powtarzała to co rano.

Theo pobiegł na górę do swojej łazienki i odkręcił wodę w umywalce, ale nie zwracał sobie głowy myciem zębów. Potem chwycił plecak i zbiegł do kuchni.

– Masz pieniądze na lunch? – Pytała o to pięć razy w tygodniu.

– Jak zawsze.

– Zadania domowe zrobione?

– Spoko, mamó. – Theo był już na wpół za drzwiami.

– Uważaj na siebie, Theo. I pamiętaj, że masz się uśmiechać.

– Uśmiecham się, mamó.

– Kocham cię, Teddy.

– A ja ciebie – rzucił i zamknął za sobą drzwi.

Asesor pobiegł za nim do garażu, Theo podrapał go na pożegnanie za uchem, wskoczył na rower i ruszył do szkoły. Prawdę mówiąc, Theo wcale się nie uśmiechał. Nosił najmasywniejszy aparat korekcyjny ze wszystkich ósmoklasistów i marzył o dniu, gdy się go wreszcie pozbędzie. Może w przyszłym miesiącu, powtarzał niezmiennie jego ortodonta. Burknął pod nosem: „Teddy”. Na szczęście żaden z jego kumpli tego nie słyszał. Było to dziecinne zdrobnienie jego imienia i tylko mama go używała. Nawet tata nazywał go już Theo, czasem tylko Theodore, gdy wygłaszał jedno ze swych kazań. Aż się wzdrygnął na myśl, że któryś z kolegów mógłby się dowiedzieć o „Teddym”. Trzynastoletni chłopcy potrafią być bardzo okrutni, ale jak dotąd Theo udało się uniknąć jakiegoś naprawdę paskudnego przezwiska. Fred Jasper miał jasną karnację i mnóstwo piegów,

i był przezywany Piegusem od tak dawna, że nikt inaczej się do niego nie zwracał. Mając dziesięć lat, Brandon Taylor pokroił kuchennym nożem żabę i od tej pory był Ropuchem. Piegus i Ropuch byli nierozłączni i cały czas trzymali się razem. Biedny Scott Butts miał pecha niefortunnie się nazywać², co owocowało całym mnóstwem zmyślnych i często niesmacznych przezwisk i żarcików. Właściwie każdy ósmoklasista znany był pod jakimś przezwiskiem, które zwykle nie miało nic wspólnego z jego prawdziwym imieniem.

Theo już wielokrotnie prosił mamę, by nie mówiła na niego Teddy, głównie z obawy, że ktoś niepowołany może to usłyszeć. Mama w odpowiedzi tylko się uśmiechała, jakby to zdrobnienie było ich prywatną słodką tajemnicą. Wydała go na świat, kochała jak nikt inny na świecie i skoro Teddy było pierwszym imieniem, jakim go kiedyś nazwała, to zapewne już zawsze będzie tak na niego mówić. Było to imię zastrzeżone dla nich dwojga. W każdym razie Theo miał taką nadzieję.

Pomachał i uśmiechnął się do pana Nunnery'ego, sympatycznego staruszka, który godzinami przesiadywał na ganku swojego domu, zupełnie się nie ruszając. Powietrze było chłodne i przejrzyste, prognoza pogody na najbliższe dni wręcz wymarzoną, ani słowa o deszczu. W zeszłym miesiącu drużyna urządziła obozowisko w pobliżu starych indiańskich kurhanów na terenie parku stanowego i całe trzy dni lało non stop. Było fajnie, ale gdy obozowisko stopniowo zamienia się w grzęzawisko, wszystko jest tak mokre, że nie da się rozpaścić ogniska, jedzenie jest rozmoknięte i niesmaczne, a wszyscy przemoknięci do nitki – no cóż, wtedy lepiej wracać do domu.

Autobus był niegdyś przepisowo żółty i woził dzieci do i ze szkoły, później dopiero przemalowano go na ciemnozielono i dodano biały pas, na którym po obu stronach autobusu napisano wielkimi zielonymi literami:

1440. DRUŻYNA SKAUTÓW - HUFIEC OLD BLUFF – STRATTENBURG

W środku rozsiadło się trzydziestu ośmiu skautów w czyściutkich mundurkach, z zachwytem myśląc o wyrwaniu się z domu i miasta. Za kierownicą siedział major Ludwig, niekwestionowany przywódca całej gromady. Gdy przed wyruszeniem w drogę zakończył odczytywanie listy obecności i zatrzasnął drzwi, w autobusie rozległy się donośne wiwaty. Dochodziło wpół do piątej, był piątek, od zalewu Marlo dzieliły ich dwie godziny jazdy. Na tylnych siedzeniach znalazła się sarta sprzętu biwakowego, wszystko idealnie ułożone pod okiem majora. Na fotelach tuż za kierowcą siedziało trzech ojców, którzy zgłosili się na ochotnika do roli weekendowych opiekunów i których nazywano Zastępem Starych Capów. Ojcowie sączyli kawę z papierowych kubków i chichotali we własnym gronie. Widać było, że są równie podekscytowani jak ich synowie. Autobus przejechał bocznymi ulicami przedmieścia i wyjechał z miasta w kierunku zachodnim. W miarę jak rzędął ruch na szosie i rosła liczba połączonych kilometrów, podniecenie w autobusie opadało i kilku skautów nawet się zdrzemnęło, kilku grało w gry wideo, jeszcze inni czytali. Theo siedział wpatrzony w mijany krajobraz, rozkoszując się chłodnym powiewem na twarzy, gdy Hardie Quinn zamienił się miejscami i usiadł w fotelu obok.

– Mieliśmy wczoraj rodzinny zjazd na farmie – powiedział cicho. – Wszyscy są strasznie zgnębieni tą sytuacją.

– Rozmawialiście z prawnikiem? – spytał również cicho Theo.

– Tak, tata miał wczoraj długie spotkanie z jednym adwokatem. Facet mówi to samo. Jeśli władze chcą nam zabrać ziemię, to mają prawo to zrobić. Oczywiście muszą nam zapłacić, ale pod hasłem wywłaszczenia na cele publiczne mogą robić, co im się spodoba.

Theo pokiwał głową.

– Moi biedni dziadkowie są zrozpaczeni – ciągnął dalej Hardie. – Są małżeństwem od pięćdziesięciu lat i całe życie mieszkali tylko w tym jednym miejscu. Jeśli będą musieli się stamtąd wynieść, to ich zabije. Oboje wczoraj płakali. Było strasznie. Nie chcą pieniędzy, nie chcą żadnych czeków. Chcą mieć swoją własność. Wiesz, dla nich to coś więcej niż ziemia.

Theo pokiwał głową z taką miną, jakby naprawdę wiedział.

– Theo, musimy znaleźć sposób, żeby do tego nie dopuścić – wyszeptał Hardie.

Theo nie bardzo rozumiał, dlaczego tak szybko stało się to też jego sprawą.

– To znaczy co?

– Mój tata uważa, że to sprawa czysto polityczna. Komisja Okręgu składa się z pięciu członków i to oni muszą wyrazić ostateczną zgodę na budowę obwodnicy. Ci z nas, którzy są temu przeciwni, muszą się skrzyknąć i ich przekonać, że to zły pomysł. Tata i wujkowie już próbują się zorganizować. Wszyscy uważają, że byłoby dobrze, gdyby skauci też się włączyli.

– Dlaczego?

– Bo ta obwodnica może naprawdę bardzo zaszkodzić środowisku naturalnemu. Cała miejska woda pitna pochodzi z Red Creek, a nikt nie potrafi przewidzieć, jak budowa obwodnicy wpłynie na rzekę. Poza tym koło szkoły podstawowej Jacksona będzie przejeżdżał sznur ciężarówek. Pomyśl o hałasie i spalinach. Jedno i drugie może być straszne. Może byśmy namówili majora, żeby włączył w to całą naszą drużynę.

– Nie jestem pewny, czy major będzie chciał się wtrącać do lokalnej polityki.

Hardie chwilę się zastanowił.

– Myślę, że powinniśmy pogadać z nim na biwaku – stwierdził. – Znaleźć odpowiedni moment i mu o tym powiedzieć. Niczym nie ryzykujemy.

– Daj mi pomyśleć – odparł Theo. Był trochę zły, że Hardie chce zepsuć atmosferę biwaku rozmowami na taki temat, ale się nie odezwał. Próbował wyobrazić sobie swoje odczucia, gdyby władzom przyszło do głowy zburzyć ich dom i resztę domów w sąsiedztwie, żeby puścić tamtędy przelotową arterię. Oczywiście też nie byłby zachwycony.

Rozdział 7

Pierwszy rzut oka na zalew Marlo zawsze wywoływał w nich podniecenie i wszyscy niecierpliwie czekali na tę chwilę. W pewnym momencie szosa osiągała szczyt wzniesienia i w dole ukazywała się ogromna błękitna tafla wody o szerokości ponad półtora kilometra, ciągnąca się w dal po horyzont. Wzdłuż obu brzegów zalewu wyrastały lesiste wzgórza, niecały kilometr w dół rzeki widać było ogromną betonową zaporę, która ją przegradzała, spiętrzając wodę. Całości nadano status parku stanowego, dzięki czemu brzegi pozostały niezagospodarowane – żadnych domów, apartamentowców, przystani, ludzkich zbiorowisk. Linię brzegową tworzyły wąskie paski plaż, formacje skalne i samotne zatoczki. Jednym słowem, było to idealne miejsce dla skautów chcących spędzać długie weekendy na brataniu się z przyrodą.

Wokół zalewu znajdowało się wiele rozmaitych miejsc na obozowisko – od urządzonych polan z utwardzoną nawierzchnią, kanalizacją i gniazdami zasilającymi dla turystycznych kamperów, aż po dzikie ostępy oddalone od zapory. Kierujący wszystkim major Ludwig zawsze wybierał rejon zwany Enid Point, daleko od zapory i cywilizacji.

Theo sprawność obozowicza zdobył już kilka miesięcy wcześniej, a jednym z wymogów dla uzyskania tej sprawności było prowadzenie dziennika biwakowego. Theo zajrzał wczoraj wieczorem do swojego i upewnił się, że jest w nim na bieżąco. W ciągu dwóch lat przynależności do skautów spędził dwadzieścia jeden nocy nad zalewem Marlo, śpiąc w śpiworze pod rozgwieżdżonym niebem lub – gdy noc była zimna i mokra – w namiocie. W ubiegłym roku drużyna spędziła aż siedem kolejnych nocy

na Enid Point. Dojeżdżali do nich wtedy kolejni ojcowie – w tym również pan Boone – dowożąc jedzenie i obozowe wyposażenie. Był to wręcz magiczny tydzień i Theo był niepokieszony, gdy ta wspinała przygoda się skończyła.

Do dziś często o niej myślał. Na nudnej lekcji w szkole patrzył za okno, marząc o ciągnących się w oddali wzgórzach i cudownych beztroskich dniach, które jemu i reszcie skautów upływały na włóczędździe z plecakami po lesie i poznawaniu przyrody. Spędzali też dużo czasu na wodzie, zdobywając sprawności pływaka, wioślarza i ratownika. Major prowadził zajęcia z pierwszej pomocy i gotowania, a wieczorami z astronomii. Czas płynął leniwie, choć major jak zawsze popędzał chłopców, by bardziej się starali. Skautów Pierwszej Klasy dopingował do zdobywania stopnia Gwiazdy, potem Życia i Orła. W regulaminie skautingu znajdowało się sto dwadzieścia sprawności do zdobycia i major lubił powtarzać, że żaden z chłopców nie powinien spocząć, póki nie zdobędzie przynajmniej połowy z nich. Sześćdziesiąt sprawności? Wydawało się to niewykonalne. Truman, piętnastoletni Skaut Orli, który od trzech lat był zastępowym Guźców i najlepszym skautem w całej drużynie, miał ich tylko czterdzieści siedem. Jego szarfa aż się mieniła od kolorowych naszywek, stanowiąc przedmiot zazdrości wszystkich członków drużyny, ale major i tak upominał się o więcej.

Theo już postanowił, że w przyszłości zostanie nie tylko sędzią czy prokuratorem, ale także drużynowym skautów. Wiedział, że to zajęcie, na którym się nie zarabia, ale skoro major może się tym zajmować i robi to tak dobrze, on też przynajmniej spróbuje.

Autobus chrzęścił oponami po żwirowej nawierzchni drogi, mozolnie wspinając się na kolejne wzniesienia i zjeżdżając ze wzgórz porośniętych wysokim lasem i gęstym podszyciem. Zwykle ich rozstawanie się z cywilizacją, liczone od pierwszego rzutu okiem na zalew do chwili dotarcia do Enid Point, trwało pół godziny. W pewnej chwili kończył się żwir i

zaczynał zwykły bity trakt, co Theo kojarzyło się z jednym z wyjazdów, kiedy to ulewne deszcze tak rozmyły drogę, że drużyna musiała zostać na biwaku o jeden dzień dłużej. Był to ten sam wyjazd, kiedy namioty zaczęły zsuwać się po błotnistym zboczu i chłopcy musieli przenieść się do autobusu, by nie zmarznąć na kość. Wtedy był to prawdziwy koszmar, ale z perspektywy czasu przygoda wydawała się całkiem zabawna i często do niej wracali we wspomnieniach.

Na szczęście na Enid Point nie było innych biwako- wiczów. Drużyna miała wprawdzie wydzielony dla siebie kawał terenu, ale obecność obcych zawsze trochę komplikowała program pobytu. Major wezwał do siebie pięciu zastępowych i wspólnie wytyczyli granice obozowiska. Trzydziestu ośmiu skautów sprawnie przystąpiło do dzieła, wyładowując namioty i zaopatrzenie. Za godzinę miało zrobić się ciemno i zastępowym zależało, by do tej pory wszystkie namioty już stały i można było rozpaść ognisko. Namioty pięciu zastępów rozstawiono w równych rzędach od centralnego paleniska, niczym pięć szprych koła. Wszystkie dwuosobowe namioty wyglądały identycznie i zostały rozstawione równo o sto dwadzieścia centymetrów od siebie. Major uwielbiał precyzję we wszystkim i nalegał, by obozowisko miało idealnie symetryczny układ.

Theo i pozostali zastępowi rozdzielili funkcje pomiędzy członków swoich zastępów. Przygotowania do piątkowej kolacji jak zwykle trwały dość krótko i niedługo po zapadnięciu zmroku chłopcy siedzieli już wokół ogniska, jedząc opiekane nad ogniem kiełbaski i słodkie bułeczki. Pan Bennet z Zastępu Starych Capów zapalił fajkę i w powietrzu rozeszła się aromatyczna woń, a pan Hogan, ojciec Ala, zaczął opowiadać historie o duchach, okazując się całkiem utalentowanym gawędziarzem. Przy trzeciej historii – opowieści o mordercy bez głowy, którego ostatnio widziano z siekierą w okolicach zalewu Marlo – chłopcy troszkę zacieśnili szyki. Tradycją drużyny było, że uczestniczący w biwakach ojcowie musieli snuć

mrożące krew w żyłach opowieści, których tak dobrze słucha się przy ognisku. Mieli odpowiednio wystraszyć wszystkich słuchaczy.

Ulubiona trasa nocnych spacerów wiodła kamienistą ścieżką tuż nad brzegiem zalewu. Po kolacji i wysłuchaniu historii o duchach chłopcy wyjęli latarki i major poprowadził drużynę na długi relaksujący spacer. Zatrzymali się nad zatoczką z piaszczystą łąką obmywaną przez fale i spojrzeli w górę. Świecił pękaty księżyc, ale niebo było częściowo zachmurzone i niemal bezgwiazdne. Major obiecał, że spróbują ponownie w sobotę wieczorem. Przed dziesiątą wrócili do obozowiska i zaczęli się szykować do snu.

Uśnięcie pierwszej nocy zawsze stanowiło problem. Leśne otoczenie, oddalenie od domu, ciepły śpiwór w małym namiocie, cykanie świerszczy, rechot żab i parskanie jeleni – wszystko to było tak ekscytujące, że nie dało się myśleć o śnie. Theo i Woody rozmawiali po cichu, nasłuchując szmerów dochodzących z innych namiotów. Słysząc też było rozmowy i salwy śmiechu Starych Capów, którzy nadal siedzieli przy ognisku. Mniej więcej co pół godziny major obchodził namioty, strofując chłopców, by przestali gadać i wreszcie usnęli. W końcu to zrobili.

Theo obudził się wcześniej i wyślizgnął ze śpiwora. Włożył trampki i wysunął się z namiotu, nie budząc Woody'ego, który spał jak zabity. Słońce ledwo wzeszło, powietrze było rześkie i chłodne, mężczyźni siedzieli przy buchającym ognisku pośrodku obozowiska, popijając poranną kawę. Na ruszcie stał dzbanek z gorącym kakao, major napełnił kubek i podał Theo. Dlaczego wszystko zawsze dużo lepiej smakuje na biwaku? Z namiotów wyłaniali się kolejni skauci, przecierając oczy z resztek snu, nieświadomi tego, jak wyglądają ich czupryny po nocy spędzonej w namiocie. Byli chłopcami, więc właściwie nic ich to nie obchodziło. Matki i siostry zostały w domach dziesiątki kilometrów stąd. Wygląd i higiena osobista na biwaku

nie miały znaczenia. Nie zamierzali się kąpać ani myć zębów do powrotu do domu, choć major na pewno będzie im o tym przypominał.

Drużyna coraz liczniej powracała do życia i zaczynały przeważać rozmowy o śniadaniu. Wkrótce powietrze wypełnił zapach bekonu skwierzącego nad ogniem. U Sokołów obowiązek przygotowania śniadań w sobotę i w niedzielę dla wszystkich ośmiu członków zastępu spadł na Phillipa, który szczegółowo obmyślił menu obu posiłków. Theo, który już dawno temu zdobył sprawność kucharza, zaczął pomagać koledze w zdobyciu tej sprawności. Na sobotnie śniadanie Phillip zaplanował jajecznicę z kiełbaskami i opiekane na patelni tosty z pszennego chleba do dżemu. Phillip smażył jajecznicę, Theo mu się przyglądał, reszta zastępu rozeszła się po lesie w poszukiwaniu drewna do ogniska. Major zatrzymał się na chwilę, by przypomnieć o obowiązku utrzymania obozowiska w czystości.

Po śniadaniu i zmywaniu drużyna podzieliła się na małe grupki. Skaut Orli Truman wyruszył w towarzystwie pięciu kolegów w ponadtrzydziestokilometrowy marsz. Wszyscy w jego grupie walczyli o zdobycie sprawności piechura. Szesnastoletni Skaut Orli Gavin – najstarszy chłopiec w drużynie – i trzech koledzy wypłynęli dwoma kajakami z zamiarem przepłynięcia wszerz całego zalewu Marlo. Wycieczka tam i z powrotem miała potrwać osiem godzin. Inne grupki zajęły się przygotowaniem do zdobycia sprawności obozowicza, pierwszej pomocy, przyrodnika i wędkarza.

Hardie powiedział majorowi, że chcieliby z Theo porozmawiać z nim chwilę na osobności. Wyczekali na moment, gdy nic specjalnego się nie działo, i odeszli kawałek od obozowiska. Przespacerowali się na wierzchołek pobliskiego wzniesienia i znaleźli obrośniętą, krzakami płytę skalną, z której roztaczał się piękny widok na zalew. Hardie od razu

przystąpił do rzeczy. Rozpoczął od historii rodzinnej farmy i pełnym wzruszenia głosem opowiedział, dlaczego to miejsce tak wiele dla niego znaczy. Podkreślił, że budowa obwodnicy nie tylko zniszczy ich farmę, ale zrujnuje też historię całej rodziny. Jego dziadkowie zostaną zmuszeni do przeprowadzki. Oświadczył, że jego zdaniem skauci mają obowiązek dbać o przyrodę, a wszystkie regulaminy skautingu są pełne zaleceń w kwestii dbania o środowisko naturalne. Dlatego prosi, by cała drużyna, a ściślej mówiąc, wszystkie trzy drużyny działające w Strattenburgu, włączyły się czynnie w walkę o niedopuszczenie do powstania obwodnicy.

Theo słuchał i tylko od czasu do czasu kiwał potakująco głową. Czuł, że prośba Hardiego nie budzi entuzjazmu drużynowego. Chłopiec skończył i głos zabrał major.

– Rozumiem, co czujesz – powiedział – ale to nie jest zadanie dla nas. Z tego co wiem z prasy i telewizji, to przedmiot kłótni polityków. Gubernator chce tej obwodnicy. Podobnie kilku senatorów z rejonów na południe i północ od Strattenburga. Nasi lokalni przywódcy nie są pewni, ale w końcu zmuszą ich do podjęcia decyzji.

– Ale to nie w porządku, to niesprawiedliwe – wybuchnął Hardie. – Jak państwo może odbierać prywatną własność na realizację złego projektu?

Major uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Spójrz na to piękne jezioro, Hardie. Ono nie zostało stworzone przez naturę. O nie, kochany. – Przesunął rękę ku środkowi zalewu. – Tam jest blisko sześćdziesięciometrowa głębina. A niegdyś w tym miejscu było miasto. Mała miejscina o nazwie Coldwater. Przez jej środek płynęła rzeka Enid, która z grubsza raz na pięć lat wylewała. Zatapiała nie tylko Coldwater, ale całą okolicę, bo rzeka była dzika i narowista i od zawsze groziła powodzią. Zalewała tereny wiele kilometrów w górę i w dół od tej doliny. Farmerzy i właściciele ziemi tracili zbiory, domy, firmy i od wielu lat skarżyli się na powódzie. W końcu, jakieś sześćdziesiąt lat temu, władze stanu zdecydowały się zbudować zaporę, ujarzmić rzekę i raz na zawsze

skończyć z powodziami. Właśnie wtedy powstał ten zalew. Nazwano go na cześć Herberta Marlo, ówczesnego gubernatora stanu. – Skierował rękę w stronę zapory, ledwie widocznej z tej odległości. – I wiecie, co się wtedy stało? Wielu okolicznych mieszkańców nie chciało odsprzedać swojej ziemi. Mimo ciągłych powodzi i wbrew zdrowemu rozsądkowi zaczęli walczyć z zaporą. Wynajęli prawników i wytoczyli sprawy sądowe, robili wszystko, żeby nie dopuścić do jej budowy. Ciągnęło się to latami. Słyszeliście o wywłaszczeniu na cele publiczne?

– Theo mi wyjaśnił – kiwnął głową Hardie.

– Bez takiego prawa władze stanowe nie mogłyby stworzyć tego zalewu. Jeden uparty właściciel ziemi mógłby zablokować cały projekt i powodzie nadal by wszystkich zalewały. Bez tego prawa nie mielibyśmy zapór, zalewów, szos, parków stanowych, kanałów, portów, bardzo wielu rzeczy. Hardie, kiedy jest się wywłaszczanym na mocy tego prawa, człowiek czuje się bardzo pokrzywdzony, ale pomyśl o korzyściach dla całej społeczności.

– Tylko że ten projekt był konieczny. A obwodnica nie jest.

– Niektórzy uważają, że jest. Nabiera to charakteru karczemnej awantury i nie ma tam miejsca dla skautów. Jeśli uważasz, że to niesprawiedliwe, powinieneś walczyć tak zawzięcie, jak tylko potrafisz. Włącz się i walcz.

Z gazety wiem, że istnieje już kilka grup przeciwników tej budowy. Spożytkuj swoją energię i dołącz do nich, ale drużyny do tego mieszaj.

Theo nie dziwiło stanowisko majora. Sprawa obwodnicy z daleka cuchnęła polityką i skauci nie powinni się do tego mieszać. Wrócili do obozowiska, gdzie właśnie trwały przygotowania do długodystansowego pływania.

Rozdział 8

Po lunchu zastęp Sokołów wyszedł z obozowiska i wyruszył na ośmiokilometrową wycieczkę na wierzchołek góry Thatch, co miało im zająć niemal całe popołudnie. Thatch tak naprawdę nie była prawdziwą górą, a jedynie stromym wzgórzem, zwieńczonym na szczycie kilkoma formacjami skalnymi. Wzgórze porastała bujna roślinność i oplatały trakty obiecujące przygodę. Podobno zbocza zasiedlała liczna populacja węży z gatunku mokasynów miedziogłowców. Theo ani żaden z członków zastępu Sokołów nigdy w życiu nie widział miedziogłowca, grzechotnika ani właściwie żadnego jadowitego węża, ale wszyscy mieli nadzieję, że w zaroślach natkną się na jakiegoś gada. Cztery miesiące temu Al Hogan z zastępu Guźców widział mokasyna w pobliżu wierzchołka Thatch i myśl o tym niesłychanie podniecała cały zastęp. Alowi udało się zrobić zdjęcie telefonem komórkowym, zdjęcie trafiło na Facebooka i co najmniej połowa uczniów ze Strattenburga miała okazję podziwiać gada. Miał zaledwie około pół metra długości i spokojnie wygrzewał się na słońcu, nie przeszkodziło to jednak, by w ciągu doby w relacjach chłopaka urósł na „ogromnego i bardzo agresywnego”, a Al miał szczęście, że wyszedł z tego spotkania z życiem.

Opuszczając obozowisko, wszyscy członkowie zastępu Sokołów zapakowali do plecaków butelki z wodą, przekąski i apteczki pierwszej pomocy. Wróg krył się w zaroślach i skauci byli gotowi stawić mu czoło. Major przypomniał im o grożącym niebezpieczeństwie, nakazał ostrożność i polecił wrócić punktualnie o szesnastej. Miał przypięte do pasa walkietalkie i kazał Theo meldować się co godzinę.

Jednak węże albo się ukryły, albo za bardzo wystraszyły Sokołów, bo chłopcy dotarli na wierzchołek bez żadnych przygód. Na górze zrobili sobie odpoczynek, rozsiedli się na głazach i posilili serowymi krakersami, podziwiając wspaniały widok na leżące daleko w dole jezioro. Theo, zastępowy wszystkowiedzący, opowiedział kolegom o miasteczku Coldwater, opisał zalewające je powódzie i dodał, że miasteczko wciąż tam jest, ukryte sześćdziesiąt metrów pod powierzchnią wody. Woody zarzucił mu, że zmyśla, zaczęli się sprzeczać i w końcu założyli się o dolara. Postanowili zaraz wracać do obozowiska, by poprosić majora o rozsądzenie sporu.

Ruszyli w dół. Theo szedł pierwszy, reszta kolegów podążała gęsiego za nim, gdy nagle ospałą atmosferę drogi powrotnej rozdarł okrzyk: „Mokasyn!”.

W każdym zastępie skautów musi być co najmniej jedna ofiara losu, której wciąż coś się przytrafia. A to zapomni zabrać z domu skarpetki i bieliznę, a to przewróci dystrybutor do wody, a to zapomni latarki i papieru toaletowego, a to nagle coś go wystraszy w środku nocy, a to się pochoruje i zwymiotuje za blisko namiotów, a to się wysika tuż za namiotem albo przypali naleśniki, albo nie pozmywa naczyń, albo pozwoli ognisku zgasnąć. Ktoś taki do końca świata pozostaje szeregowym skautem, bo nie jest dość bystry na to, by awansować. Kogoś takiego zawsze można podpuścić, żeby zrobił coś głupiego, a on to robi, żeby pokazać, jaki to z niego luzak i zuch.

Ktoś taki sądzi też, że z mokasynem miedziogłowcem można się pobawić.

W zastępie Sokołów taką ofiarą losu był Percy.

Na występie skalnym nad urwiskiem rzeczywiście leżał wąż — długi, gruby i zastygły w bezruchu. Leżał, wpatrując się w ludzi, którzy na jego widok zamarli i też zaczęli się na niego gapić. Ósemka chłopców obstała go półkolem, wpatrując się z niedowierzaniem w groźnego gada, którego

znali jedynie z barwnych ilustracji w podręcznikach przyrody. W naturze mokasyn wyglądał dużo straszniej, jednak jego wygląd budził nie tylko lęk, ale i podziw. Ubarwienie i wzory na jego ciele były niezwykle, bardzo jasne miedziane łuski zdawały się lśnić w słońcu.

Dzieliły go od nich bezpieczne cztery metry, wąż nie wykazywał żadnych oznak agresji, chłopcy nie próbowali podchodzić bliżej. Theo wiedział, że powinni spokojnie się oddalić i zostawić gada w spokoju. Pamiętał, że jako zastępowy odpowiada za zastęp i że to na niego spada obowiązek wyprowadzenia kolegów ze strefy zagrożenia. Był tego wszystkiego świadomy, nie mógł jednak oderwać wzroku od węża.

– To na pewno prawdziwy mokasyn? – spytał ktoś.

– Jasne, że tak – odburknął Woody. – Spójrz na jego kolor i wzór łusek, spójrz na trójkątną głowę. Tam ma jad. – Woody hodował kiedyś węże, oczywiście nie jadowite, więc o gadach wiedział więcej niż ktokolwiek w zastępie. Nie przeszkodziło to, by od razu znalazło się paru znawców tematu.

– Jest za duży na mokasyna – orzekł któryś.

Rzeczywiście był bardzo duży.

– To chyba samiec – dodał ktoś inny.

– U węży nie da się tego poznać na odległość – zaprzeczył Woody. – Trzeba by go podnieść i zajrzeć od spodu.

– To go podnieśmy – zaproponował Percy.

– Zwariowałaś? – zachnął się Theo. Na samą myśl o dotknięciu węża wszyscy cofnęli się o krok.

Wzajemne mierzenie się wzrokiem potrwało jeszcze chwilę, po czym wąż, jakby wyczuwając grożące mu niebezpieczeństwo, powoli zwinął się w kłęb i przyjął postawę obronną. A może właśnie zaczepną? Uniósł głowę, jakby szykował się do ataku, z pyska wystrzelił oślizgły czarny język.

– O kurczę – sapnął ktoś.

– Wycofujemy się.

Jednak Percy postanowił popisać się odwagą lub głupotą, bo nagle ruszył w stronę węża. W ręce trzymał kij – krzywą suchą gałąź – którym machnął w stronę gada.

– Percy, cofnij się! – krzyknął Theo.

– Ty kretynie! – wrzasnął Woody.

Phillip wyciągnął rękę, żeby przytrzymać Percy’ego, który zrobił kolejny krok z kijem wyciągniętym w stronę węża. Wąż gwałtownie zaatakował kij, ale chybił. Atak był tak błyskawiczny, że nawet Percy na moment się zawahał.

To, co się później stało, miało stanowić przedmiot wielomiesięcznych sporów i być latami wspominane. Percy twierdził, że stojący za nim Phillip go popchnął i to sprawiło, że runął wprost na węża. Phillip z kolei przysięgał, że chciał chwycić Percy’ego za ramię, by go odciągnąć, ale nie zdążył go nawet dotknąć, bo Percy się zachwiał, stracił równowagę i upadł. Ponieważ reszta Sokołów wpatrywała się z napięciem w mokasyna, nikt tak dokładnie nie widział, co spowodowało upadek Percy’ego. Wszyscy jednak znali go na tyle dobrze, by jednomyślnie stanąć po stronie Phillipa.

Percy wrzasnął z przerażenia, padł na ziemię i potoczył się w stronę węża, po czym wrzasnął po raz drugi, gdy zęby węża wbiły mu się w prawą łydkę, w połowie wysokości między kostką a kolaniem. Atak nastąpił w chwili, gdy Percy próbował na czworakach odczołgać się od gada. W tym momencie wszyscy już wrzeszczeli w niebogłosy, wybuchła ogólna panika, mokasyn wpełzł między dwa głązy i zniknął.

Percy, tak jak wszyscy chłopcy, był w krótkich spodenkach i w ciągu dosłownie paru sekund na jego prawej łydce pojawił się obrzęk wielkości piłki tenisowej. Chłopiec jęczał i płakał, zwijając się z bólu i strachu. Woody odciągnął go na trawiasty kawałek zbocza i skauci oszołomieni tym, co przed chwilą widzieli, otoczyli go kołem.

Właściwie stanowiło to spełnienie marzeń każdego skauta. Prawdziwe poważne ukąszenie przez jadowitego węża. Odjazdowa przygoda!

– Theo, zrób coś! – wrzeszczał Percy, zanosząc się szlochem. – Szybciej! Ja umieram!

Theo był jedynym członkiem zastępu z zaliczoną sprawnością pierwszej pomocy, a poza tym ich zastępowym. Nagle wszystkie oczy skierowały się na niego. Theo spojrzął na Woody’ego i zarządził:

– Zawiadom majora.

Pełniący obowiązki zastępcy zastępowego Woody włączył walkie-talkie i poinformował drużynowego, że mają rannego.

– Co mamy robić? – zakończył pytaniem.

– Gdzie jesteście? – spytał major.

– Pod wierzchołkiem. Przed chwilą zaczęliśmy schodzić.

– Czyli mam do was trochę ponad trzy kilometry. Już wyruszam. Powiedz Theo, żeby opatrzył ranę.

– Dobrze.

Theo już zdążył rozpakować apteczkę. Był bardzo podenerwowany, a gdy jeszcze usłyszał, że major każe mu „opatrzyć ranę”, serce podeszło mu do gardła.

Żartowniś Bo rzucił od niechcienia:

– Podobno węże zawsze trzymają się parami.

Słyszając to, skauci omal nie wyskoczyli ze skóry i zaczęli nerwowo się rozglądać. Nie dojrzel nic, więc przenieśli uwagę z powrotem na Percy’ego.

Theo próbował nad wszystkim zapanować. Ukląkł obok Percy’ego i powiedział:

– Przede wszystkim musisz się położyć i spokojnie leżeć, kapujesz?

Percy wrzeszczał i wierzgał nogami, skręcając się z bólu i przerażenia.

– Zrób coś, Theo, zrób coś!

– Leż spokojnie i unieś głowę. Musisz trzymać głowę powyżej miejsca ukąszenia, rozumiesz?

Wyglądało na to, że słowa Theo dotarły do Percy'ego, bo przestał krzyczeć i próbował się uspokoić. Oparł się na łokciach, z policzków kapały mu łzy.

– Theo, chyba trzeba zrobić nacięcie nad śladem ukąszenia i wyssać jad, nie?

– Nie – odrzekł Theo. – Tak się nie postępuje z ukąszeniami węży.

– A właśnie że tak – zachnął się Woody. – Widziałem na YouTube.

– Ja też – dodał Phillip. – A w dodatku to był wielki wąż i miał mnóstwo jadu. Jeśli szybko tego nie wyssimy, amputują mu nogę.

Percy zawył.

– Mógłbyś się przymknąć? – warknął Theo.

Oliver uklękł naprzeciwko Theo z otwartym zestawem pierwszej pomocy dla ofiar ukąszeń przez węże.

– Theo, mam tu instrukcję – powiedział. – Jest wyraźnie napisane, że trzeba tym nożykiem zrobić nacięcia powyżej obu śladów zębów węża. – Uniósł nożyk z trzycentymetrowym ostrzem, które mimo to wydawało się ogromne. – Tu piszą, że trzeba naciąć na krzyż nad śladami ukąszeń, przyłożyć ssawkę i wyssać jad.

– To już może lepiej najpierw mnie zastrzelcie – jęknął Percy i znów zaczął płakać.

– To przestarzała metoda na ukąszenia – oświadczył Theo.

– To zupełnie nowy zestaw pierwszej pomocy – zaperzył się Oliver.

– Nie szkodzi.

– Słyszałem, że trzeba założyć opaskę uciskową pięć centymetrów nad miejscem ukąszenia – wtrącił Phillip.

– Ktoś jeszcze ma jakieś głupie pomysły? – burknął Theo.

Oliver spojrział na Percy'ego.

– Słuchaj, Percy – powiedział. – Ja uważam, że powinniśmy ci wyssać jad. Ale to w końcu twoja noga. Co ty o tym sądzisz?

– Sądzę, że już nie żyję, a wy, pajace, się tylko wymądrzacie. – Przymknął powieki, po czym dodał: – Theo, zaczyna mi się kręcić w głowie.

– Odsuńcie się – zarządził Theo. Sprawnie owinął ranę sterylnym bandażem i przykleił koniec kawałkiem przylepca. Percy cały czas pojękiwał, ale przestał wierzgać i się skręcać. – Zrobimy tak – powiedział Theo. – Trzeba jak najszybciej przenieść go do obozowiska, potem przetransportować do szpitala. Zaczynamy znosić go najdelikatniej, jak się da, aż spotkamy majora. Pilnujcie, żeby miejsce ukąszenia było cały czas poniżej serca. Phillip, ty idź przodem i rozglądaj się za węzami.

– Myślę, że powinniśmy go pociąć i użyć ssawki – powtórzył Oliver. – W dawnych czasach wysysano jad ustami. Jak się miało dziurę w zębie, to jad trafiał prosto do mózgu i ratownik umierał jeszcze przed ofiarą.

– Zechciałbyś się przymknąć! – syknął ponownie Theo.

Unieśli Percy'ego z ziemi i opletli jego ramiona wokół karków Woody'ego i Cala. Theo uchwycił jego zranioną nogę, Oliver złapał za drugą.

– Ostrożnie – powiedział Theo. – Percy, nie ruszaj się, bo przy ruchu jad szybciej krąży. Może ci się zrobić niedobrze. Jeśli będzie ci się zbierało na wymioty, to uprzedź. Bez żadnych niespodzianek, dobra?

– Dobra, dobra. – Percy ciężko dyszał, ale przestał już płakać. Przymknął oczy, żeby nie musieć patrzeć na nogę, która puchła coraz bardziej.

Zaczęli się posuwać ścieżką w dół, czując, że ich pacjent z każdą chwilą robi się coraz cięższy. Po dziesięciu minutach zatrzymali się, by odsapnąć.

– Percy, porozmawiaj ze mną – powiedział Theo. – Nie wolno ci usnąć.

– Nie śpię – bąknął słabym głosem Percy.

– Jest ci niedobrze?

– Na pewno niedobrze jest z moją nogą.

– Mówię o żołądku.

– Jeszcze nie. Theo, czy ja umrę?

– Nie. To tylko mokasyn miedziogłowiec. Mokasyny nie zabijają ludzi, ale nieźle się pochorujesz.

– Wielki był, nie?

– Tak, bardzo duży.

– Zrobił ktoś zdjęcie?

Chłopcy spojrzeli po sobie. Dopiero teraz sobie uświadomili, że byli zbyt przejęci, by pomyśleć o robieniu zdjęć.

– Chyba nie – mruknął Theo.

– Powinienem zadzwonić do mamy? – spytał Percy.

– Lepiej niech to zrobi major. Ruszamy.

Znów unieśli Percy'ego z ziemi i podążyli ścieżką w dół. Byli już mocno zdyszani, gdy zza zakrętu wyłonił się major w towarzystwie panów Hogana i Bennetta. Percy był nadal przytomny i narzekał tylko na zawroty głowy. Znieśli go do obozowiska i ułożyli na stole obok pomostu dla łodzi. Major odwinął bandaż, by rzucić okiem na ranę. Widać było, że opuchlizna na nodze zrobiła na nim wrażenie. Chwilę potem Percy złapał się za brzuch i zaczął wymiotować.

Major odprowadził go na bok i przyłożył mokry ręcznik do czoła i ust. Im więcej Percy wymiotował, tym głośniejsze płakał. Wszystko razem wyglądało bardzo żałośnie.

A potem usłyszeli nadlatujący śmigłowiec.

Rozdział 9

Podczas kolacji panowała ponura atmosfera, prawie nie rozmawiano, nikt się nie śmiał. Członkowie zastępu Sokołów trzymali się razem. Siedzieli przy swoim ognisku i jedli grillo wane piersi kurczaka i ziemniaki upieczone w folii aluminiowej w żarze. Po zapadnięciu ciemności przenieśli się do głównego ogniska obozowego i dołączyli do reszty drużyny. Tu też wszyscy byli wyciszeni i pogrążeni w myślach. Major zadzwonił ze szpitala, dokąd poleciał z Percym śmigłowcem pogotowia lotniczego. Przy chłopcu byli już jego rodzice i wszystko zdawało się pod kontrolą. Na szczęście szpital miał duży zapas antytoksyny jadu miedziogłowców i stan Percy'ego był stabilny.

Koledzy rozmawiali ściszymi głosami, opiekając nad ogniem słodkie bułeczki i grzejąc się w ciepłe płonących polan. Wszystkich nękały pytania w rodzaju: czy on przeżyje i czy straci nogę, ale nikt nie zadawał ich głośno. Nieoczekiwanie dla samych siebie zaczęli opowiadać historie o węzach. Nie miało to sensu, bo i bez tego byli wystarczająco spięci i wystraszeni. Każdy szmer w ciemnościach mógł oznaczać grzechotnika. Każdy syk palącej się szczapy mógł zwiastować nieznany gatunek żmii. Każde trzaśnięcie gałązki w oddali mogło sygnalizować następnego wielkiego mokasy, który zachodził ich od tyłu. A mimo to co jakiś czas któryś ze skautów skradał się od tyłu do kolegi, szczypał go w szyję palcami i syczał do ucha: „Wążzz!”. Żart był dość niesmaczny, ale każdorazowo wywoływał wybuch nerwowego śmiechu. W końcu pan Bennett z wolna odciągnął ich od tematu gadów, przerzucając się na dużo stosowniejsze opowieści o zombie i wampirach.

Około dziewiątej ciemności rozświetliły reflektory nadjeżdżającego samochodu. Wrócił nim ze szpitala major, który stanął przy ognisku i przekazał najnowsze wieści o Percym. Noga bardzo spuchła i chłopak ogólnie czuł się podle, ale był przytomny i wyglądało na to, że wszystko dobrze się skończy. Miał zostać kilka dni w szpitalu, po czym miano go wypisać do domu. Największy niepokój budziły uszkodzenia skóry wokół miejsca ukąszenia. W tkankę mięśniową wdała się martwica i lekarz obawiał się, że na nodze może zostać duża blizna.

Major zjadł szybką kolację, po czym kazał całemu zastępowi Sokołów przejść z nim nad wodę. Wszyscy usiedli na kłodach w pobliżu miejsca, gdzie fale łagodnie rozbijały się o skalisty brzeg. Nad głowami świecił księżyc w pełni, wieczór był piękny i nikt nie oczekiwał kłopotów.

Z wyjątkiem Theo, który czuł, że szykuje się ochrzan.

Major polecił Woody'emu, by pierwszy opowiedział, co się wydarzyło, a Woody szczegółowo i rzetelnie zrelacjonował przebieg spotkania z mokasynem miedziogłowcem. Gdy skończył swoją opowieść, major odesłał go z powrotem do obozowiska. Jako drugi przedstawił swoją wersję Cal i też został odesłany. Major tak samo postąpił z Phillipem, potem z Oliverem i całą resztą.

Nagle Theo został sam na sam z majorem, który siedział w milczeniu, wpatrując się w odbicie księżyca w tafli zalewu.

– Theo, czy potwierdzasz ich relacje? – spytał drużynowy po dłuższej chwili.

– Tak, panie majorze – odrzekł bez wahania Theo.

Major przeniósł się na kłodę obok Theo, odchrząknął i zapytał:

– Theo, co robi zastępowy, gdy jego zastęp spotyka groźne zwierzę?

– Zależy jakie – odrzekł ostrożnie Theo.

– W tym przypadku chodziło o jadowitego węża.

– Powinien natychmiast ostrzec zastęp, żeby nikt się do niego nie zbliżał, i jak najszybciej opuścić strefę zagrożenia.

– Czy tak właśnie postąpiłeś?

Theo głośno przełknął ślinę.

– Nie, panie majorze – powiedział.

– Czy od początku wiedziałeś, że ten wąż to mokasyn miedziogłowiec?

– Tak, panie majorze.

– Ile gatunków jadowitych węży spotykamy w tej części kraju?

– Trzy. Miedziogłowce, węże koralowe i grzechotniki drzewne.

– I dowiedziałeś się o tym w trakcie zdobywania sprawności przyrodnika, czy tak?

Theo widział zbyt wiele powtórek starych odcinków Perry’ego Masona i słuchał zbyt wielu wystąpień na salach sądowych, by nie wiedzieć, że major szykuje się do zadania finałowego sztychu.

– Tak, panie majorze – bąknął.

Zapadła cisza. Obaj wpatrywali się w milczeniu w rozświetlone blaskiem księżyca wody zalewu. Theo wiedział, że głos należy do majora.

– No cóż, Theo – przemówił w końcu drużynowy. – Wygląda na to, że zastęp Sokołów podczas pieszej wycieczki w terenie powszechnie znanym z występowania licznej populacji mokasynów miedziogłowców natknął się na jednego z nich i to bardzo dużego, po czym zamiast natychmiast podjąć odpowiednie działania, by nie dopuścić do ataku węża, zachował się dokładnie odwrotnie. Skauci zbliżyli się do węża na niebezpieczną odległość, a następnie Percy podniósł kij i zaczął go drażnić. Ty jako zastępowy miałeś na szczęście dość oleju w głowie, by kazać wszystkim się cofnąć, jednak Percy, który – jak wszyscy wiemy – nie jest najbardziej zdyscyplinowanym członkiem drużyny, z jakiegoś powodu stracił równowagę i przewrócił się wprost na węża, co skończyło się ukąszeniem. Czy to z grubsza odpowiada prawdzie?

Theo zapewne skorygowałby parę drobiazgów w opowieści majora, ale nie był to najważniejszy moment na wyklócanie się o detale. A w najważniejszych sprawach wersja majora była w pełni prawdziwa.

– Tak, panie majorze – powiedział, przygryzając wargę.

Znów zapadła cisza i tylko z oddali dochodziły wybuchy śmiechu siedzących przy ognisku. Szczęściarze.

– No dobra, Theo – rzekł major po długim milczeniu. – Załóżmy, że jesteś adwokatem. Wygłoś teraz swoją mowę obrończą.

No wreszcie, pomyślał Theo.

– Wersja wydarzeń, którą panu przedstawiono – zaczął bez chwili zastanowienia – w zasadzie odpowiada prawdzie, trzeba też jednak uwzględnić kilka dodatkowych szczegółów. Po pierwsze, wszyscy przez cały czas byli nastawieni na spotkanie z miedziogłowcem i każdy Sokół miał w plecaku zestaw pierwszej pomocy przy ukąszeniu węża. Może te zestawy nie były najlepsze, ale można powiedzieć, że byliśmy przygotowani. Dlatego gdy zobaczyliśmy tego mokasyna, w dodatku tak wielkiego i pięknego, nie mogliśmy nie przystanąć, żeby lepiej mu się przyjrzeć. I tak właśnie zrobiliśmy. Stanęliśmy, żeby go podziwiać. Chyba się pan ze mną zgodzi, że to czysto ludzki odruch. Idzie się na wycieczkę do lasu, ma się nadzieję na jakąś przygodę i nagle ta nadzieja przybiera postać groźnego węża. Człowiekowi aż trudno uwierzyć w swoje szczęście. Musi się na chwilę zatrzymać i przyjrzeć. Na naszym miejscu każdy by się tak zachował, przynajmniej każdy skaut. To prawda, podeszliśmy trochę bliżej, ale to nie znaczy, że naraziłem swój zastęp na niebezpieczeństwo. Absolutnie nie. Wąż nie mógł nas dosięgnąć w miejscu, w którym staliśmy, zresztą on tylko leżał i nie wykonywał żadnych ruchów. Nie byliśmy w niebezpieczeństwie. Staliśmy blisko, to prawda, ale nie w polu ataku. Wąż leżał rozciągnięty na skalnym występie, ale gdy w pewnej chwili powoli się zwinął i przyjął pozycję obronną czy zaczepną, nie jestem pewny, bo nie wiem, jak się to rozróżnia, od razu kazałem zastępowi się cofnąć. Przez

chwile nikt się nie ruszył, nawet ja, ale widziałem, że wszyscy są gotowi odskoczyć. I wtedy ten głupi Percy z kijem w ręce zrobił krok do przodu, bo postanowił się zabawić. Gdy zobaczyłem ten kij, od razu wrzasnąłem, żeby się cofnął, ale on niespodziewanie rzucił się do przodu. I tak ma szczęście, że nie został ukąszony w szyję lub w twarz.

Major słuchał tak, jakby ważył każde słowo. Theo skończył, zapadła kolejna długa cisza i obaj znów wpatrzyli się w wodę. W końcu major zaczął mówić:

– Na dowodzenie składa się wiele różnych rzeczy, Theo. Szczegółowe planowanie, przewidywanie przyszłych ruchów i tak dalej, ale także umiejętność zachowania zimnej krwi w ogniu bitwy. Nauczyłem się tego na polu walki, gdy często w ułamku sekundy musiałem podejmować decyzje o życiu i śmierci. A ty tego nie zrobiłeś. Należało natychmiast się ewakuować.

– Obarcza mnie pan winą za ukąszenie Percy’ego?

– Nie całkiem. Ale w tych okolicznościach nie zachowałeś się właściwie.

– Dobrze, a myśli pan, że gdybym dał rozkaz ucieczki zaraz po zauważeniu tego węża, to Percy by mnie posłuchał? On nigdy nie robi tego, co mu się każe. Nie słucha mnie, nie słucha pana, nie słucha rodziców, nie słucha nauczycieli. W zeszłym miesiącu był przez trzy dni zawieszony w szkole, bo podczas koncertu skrzypcowego odpalił pęczek petard. Na ostatni biwak zapomniał zabrać szczoteczkę do zębów, bieliznę na zmianę, zapasowe skarpetki i latarkę. Dwukrotnie oblał egzamin na pierwszy stopień skauta. To kretyn i sam pan o tym wie.

– Może właśnie dlatego potrzebuje skautingu, Theo. Musi się nauczyć dyscypliny i umiejętności odnoszenia sukcesu.

– Życzę powodzenia.

Major odwrócił głowę i spojrzał na Theo.

– Jesteś zastępowym i jednym z najlepszych naszych skautów, Theo, ale dziś w warunkach stresu zawiodłeś. Pozwoliłeś, żeby twój zastęp zanadto zbliżył się do groźnego zwierzęcia i źle się to skończyło. Jeden z naszych skautów trafił do szpitala, ma bardzo opuchniętą nogę i grozi mu trwała blizna. A mogło być jeszcze gorzej. Nie mam wyboru, Theo. Muszę cię zawiesić w pełnieniu funkcji zastępowego Sokołów. Nie chcę narobić ci wstydu, więc zachowujemy to w tajemnicy do następnej zbiórki. Nikomu ani słowa, zgoda?

Theo chciałby znieubić majora, jednak tak naprawdę go podziwiał, może wręcz uwielbiał, i chciał być taki jak on. Major uczestniczył w prawdziwych wojnach, pilotował odrzutowe myśliwce, zjeździł cały świat, odniósł sukcesy w paru dziedzinach, a teraz dla satysfakcji ochotniczo prowadził drużynę skautów na niemal pełny etat. Theo nie mógł się pogodzić z tym, że major Ludwig uważa, że zawiódł swoich w roli zastępowego.

Jednak major był twardym byłym marine i Theo mógł tylko marzyć, by stać się takim jak on. Przełknął ślinę i przez zaciśnięte zęby wymamrotał:

– Tak, panie majorze.

Niebo szybko zasnuło się chmurami i nagle zrobiło się bardzo ciemno. Theo powłókł się za majorem do obozowiska, gdzie opowieści o duchach i wężach już się wyczerpywały i atmosfera siadała. Ognisko było zagaszone, jedzenie schowane i skauci zaczynali się rozchodzić do namiotów. Wszystkie śpiwory zostały na wszelki wypadek wywrócone na drugą stronę w poszukiwaniu węży, namioty przeszukane centymetr po centymetrze w świetle latarek. Chłopcy sprawdzili też okolice namiotów, wysokie trawy, leśne podszycie i kamienie, a nawet latryny, po czym powtórzyli wszystko jeszcze raz. W końcu zaczęli niechętnie wchodzić do namiotów, zasuwać wejścia, pakować się do śpiworów i w napięciu nasłuchiwać szelestu skradających się ku nim węży. Gdy już wszystko ucichło i w całym

obozowisku zaległa głucha cisza, jakiś żartowniś z zastępu Guźców wydał z siebie głośne „ssss” i paru skautów uznało to nawet za śmieszne.

Po raz pierwszy od wstąpienia do drużyny Theo pomyślał, że chyba wolałby być teraz w domu.

Rozdział 10

Deszcz zaczął padać nad ranem i o świcie wszystko ociekało wodą. Jako dobrze wyszkoleni skauci chłopcy byli przygotowani na złą pogodę, niemniej zimny wiatr i wszechobecne błoto mocno zepsuły im humory i odebrały urok obozowisku. Zwykle w niedzielę rano major prowadził drużynę w jakieś ustronne miejsce z pięknym widokiem i odprawił nabożeństwo. Nie był pastorem i nie miał formalnych uprawnień kaznodziei, nie nalegał też, by wszyscy uczestniczyli w modlitwach. Był twardym, mądrym człowiekiem, głęboko wierzącym w Boga i szczerze Go podziwiającym za wszystko, co stworzył na tej ziemi. Theo zawsze chętnie uczestniczył w tym obrzędzie, bo plenerowe modły przemawiały do niego dużo bardziej niż tradycyjne nabożeństwo w prawdziwym kościele. Z powodu deszczu drużynowy zdecydował jednak, że tym razem zrezygnują z ceremonii, szybko zjedzą śniadanie i przystąpią do zwijania obozowiska.

O dziesiątej stary zielony autobus był już załadowany i wyruszał w drogę powrotną z Enid Point, mozolnie pokonując wzniesienie na buksujących w błocie kołach. W końcu udało mu się wyjechać na utwardzoną drogę i wszyscy odetchnęli z ulgą. Gdy autobus przyśpieszył i z jednostajnym buczeniem silnika zaczął połykać kilometry, wielu skautów przymknęło oczy i zapadło w drzemkę. Ostatniej nocy spali dość niespokojnie, wielokrotnie budząc się i zasypiając. We śnie nawiedzały ich wielkie żmije z ostrymi, ociekającymi śmiercionośnym jadem zębami, a budząc się, prawie słyszeli szelest przemykających w trawie węży, które niemal ocierały się o ścianki namiotu. W autobusie do domu wreszcie poczuli się bezpiecznie i ogarnęła ich senność.

Pogoda jeszcze się pogorszyła, ruch na szosie bardzo spowolnił i po drodze natknęli się na dwa poważne wypadki. Dwie godziny jazdy wydłużyły się do czterech i skauci zaczęli mieć już dość siedzenia w autobusie. Gdy w końcu minęli most nad rzeką Yancey i wjechali do miasta, wszyscy zaczęli klaskać i radośnie pohukiwać. Wyładowali cały ubłocony sprzęt pod budynkiem VFW i ustalili, że spotkają się następnego dnia po szkole, by wszystko doprowadzić do porządku i schować.

O trzeciej Theo był już w domu. Po długim prysznicu, odświeżony zasiadł z Asesorem w salonie i zjadł talerz rosołu z makaronem. Ojciec siedział obok z nosem w niedzielnej gazecie, matka czytała jakąś powieść.

Zabieranie na biwak telefonów komórkowych i laptopów było przez majora kategorycznie zabronione. Biwak miał być wielką ucieczką od cywilizacji i służyć brataniu się z przyrodą, więc drużynowy nie chciał, by przeszkadzali w tym rodzice chcący mieć co godzinę raport o wszystkim, co robią ich synowie. Równie kategorycznie major odnosił się do natrętnych rodziców, którzy próbowali wymóc na nim specjalne traktowanie ich wyjątkowych latorośli.

Dlatego też rodzice Theo nic nie wiedzieli o sensacyjnym spotkaniu z wężem. Po zjedzeniu rosołu i przekazaniu Asesorowi talerza do wylizania, Theo opowiedział całą historię.

Matka wyglądała na bardzo przejętą, ojciec na rozbawionego. Nie znali Percy'ego ani jego rodziców, więc Theo trochę podkoloryzował niezgulstwo kolegi. Zakończył wieczorną rozmowę z majorem i informacją, że jest zawieszony w obowiązkach zastępowego Sokołów.

– To absurd – prychnęła matka. Tym razem ojciec chyba też się przejął i przez następne pół godziny omawiali, a nawet roztrząsali zachowanie Theo i decyzję podjętą przez majora. W pewnej chwili chłopiec wspomniał nawet, że się nosi z zamiarem wystąpienia ze skautów.

Rodzice nie zareagowali.

– Majorowi się zdaje – ciągnął dalej Theo – że drużyna skautów to jednostka marines, w której wszyscy bez szemrania wykonują rozkazy. A my nie jesteśmy aż tak zdyscyplinowani. Nie mogę wydawać rozkazów i rozstawiać wszystkich po kątach. Bez względu na to, co bym zrobił lub powiedział, nie powstrzymałoby to Percy’ego od podejścia do węża. Myślę, że ta kara jest za surowa i niesprawiedliwa.

– Też tak uważam – powiedziała matka.

– Może – zgodził się ojciec. – Niemniej rezygnacja to chyba przesada. Przecież kochasz skauting, Theo. Już niedużo ci zostało do zdobycia stopnia Skauta Orlego. Byłoby szkoda wszystko zaprzepaścić z powodu jednego incydentu.

– Ojciec ma rację, Theo. Odejście niczego nie załatwi. Życie nie jest sprawiedliwe, a ty nie możesz się poddawać za każdym razem, gdy spotka cię jakaś niesprawiedliwość.

– Ale nie zrobiłem nic złego – obruszył się Theo. – Wszystko razem trwało kilka sekund. Nie mogłem temu zapobiec.

– I co z tego – rzekł ojciec. – Twój drużynowy uważa inaczej, a to on jest szefem. Twoim zwierzchnikiem. W dodatku kimś, kogo podziwiasz i kto cię wysoko ocenia. Nie w mówisz mi, że major Ludwig potrafi być wobec ciebie niesprawiedliwy. A właściwie wobec kogokolwiek.

Pałeczkę przejęła matka.

– Theo, wielokrotnie mówiłeś, że twoja drużyna ma szczęście, że ma tak świetnego drużynowego. To tym razem się z nim nie zgadzasz. Drużynowy odpowiada za czterdziestu chłopców, którzy spędzają cały weekend poza domem. To wielka odpowiedzialność, a major Ludwig robi to co miesiąc. Każdego by to stresowało. Tym razem jednemu z was stała się krzywda, a gdy coś takiego się dzieje, ostateczna odpowiedzialność spada na głównego szefa. Rodzice Percy’ego będą mieli pretensje do majora, do całej drużyny, może nawet do całego amerykańskiego skautingu.

– I pewnie wystąpią do sądu o odszkodowanie – dodał pan Boone.

– Wyobraź sobie następnym razem, Theo. Kiedy następnym razem grupa skautów natknie się w lesie na jadowitego węża, wszyscy przypomną sobie wczorajsze zdarzenie, zastępowi szybko zarządzą odwrót i nikomu nic się nie stanie-

– Chyba że w grupie znów będzie Percy – burknął z goryczą Theo – bo wtedy zaczepi innego węża.

Pan Boone wziął do ręki gazetę, jakby już zamierzał wrócić do czytania.

– Rezygnując, niczego nie osiągniesz, Theo – powiedział. – Zaciśnij zęby, zostań w drużynie, podwój wysiłki w zdobywaniu sprawności i pokaż majorowi, że potrafisz z godnością znieść niezasłużoną karę. – Skończył i zagłębił się w wiadomości sportowe.

Matka okazała trochę więcej empatii, ale tylko trochę.

– Jeśli teraz się wycofasz, Theo – ostrzegła – to do końca życia będziesz tego żałował. Tylko raz jest się młodym i tylko raz ma się szansę odnieść sukces jako skaut. Dotąd byłeś zachwycony skautingiem, dawał ci mnóstwo satysfakcji, więc nie pozwól, żeby jeden drobny incydent wszystko zepsuł. Ojciec i ja będziemy bardzo zawiedzeni, jeśli się poddasz.

Theo zawsze drażniło, że inni rodzice tak chętnie się wtrącają i robią zamieszanie. Wysyłają e-maile do szkoły i skarżą się na postępowanie tego czy innego nauczyciela. Czepiają się trenerów po treningach, a nawet po meczach i narzekają, że ich syn nie przebywał wystarczająco długo na boisku. Wparowują bez zapowiedzi do gabinetu pani Gladwell i bronią swojego dziecka, mimo iż to dziecko jest bezspornie winne. Grożą sądem, jeśli chłopak nie dostanie się do drużyny i nie zagra w meczu lub dziewczyna nie zakwalifikuje się do grupy cheerleaderek.

A jednak wolałyby, żeby rodzice tym razem wykazali nieco więcej zrozumienia i zainteresowania. Oboje spokojnie powrócili do czytania, Asesor wywalił jęzor i usnął na podłodze. Theo uznał, że skoro nikt nie

zamierza się nad nim użalać, lepiej pójdzie na górę i posiedzi trochę przy laptopie.

Theo bez większego entuzjazmu powitał poniedziałkowy poranek i początek kolejnego tygodnia w szkole, i miał ku temu powody. Siedząc na swoim miejscu w klasie pana Mouna, do ósmej czterdzieści musiał odpowiadać kolejnym kolegom na pytania o sławetne ukąszenie węża.

Matka Percy'ego zrobiła zdjęcie swemu biednemu dziecku na szpitalnym łóżku w Knottsburgu. Na zdjęciu widać było głupkowato uśmiechniętą twarz Percy'ego, ale środek kadru zajmowała obnażona i spuchnięta łydka. Naprawdę mocno spuchnięta. Jak wszyscy lubiący dzielić się prywatnym życiem z całym światem, matka Percy'ego zamieściła tę fotografię na jego profilu na Facebooku, uzupełniając krótkim tekstem o dzielnym skaucie, którego zaatakował „dwuipółmetrowy mokasyn miedziogłowiec z poszarpanymi zębami”.

Oczywiście nie było ani słowa o winie Percy'ego. Niewymieniony z imienia członek zastępu Sokołów został oskarżony o popchnięcie biednego Percy'ego w taki sposób, by ten musiał upaść prosto na węża, którego określono jako „niezwykle agresywnego”. Czytając, można było łatwo dojść do wniosku, że Percy był biernym uczestnikiem zajścia i nawet nie bardzo wiedział o obecności węża.

Fotografię zamieszczono w niedzielę wieczorem, gdy Theo wyłączył już laptop i zabrał się do czytania książki, więc w poniedziałek rano okazało się, że jest jedynym uczniem w całej szkole, który nie widział zdjęcia. Historia Percy'ego zdominowała rozmowy na szkolnych korytarzach i w klasach, i nim odezwał się dzwonek na pierwszą lekcję, w szkole aż huczało od plotek, że Percy'emu grozi utrata nogi.

Percy szybko stawał się legendą. W szkole liczącej trzystu dwudziestu uczniów był jedynym, którego ukąsił jadowity wąż. Percy Dixon zaczynał być sławny, choć nie ze swych osiągnięć.

Sławny z tego, że jest wyjątkowym palantem, myślał Theo. Przygryzając wargi i zgrzytając zębami, czekał na koniec wlokącego się dnia. Coś takiego to tylko w Ameryce.

Theo miał już dość rozmów o Percym i jego ranie. Od razu po ostatnim dzwonku pojechał do VFW, gdzie na podwórzu leżały rozłożone przez majora namioty i cały sprzęt biwakowy, a on sam opłukiwał węzem wielkie dystrybutory do wody. Do pracy stawiała się zaledwie połowa drużyny, ale Theo się tym nie przejął. Wraz z Phillipem i Calem od razu przystąpili do wynajdywania namiotów Sokołów i szorowania ich z błota wodą z mydłem. Należało je dokładnie oczyścić i wysuszyć, bo inaczej w magazynie pokryłyby się pleśnią.

Major trzymał się na dystans, ale Theo bardzo to odpowiadało. Stary twardziel kochał dyscyplinę i nie chciał okazywać łagodniejszych rysów swego charakteru. Theo to rozumiał. Zdecydował, że jednak nie wystąpi ze skautów. Nie pozwoli, by jedno niefortunne zdarzenie miało pozbawić go tak ważnej części jego życia. Postanowił posłuchać chłodnej rady ojca, zacisnąć zęby, jeszcze bardziej się starać i traktować zawieszenie jako honorowe wyróżnienie. Postara się zachować jak prawdziwy marine i dać majorowi nauczkę w jego własnym stylu.

Składając kolejny namiot, usłyszał za plecami głos majora Ludwiga.

– Theo, a gdzie Woody?

Theo wyprostował się i spojrzał na drużynowego. Miał ochotę odburknąć coś w rodzaju: „Kurczę, panie majorze, a skąd mogę wiedzieć? Nie mam zamiaru się nim przejmować”. Albo: „Kurczę, panie majorze, a skąd mogę

wiedzieć? Jak jest teraz zastępowym, to niech go pan sam sobie poszuka”. Ale szybko mu przeszło. Był za mądry na to, by stawiać się szefowi.

– Nie jestem pewien – powiedział. – Pewnie miał coś do zrobienia po szkole. – Woody był jednym z jego najlepszych kolegów i Theo nie miał zamiaru mówić nic, co mogłoby mu zaszkodzić. Po prostu Woody wcale nie chciał być zastępowym i nie miał zamiaru tracić popołudnia na czyszczenie ubłoconych namiotów.

Major zacisnął zęby, jak to miał w zwyczaju, i powiedział:

– W czwartek o szesnastej odbędzie się zbiórka kandydatów do sprawności lotnika. Możesz przyjść?

– Wydawało mi się, że jestem zawieszony – burknął Theo, ale zaraz tego pożałował.

– Jesteś zawieszony jako zastępowy, niejako skaut – odrzekł zimno major Ludwig.

Theo przez moment się zastanowił. Jakie to okropne. Postanowił trzymać majora na dystans, a on akurat teraz wyskakuje ze sprawnością lotnika. Chłopiec przymierzał się do zdobycia czterech nowych sprawności: lotnika, światowego polityka, komputerowca i weterynarza – wszystkie cztery fajne i osobiście przez niego wybrane. Ale nie było co ukrywać, pozostałe trzy nie mogły się równać ze sprawnością lotnika. Major już dawno obiecał jemu i jeszcze pięciu innym miłośnikom lotnictwa, że zorganizuje dla nich wizytę na miejscowym lotnisku. Mieli zobaczyć wieżę kontrolną od środka i – co najważniejsze – odbyć prawdziwy lot niedużą cessną.

– Dobrze, będę – powiedział.

– Świetnie. Do zobaczenia w czwartek. – Major obojętnie odwrócił się na pięcie i zaczął za coś sztorcować dwóch chłopaków z zastępu Guźców.

Theo nie dorastał majorowi do pięt i wiedział o tym.

Rozdział 11

Późnym popołudniem Theo wsiadł na rower i przejechał cztery przecznice dzielące kancelarię prawniczą Boone & Boone od biura innego Boone'a, stryjka Ike'a. Jego firma nie mogła się pochwalić ani dużą liczbą klientów, ani eleganckim wystrojem. Mieściła się w starym zaniedbanym budynku na piętrze, nad grecką garmazerią. Ike i ojciec Theo byli rodzonymi braćmi i kiedyś prowadzili wspólną kancelarię, ale ich współpraca należała już do odległej przeszłości. Z przyczyn, których Theo nie znał i zapewne nigdy nie pozna, Ike nie był już adwokatem i rzadko kontaktował się ze swoim bratem. Niemniej należał do rodziny i do poniedziałkowych obowiązków chłopca należały odwiedziny u stryja i krótka pogawędka. Spotkania często nie były zbyt miłe i Theo nie zawsze myślał o nich z przyjemnością. Zdarzało się jednak, że Ike był w dobrym humorze i opowiadał różne śmieszne historyjki, a bratanek chętnie ich słuchał. Tyle że nigdy nie wiedział, jakiego Ike'a spotka w dany poniedziałek. Jedną z rodzinnych tajemnic było to, że Ike za dużo pije. Theo przypuszczał, że jego nastrój może się wiązać z ilością wypitego wcześniej alkoholu.

Asesora zwykle zostawiał w domu lub w biurze, ale zdarzało się też, że brał go na smycz i pozwalał biec koło roweru uliczkami miasta. Dla Asesora największą frajdą były wyścigi z Theo i próby wyprzedzenia go. W ten poniedziałek pies wyraźnie miał ochotę mu towarzyszyć, więc Theo wziął go na smycz.

Dotarli na miejsce i wbiegli truchtem na schody. Theo dla formalności zapukał do drzwi i razem z Asesorem wparował do kiskowatego, mocno

zagraczonego biura Ike'a.

– Proszę, proszę – powiedział Ike z uśmiechem. – Co słyhać u mojego ulubionego bratanka?

– Świetnie, a u ciebie? – rzucił Theo, opadając na stare skrzypiące krzesło, pod którym leżała sterta teczek z dokumentami. Wszystkie meble w biurze Ike'a były albo zawałone papierami, albo nimi zapchane. Ike nie miał innych bratanków i Theo był chyba jedynym członkiem rodziny, który utrzymywał z nim kontakt. Żona rozwiodła się z nim przed wieloma laty, kiedy Ike wpadł w tarapaty, dzieci wyniosły się daleko od Strattenburga. Ike był sam jak palec, ale jakoś trudno mu było współczuć. Zresztą wyglądało na to, że jest zadowolony ze swojego monotonnego, samotniczego życia.

– I znów ciekawy dzień – mruknął, pokazując ręką stertę papierów. – Rozwiązywanie finansowych problemów ludzi pozbawionych finansów. A jak stoją sprawy w Boone i Boone?

– Jak zwykle, nic nowego.

– Co ze stopniami w szkole? Same szóstki?

– Prawie. – Wtrącanie się Ike'a do prywatnego życia Theo zawsze chłopca irytowało. Nie mógł zrozumieć, skąd się bierze przekonanie stryja, że ma prawo wtykać nos do jego spraw w szkole. Tyle że w końcu – jak to mama wciąż powtarzała – należał do rodziny.

– Co to znaczy „prawie”? – spytał Ike.

– Piątka z plusem z chemii, ale poprawię.

– Mam nadzieję – powiedział surowym tonem Ike, choć Theo nie miał wątpliwości, że stryjek tylko udaje. Ike zwrócił głowę w prawo i spojrzał na monitor komputera. – Przed chwilą się to pojawiło. Jakieś dziesięć minut temu – dodał, wpatrując się w ekran nad okularami i klikając myszką. – Nasza dzielna gazeta w wydaniu online donosi, że chłopak z twojej drużyny miał podczas weekendu nieprzyjemne spotkanie z miedziogłowcem. Wiesz coś o tym?

– I co w tym takiego niezwykłego? – burknął z niechęcią Theo.

– Bo w dzisiejszych czasach wszystko stanowi sensację, Theo. Koniec z prywatnością, koniec z osobistymi tajemnicami, nikt się już niczego nie wstydzi. Wszyscy są celebrytami. Percy Dixon?

– Tak się nazywa. I wygląda na to, że jego matka próbuje maksymalnie to rozdmuchać. Założę się, że to ona zadzwoniła do gazety. Bo skąd by się dowiedzieli o czymś tak błahym?

– Byłeś przy tym?

– O, tak.

– Jak to się stało?

Theo musiał raz jeszcze opowiedzieć całą historię.

– Co za dureń! – parsknął Ike, gdy Theo skończył swoją opowieść. – Na pewno nie zasługujesz na zawieszenie.

– Nie ma sprawy, Ike. Już mi przeszło i nie chce mi się więcej o tym gadać. Pomówmy o czymś innym.

– Jasne. O Jankesach i Twinsach?

– Nie. – Ike był zapalonym kibicem Jankesów, kochał tę drużynę i znał całą jej historię. Theo kibicował Twinsom głównie dlatego, że nikt inny w Strattenburgu tego nie robił, ale po cichu musiał przyznać, że trudno się temu dziwić, skoro od Minnesoty dzieli ich półtora tysiąca kilometrów.

– Ja cię rozumiem – kiwnął głową Ike. Odsunął się z fotelem i sięgnął do małej lodówki, prawie niewidocznej pod stertą papierzysek. Wyciągnął butelkę piwa i puszkę sprite'a, którą szurnął po biurku w stronę Theo, przy okazji strącając kilka dokumentów. – Trzymaj – mruknął i Theo niemal w ostatniej chwili zdołał ją chwycić. Ike zdjął kapsel i powoli, z wyraźnym wysiłkiem uniósł nogi i położył je na biurku. Odchylił głowę i przytknął butelkę do ust.

Theo wiedział z doświadczenia, że to zwiastuje dłuższą opowieść.

Ike pociągnął kolejny łyk piwa i zaczął:

– No i wyobraź sobie. – Było to u Ike’a typowe zagajenie. – Ta grecka rodzina na dole, Jimmy i Amelda Tykos, tacy fajni ludzie. Znam ich od lat i co dzień się widzimy. Przyjechali do tego kraju jako dzieci i cały czas harują przez siedem dni w tygodniu, żeby zapewnić swoim dzieciom lepsze życie. Wspaniali ludzie. Ich najstarszy syn Russell ma firmę budowlaną. Buduje domy, robi remonty i rozbudowy, tego typu rzeczy. Russell ma około czterdziestki, żonę i trójkę dzieci, z których najstarsze urodziło się z jakimiś wadami. Wydali majątek na uratowanie mu życia i teraz dziecko wymaga różnych specjalistycznych zabiegów. To prawie zrujnowało Russella i jego rodziców, ale się zaparli, zaczęli jeszcze ciężiej pracować, jeszcze bardziej oszczędzać i jakoś z tego wyszli.

Theo musiał chyba uciec wzrokiem w bok, bo Ike nagle się obruszył.

– Nudzę cię, Theo? – burknął.

– Nie, słucham. – Chłopak podejrzewał, że jest jedynym człowiekiem w mieście, który potrafi słuchać długich opowieści Ike’a, wiedział jednak, że zazwyczaj na końcu czeka zaskakująca pointa.

Ike łyknął piwa, spojrzął w sufit i podjął na nowo.

– Jakieś dziesięć lat temu Russell z żoną kupili kawał ziemi pod miastem, podzielili na hektarowe działki i zaczęli sprzedawać. Piękna okolica, pagórki, strumienie, stawy i tak dalej. Pomysł był taki, żeby oferować duże działki ludziom, którzy pragną zachować piękno krajobrazu, dbać o zieleni i chronić środowisko naturalne. Russell i jego żona zaprojektowali dla siebie dom marzeń i zaczęli sami go budować. Wieczory, weekendy, urlopy – każdą wolną chwilę spędzali z dziećmi, łącznie ze swoim najstarszym na wózku, na placu budowy, wznosząc powoli swój nowy dom. Do cięższych robót Russell zatrudniał budowlańców, ale jeśli coś mogło być zrobione przez dwoje ludzi, robili to sami. Napędzała ich miłość do siebie i domu,

ale i tak praca wlokła się niemiłosiernie. Wszystko od początku do końca trwało pięć lat, przy czym za wszystko płacili gotówką. Nie zaciągnęli żadnego kredytu i w dniu zakończenia budowy nie byli nikomu nic winni. Zrobili wielkie przyjęcie, zaprosili też mnie, a ja pojechałem. Atmosfera była wspaniała. Zjechały się obie rodziny, przyjaciele i sąsiedzi, a także budowlańcy, którzy brali udział w budowie. Wszyscy, którzy im pomogli. Jeszcze nigdy nie widziałem Jimmy'ego i Ameldy tak szczęśliwych i dumnych. Piękny dom, piękna okolica. Jedna wielka szczęśliwa rodzina, świętująca to, co w naszym kraju najlepsze. Nic nie mąciło ich szczęścia...

Głos mu zamarł. Theo wiedział, że Ike zakończył pierwszy rozdział swojej opowieści i teraz czeka na zachętę ze strony bratanka.

– I co się stało? – zapytał.

– To, że teraz buldożery mają ten dom zrównać z ziemią po to, by władze stanowe i banda polityków mogli za dwieście milionów dolarów zbudować obwodnicę Strattenburga. Obwodnica jest nikomu niepotrzebna, ale w grach politycznych to nie ma znaczenia. Słyszałeś o tej obwodnicy, Theo?

Chłopak zaniemówił. Właściwie w ogóle o tej sprawie zapomniał. Dwie ostatnie doby były wypełnione skautingiem, Percym, dużym miedziogłowcem i śmieciami na Facebooku.

– Tak, słyszałem – kiwnął głową.

Ike zdjął nogi z biurka, oparł łokcie o blat i wlepił w Theo rozeźlone spojrzenie.

– Znasz pojęcie „przymusowe wywłaszczenie na cele publiczne”? – burknął.

– Znam.

Stryj pokiwał głową i się uśmiechnął.

– To ci się chwali. W teorii z takiego wywłaszczenia korzysta się w ostateczności. Zabieranie komuś własności wbrew jego woli to niemal przestępstwo. Wolno to władzom zrobić tylko wtedy, gdy jest to absolutnie

niezbędne. A w tym przypadku nie ma o tym mowy. Tu chodzi tylko o zgraję polityków, którzy chcą uszczęśliwić bogatych donatorów i dzięki temu zapewnić sobie ich pomoc w wyborach.

Rzadko się zdarzało, by Ike przybierał taki mentorski ton, ale chyba tym razem był bardziej niż zwykle poruszony. Theo postanowił jeszcze trochę go podpuścić.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem – bąknął.

Nie skończył mówić, gdy Ike już połknął haczyk.

– Już ci tłumaczę. W Carlsburgu i paru miejscowościach na północ działa kilka dużych firm transportowych i wiele zakładów przemysłowych, tak samo na południe w Lowensburgu. Badania natężenia ruchu wykazały, że obwodnica pozwoli ciężarówkom zaoszczędzić tylko parę minut na przejeździe przez nasze miasto, ale mają to w nosie. Bez względu na koszty chcą mieć obwodnicę i już! Dogadują się więc z politykami, płacą im kupę forsy i wmawiają, że obwodnica jest absolutnie konieczna. Oczywiście nie dla nich, tylko dla dobra świętego „rozwoju gospodarczego regionu”. Na to powołuje się każdy polityk, gdy zabiega o uzyskanie zgody na zbudowanie czegoś tam lub wyrzucenie w błoto kolejnych pieniędzy podatnika. Będzie więcej miejsc pracy, więcej wpływów z podatków, więcej wszystkiego, rzecz jasna dzięki dalszemu rozwojowi gospodarczemu. Co prawda zwiększy się też zanieczyszczenie powietrza i wody, ścisk na drogach, tłok w szkołach, więcej spekulantów się wzbogaci, ale o tym się już nie mówi, bo politycy siedzą w kieszeni deweloperów i firm transportowych.

Ike westchnął głęboko i pociągnął długi łyk piwa. Cały Ike, pomyślał Theo. Nigdy nie owija niczego w bawełnę, nigdy nie dręczą go wątpliwości, zawsze ma zdecydowaną opinię w każdej sprawie. Ale tym razem Theo chętnie słuchał jego słów, widząc, jak bardzo jest tym przejęty.

Postanowił dolać jeszcze trochę oliwy do ognia.

– Ale czy nie stoi za tym sam gubernator? – spytał.

– Ten idiota! Poprzez każdą głupotę, byle tylko forsa była duża. Z pierwszych stron gazet z zeszłego tygodnia można się było dowiedzieć, że deweloperzy i transportowcy wpłacili kupę szmalu na fundusz wyborczy gubernatora, no i proszę! Panowie chcą budowy obwodnicy, więc gubernator też jej chce. To zwykły politykier, któremu zależy tylko na stanowisku. Theo, nigdy w życiu nie mieszaj się do polityki. To brudna gra.

– Nie ma obawy.

Ike trochę się uspokoił i odchylił z fotelem.

– Gdybym piętnaście lat temu miał odpowiednie układy, Theo, toby mnie o nic nie oskarżyli.

Po raz pierwszy Ike otwartym tekstem nawiązywał do swoich dawnych kłopotów z prawem. Theo chętnie zasypałby go lawiną pytań, jednak ugryzł się w język. Wiedział, że nadejdzie taki dzień, kiedy Ike wszystko mu opowie, ale to on ten dzień wybierze. I nie było to dziś.

Przez chwilę się wahał, czy opowiedzieć historię Hardiego Quinna, ale postanowił odpuścić. Jego zdaniem historia Quinnów była dużo ciekawsza od opowiedzianej przez Ike'a, ale stryj należał do tych, którzy wolą mówić, niż słuchać.

– Pomożesz jakoś rodzinie Tykosów? – spytał.

– Mam im pomóc? Jak?

– Nie wiem, Ike. Wygląda na to, że istnieje silny sprzeciw wobec tej obwodnicy. Jeśli włączy się w to odpowiednio dużo ludzi, to może Komisja Okręgu nie zdecyduje się tego zaklepać.

– Nie bądź naiwny, Theo. Tu głos mają pieniądze. Strona z większą kasą zawsze wygrywa, szczególnie w polityce.

W uszach chłopca zabrzmiało to przygnębiająco i właściwie nie miał już nic do powiedzenia. Ike pogrzebał w papierach, wyciągnął jakąś kartkę i znów się pochylił.

– Spójrz na to – powiedział i Theo też się pochylił.

Na kartce była mapka okolic z wrysowaną na czerwono obwodnicą. Ike wziął do ręki długopis i postukał w kartkę. – W tym miejscu obwodnica przetnie Sweeney Road. Teraz to spokojna wiejska okolica, ale budowa obwodnicy z dnia na dzień to zmieni.

Theo czuł w oddechu Ike'a woń piwa i nie był to przyjemny zapach. Odsunął twarz o parę centymetrów, Ike mówił dalej:

– Moje źródło informacji twierdzi, że pewien miejscowy deweloper, niejaki Joe Ford, naprawdę ciemny typ zwany także Turbo Fordem, właśnie przeznaczył trochę forsy na kupno osiemdziesięciu hektarów tu, w pobliżu skrzyżowania Sweeney z obwodnicą. Transakcja miała być ściśle tajna, ale mój informator zna osobiście jednego z byłych wspólników prawnika, który jest pełnomocnikiem obecnego właściciela ziemi. Wszystko odbywa się w ścisłej tajemnicy. – Ike położył mapkę na biurku i odchylił się do tyłu. – Więc jak widzisz, Theo, sępy już krążą i tylko czekają, żeby zaatakować ofiarę. Jeśli tylko komisja zatwierdzi budowę obwodnicy, spekulanci od razu rzucą się na każdą piędź ziemi w tamtym rejonie, a za dziesięć lat obwodnica obrośnie centrami handlowymi, fast foodami i myjniami samochodowymi.

Cała zachodnia część okręgu zostanie zabudowana i upodobni się do reszty naszego kochanego kraju. Deweloperzy jeszcze bardziej się wzbogacą i lekką ręką wyasygnują odpowiednie kwoty, żeby uszczęśliwić polityków. To zgniły system, Theo.

To zabrzmiało jeszcze bardziej przygnębiająco, jednak chłopiec próbował się pocieszać, że stryj jest z natury pesymistą, który wszystko widzi w czarnych barwach. Rzadko się uśmiecha i jest zgorzkniały. Rodzina się go wyrzekła, a utrata licencji adwokackiej była dla niego ciężkim ciosem prestiżowym.

Ike i ci jego informatorzy. Zawsze twierdził, że wie o różnych tajnych sprawach i zresztą rzeczywiście często tak było. Stryj obracał się w szemranym towarzystwie i w dość podejrzanych dzielnicach, które solidni

obywatele woleli omijać. Regularnie grywał w pokera w dwóch grupach znajomych, do których należało paru byłych prawników, paru byłych gliniarzy i paru byłych kryminalistów. Hazardowo obstawiał mecze futbolowe i koszykówki, stale obracając się w gronie bukmacherów i hazardzistów. Kiedyś ojcu Theo wypsnęło się w rozmowie, że jego brat więcej wyciąga z hazardu niż z uczciwej pracy.

– I w tym pogodnym nastroju chyba cię zostawię – powiedział Theo. Miał już tego dość i nagle zaczęło mu się śpieszyć.

– Pozdrów starych – rzekł Ike, opierając głowę na splecionych dłoniach i ponownie kładąc nogi na biurku.

– Nara, Ike – rzucił Theo i ruszył do wyjścia, Asesor pobiegł za nim.

– I czekam na tę szóstkę z chemii.

– Jasne. Nie ty jeden.

Rozdział 12

We wtorek rano nastąpił triumfalny powrót Percy'ego Dixona do szkoły. Theo wyczuł, że dzieje się coś osobliwego, gdy stawiając rower na zwykłym miejscu w stojaku, zauważył zaparkowany pod szkołą wóz telewizji. I rzeczywiście, chwilę później pod gimnazjum zajechało kombi z matką Percy'ego za kierownicą. Kobieta wysiadła, wyjęła składany wózek inwalidzki, pomogła synowi usiąść i wolno przedelfilowała w stronę wejścia. Ułożona na podpórce noga Percy'ego była grubo obandażowana warstwami białej gazy. Nauczyciele i koledzy chłopaka ustawili się przed wejściem, a matka pchała wózek z takim namaszczeniem, jakby miała na nim powracającego z pola bitwy bohatera wojennego. Obok niej szli reporter i kamerzysta filmujący to „wydarzenie”, by mieszkańcy spokojnego Strattenburga mogli na bieżąco śledzić, co się dzieje w ich mieście.

Theo przyglądał się tej scenie z daleka, zastanawiając się, dla kogo ta chwila jest większym triumfem: dla Percy'ego czy jego matki. Percy zaczepił węża, a Theo został za to zawieszony. Theo nadal bolała ta niesprawiedliwość.

Przez cały dzień Theo nie mógł się uwolnić od widoku Percy'ego jeżdżącego na wózku po korytarzu albo siedzącego na wózku w stołówce, albo pchanego na wózku po dziedzińcu szkolnym. Wszędzie towarzyszyła mu grupka administratorów, którzy w nabożnym skupieniu słuchali, jak Dixon kolejny raz opowiada o śmiertelnie niebezpiecznym spotkaniu z mokasynem, który z każdą godziną tajemniczo się wydłużał i stawał coraz bardziej agresywny.

Niektórzy obwiniali Theo o całą katastrofę, jednak większość znała prawdę. Niewielu wierzyło Percy'emu, co nie przeszkadzało mu pławić się w chwilowej sławie.

Zaciskając zęby i starając się nie zwracać uwagi na żalosne widowisko, Theo czekał cierpliwie na koniec lekcji. I tylko chwilami żałował, że wąż nie dziabnął Percy'ego prosto między oczy.

Po końcowym dzwonku Theo popędził do kancelarii Boone & Boone, przywitał się z Asesorem i zamknąwszy się w swoim pokoju, zabrał do odrabiania zadań domowych. Rodzice siedzieli w swoich gabinetach i rozmawiali z klientami, w całym biurze trwała cicha mrówcza praca. Lekcje zajęły chłopcu niecałą godzinę. Na dworze zaczęło padać, więc Theo nie bardzo miał co z sobą zrobić i zaczynał się nudzić.

Z braku lepszego zajęcia wszedł do internetu i wpisał w wyszukiwarkę „obwodnica Red Creek”. Wyświetliła się cała lista linków: stare artykuły w gazetach, mapy terenu, wyniki prac badawczych, napastliwe listy do redakcji gazet. Istniała nawet strona internetowa prowadzona przez hałaśliwą grupę przeciwników obwodnicy, którzy zbierali i publikowali wszelkie dostępne strzępy informacji na jej temat. Oczywiście większość wyrażała sprzeciw wobec planów budowy, jednak autorzy strony zamieścili też garść wypowiedzi przedsiębiorców, którzy twierdzili, że obwodnica jest konieczna.

Po godzinie surfowania po internecie Theo znów ogarnęła nuda. Padało coraz mocniej, Asesor pochrapywał pod biurkiem, rodzice nadal siedzieli za zamkniętymi drzwiami i rozmawiali z klientami. Chłopiec minął magazynek, wąskim korytarzem pomaszerował do kuchni i zaczął się rozglądać za czymś do zjedzenia. Wzajemne „podjadanie” sobie w gronie pracowników było ulubionym sportem biurowym i Theo należał do

czołowych zawodników w tej konkurencji, dziś jednak nie znalazł nic godnego uwagi.

Biurko Elsy było puste, co go trochę zaskoczyło. Przypomniał sobie jednak, że gdy po południu nie było klientów, Elsa czasami wyskakiwała coś załatwić i Theo pomyślał, że dziś pewnie też tak zrobiła. Jej biurko stało w holu obok głównego wejścia, dzięki czemu każdy wchodzący do firmy Boone & Boone musiał przez nią przebrnąć, a Elsa rządziła biurem z zawziętością sierżanta od musztry. Znała na pamięć plan zajęć każdego pracownika – państwa Boone'ów, prawnika Vince'a, sekretarki do spraw nieruchomości Dorothy, a nawet prawnika- -dziecka Theo. Jakimś cudem panowała nad kalendarzem wszystkich umówionych spotkań, terminów sądowych, wizyt u lekarza i dentysty, dat urodzin i tak dalej, i tak dalej. Nic nie uchodziło jej uwagi.

Theo był ciekaw, kto siedzi w gabinecie ojca. Woods Boone specjalizował się w rynku nieruchomości, nigdy nie występował w sądzie i rzadko przyjmował klientów u siebie. Zwykle przez osiem godzin dziennie siedział przy biurku i pykając fajkę, ślęczał nad papierzyskami. Sporządzał umowy, dokonywał analiz i prowadził niekończące się rozmowy przez telefon. Zdaniem Theo ojciec wybrał sobie dość nudną dziedzinę prawa – coś, z czym on sam nie chciałby nigdy mieć nic wspólnego. O nie! Theo zamierzał zostać prawnikiem procesowym i uczestniczyć w głośnych sprawach z udziałem ławy przysięgłych i tłumem widzów na sali, którzy z zapartym tchem będą podziwiał jego wystąpienia.

Po raz pierwszy przysłuchiwał się procesowi trzy lata temu, w wieku zaledwie dziesięciu lat. Było lato, nie było szkoły, a on cztery dni spędził w pierwszym rzędzie miejsc dla publiczności, przysłuchując się z napięciem każdemu słowu każdego świadka. Rozprawa dotyczyła tragicznego wypadku na przejeździe kolejowym, w którym pod kołami pociągu zginęli w samochodzie młodzi rodzice ze swoim pięcioletnim synkiem. Atmosfera na sali aż kipiała od emocji i nawet Theo czuł na sobie ich ciężar. Prawnicy

obu stron walczyli z sobą niczym gladiatorzy, a siedzący za stołem sędziowskim przyjaciel Theo, sędzia Henry Gantry, prowadził rozprawę z wielkim taktem i mądrością.

Od tej chwili przyszłość Theo była przesądzona. Wiedział, że będzie związana z salą sądową i tylko nie miał jeszcze pewności, czy pójdzie w ślady swojego przyjaciela i zostanie słynnym sędzią, czy – ku czemu obecnie bardziej się skłaniał – zabłyśnie jako nieustraszony prawnik procesowy.

Elsa miała terminarz z oddzielną kartką na każdy dzień, w którym wpisywała wszystko, w tym także umówione spotkania z klientami. Terminarz leżał na biurku, nie był niczym poufnym i przed nikim go nie chowano. Każdy mógł do niego zajrzeć, więc Theo to zrobił. Dowiedział się, że jutro, w środę, o szesnastej, ma wizytę u ortodonty, a dzisiejsza klientka mamy nazywa się M. Claybum.

Klientem ojca był natomiast jakiś Joe Ford. Theo na moment zatkało, gdyż przypomniał sobie wczorajszą rozmowę ze stryjem. Joe Ford, zwany także Turbo Fordem. Deweloper z rynku nieruchomości, a według Ike'a sęp, który tylko czekał, by – gdy zapadnie decyzja o budowie obwodnicy – zatopić szpony w ziemi wokół Sweeney Road. Sprytny spekulant, którego Ike nazwał też „ciemnym typem”. Theo próbował sobie przypomnieć, co jeszcze stryj o nim powiedział. Chodziło o kupno osiemdziesięciu hektarów, sprawę trzymano w ścisłej tajemnicy. Ike nie stwierdził, że transakcja jest w jakimś sensie nielegalna, jednak wyraźnie dał to do zrozumienia.

Theo przez chwilę wpatrywał się w nazwisko w terminarzu Elsy. Właściwie nie było się czemu dziwić. Wszyscy klienci Woodsa Boone, tak jak Joe Ford, działali na rynku nieruchomości. Tylko czemu tata zgodził się być pełnomocnikiem takiego ciemnego typu?

Z góry dobiegły głosy, potem na schodach rozległy się ciężkie kroki. Theo na moment zeszytniał, zastanawiając się, czy lepiej nie zwać. Mógł

wyskoczyć na dwór przez drzwi frontowe, ale narobiłby tym hałasu. Mógł się też schować w sali konferencyjnej albo pobiec korytarzem do siebie. Odskakując od biurka Elsy, potrącił jednak nogą jej kosz na śmieci i kupa pomiętych kartek rozsypała się po podłodze. Schylił się, aby je szybko pozbierać. Właśnie wrzucał do kosza ostatnie, gdy do recepcji wszedł ojciec w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

– O, cześć, Theo – odezwał się pan Boone. – Co ty tu robisz?

– Eee, bo właśnie Asesor przewrócił kosz na śmieci i je zbieram.

– A, rozumiem. Chodź, przywitaj się z panem Joem Fordem, jednym z naszych klientów.

Pan Ford nie wyjął rąk z kieszeni i tylko lekko skrzywił twarz w uśmiechu.

– To mój syn, Theo – powiedział z dumą pan Boone. – Chodzi do ósmej klasy w Gimnazjum Stratten- burskim.

Theo szybko skłonił głowę i grzecznie powiedział:

– Miło mi pana poznać.

– I wzajemnie – rzekł bez entuzjazmu Joe Ford, chyba tylko dlatego, że tak wypadało. Był ubrany w połyskliwy szary garnitur z kamizelką i sztywno nakrochmaloną białą koszulę. Ondulowana fryzura na głowie była artystycznie postrzępiona, uszy zakrywały pasemka loków. Theo znieubił go od pierwszego wejrzenia, czując, że Joe Ford też nie darzy go zbyt dużą sympatią. Pomyślał, że pan Ford chyba nie lubi nikogo, kto nie pomoże mu zarobić paru dodatkowych dolców.

Pan Ford nie był też zwolennikiem towarzyskich pogaduszek, bo rzucił suche „do widzenia” i ruszył do wyjścia. Theo zawrócił do swojego pokoju, włączył laptop i od razu wpisał w wyszukiwarkę „Joe Ford”.

Rozdział 13

W piątek zaraz po szkole trzech chłopcy (Theo, Woody i Hardie) oraz jeden pies (Asesor) spotkali się w śródmiejskim parku Trumana, by pojechać rowerami na ryby. Mieli za sobą ciężki tydzień, przyszedł czas odpoczynku i wszyscy z radością powitali ten pomysł. Jego autorem był Hardie. Chciał, by Theo na własne oczy zobaczył rodzinną farmę Quinnów i jej przepiękne otoczenie, które gubernator i paru innych polityków chcieli bezpowrotnie zniszczyć. Hardie prowadził, za nim jechał Woody, peleton zamykał Theo z Asesorem na smyczy, co gwarantowało, że pies nie wplącze się w koła rowerów kolegów. Asesor wolałby przewodzić całej grupie i biec jako pierwszy, jednak czując na karku obrożę, bez oporu się poddał i kamie biegł przy rowerze Theo, szczęśliwy, że w ogóle został zaproszony do udziału w wycieczce. Chłopcy jechali ocienionymi uliczkami starej części miasta, unikając ruchliwych ulic i dzielnic mieszkaniowych. Na skrzyżowaniu ze światłami przecięli szosę 75 i chwilę później wjechali w wąską drogę biegnącą pod sklepieniem splecionych konarów drzew. Miasto wraz z jego korkami zostało za nimi. Zjeżdżali pędem z pochyłości i stękając z wysiłku, podjeżdżali pod kolejne. Przecięli kilka strumyków i przejechali po skrzypiącym ze starości mostku.

Po półgodzinnej jeździe chłopcy byli spoceni, Asesor dyszał z pragnienia. Zatrzymali się nad strumykiem, by odsapnąć i pozwolić psu się napić.

– Jeszcze tylko kawałek – pocieszył ich Hardie.

Odpoczęli i mszyli dalej. Wjechali na szczyt kolejnego wzniesienia i znów stanęli. Przed nimi rozciągała się piękna dolina z nielicznymi

łysinami w gęstej roślinności. Hardie wskazał ręką jedyny dom w zasięgu wzroku.

– Tam mieszkają moi dziadkowie – poinformował, ciężko sapiąc. Chłopcy podążali wzrokiem za jego ręką. – A tamtędy obwodnica ma przeciąć całą dolinę – dodał, pokazując w prawo. – Szeroką wstęgą, która pobiegnie między tymi dwoma wzgórzami, aż po ten najwyższy wierzchołek. – Hardie wyciągnął rękę w lewo. – To Wzgórze Kredowe. Mają je całkiem rozwalić dynamitem. Wysadzą w powietrze i zniwelują. Wszystko dookoła wyrównają buldożerami i wyasfaltują. Nie wiem, co się wtedy stanie z moimi dziadkami.

– Jak mogą zrobić coś takiego? – zachnął się Woody.

– Spytaj Theo.

– Przepisy dają władzom prawo do zabrania właścicielom dowolnego kawałka gruntu. Oczywiście muszą za to zapłacić, ale ziemia będzie ich.

– To okropne.

– Gorzej niż okropne. – Hardie pokiwał ze smutkiem głową.

Zjechali po zboczu i po chwili dotarli do domu. Babcia Hardiego, pani Beverly Quinn, już czekała na nich na ganku z talerzem orzechowych ciasteczek i dzbankiem wody z lodem. Hardie przedstawił babci kolegów i Asesora, a ona usiadła przy nich, przyglądając się, jak pałaszują domowe wypieki. Dziadek Hardiego, według określenia żony, „pyrkał” w szopie z traktorem. Nie wspominali ani słowem o obwodnicy – temat był chyba zbyt bolesny, by w ogóle go poruszać. Siedząc na skrzypiącym wiklinowym bujaku i chrupiąc kolejne ciasteczko, Theo z podziwem przyglądał się czyściutko odmalowanemu gankowi, donicom z paprociami, dokładnie opielonym rabatom i ogradzającemu podwórze płotowi z białych sztachet. Próbował sobie wyobrazić buldożery, które to wszystko zmiażdżą i zrównają z ziemią. Na samą myśl o tym zrobiło mu się bardzo przykro. Jakie to niesprawiedliwe, wręcz okrutne.

Chłopcy podziękowali za poczęstunek i ruszyli na ryby. W szopie znaleźli bogaty wybór wędzisk i kołowrotek, trzciniowych podbieraków i osprzętu. Leżały w niej też piłki do gry w nogę i siatkówkę, rakiетки do badmintonu, krążki frisbee, dwa kanoe, cztery kajaki, a nawet komplet kijów do golfa.

– Dobrze się tu bawimy – wyjaśnił Hardie, dodając, że w Strattenburgu i okolicach mieszka jedenaścioro kuzynów i kuzynek, nie licząc ciotek, wujków i tak bliskich przyjaciół, że są traktowani jak rodzina. Wszyscy spędzają mnóstwo czasu na farmie.

Wybrali trzy wędkę z kołowrotekami, Hardie wsadził do plecaka niewielką skrzyneczkę z osprzętem. Wsiedli na rowery i popędzili wąską ścieżką wijącą się wśród leśnej gęstwiny. Po dziesięciu minutach jazdy dotarli do brzegu Red Creek.

– To najlepsze miejsce na ryby – zapewnił ich Hardie. – Trafiają się tu największe okonie. – Theo spuścił Asesora ze smyczy, a pies bez namysłu wskoczył do wody. Potok był szeroki i słychać było dochodzący z oddali szum wody na kamieniach.

– Wciąż tu biwakujemy – powiedział Hardie.

– Pięknie tu – skinął głową Theo. – Możemy popływać kajakiem?

– Może później – rzekł Hardie. – Kawalek za zakrętem są niezłe bystrza, trochę za ostre na kanoe. Ale kajakami wciąż tu pływamy.

Jako jedynak z miasta, Theo trochę zazdrościł Hardiemu jego licznej rodziny i tej ziemi, na której wszyscy tak świetnie się bawili. Farma była jak jeden wielki park przygód, pełen autentycznych, a nie sztucznie zbudowanych atrakcji.

Hardie ustawił się na granitowym występie jakieś trzy metry nad powierzchnią wody i zaczął zarzucać wędkę. Przy drugim machnięciu coś w oddali zwróciło jego uwagę.

– A to co? – zdziwił się głośno.

– Co takiego? – spytał stojący obok Woody.

Hardie wyciągnął rękę.

– Spójrz tam za drzewami, u stóp wzgórza. Jacyś ludzie.

Theo i Woody wspięli się na występ, zaniepokojeni tonem głosu Hardiego. Istotnie, jakiś kilometr dalej po drugiej stronie potoku widać było kilku mężczyzn kręcących się przy zaparkowanym pick-upie.

– Są na naszej ziemi – powiedział Hardie.

– Co oni robią? – spytał Theo.

– Nie wiem, co tam robią, ale na pewno nie mają do tego prawa.

– Trzeba było zabrać lornetkę – mruknął Woody.

– Lepiej będzie, jak pójdziemy sprawdzić – rzekł Hardie i chłopcy od razu zapomnieli o rybach. Theo byłby gotów machnąć ręką, bo w końcu mężczyźni nie robili nic złego, ale uświadomił sobie, że jako obcy nie bierze pod uwagę tego, co nienaruszalność tej ziemi znaczy dla członka rodziny Quinnow. „Jedźcie za mną”, rzucił Hardie. Wskoczyli na rowery i ruszyli ścieżką wzdłuż potoku. Ociekający wodą Asesor pobiegł za Theo, który tak jak poprzednio jechał na końcu za Woodym. Po chwili dotarli do wąskiej kładki i przeprawili się na drugi brzeg. Kładka była tak wąska, że ledwie się na niej mieścili z rowerami. Po drugiej stronie ciągnął się bity trakt, którym szybko dotarli na miejsce.

Mężczyzn było czterech, trzech młodszych i jeden starszy, zapewne szef ekipy. Ich pick-up był dużą półciązarówką z dwoma rzędami siedzeń w szoferce i namalowanym na drzwiach napisem:

POMIARY STRATEGICZNE

Kawałek dalej zaczynał się rząd wetkniętych w ziemię kołków z zawiązanymi na końcach czerwonymi wstążkami.

– Czego chcecie, chłopcy? – spytał starszy mężczyzna.

Hardie zsiadł z roweru i ruszył w stronę intruzów.

– Co wy tu robicie? – rzucił.

– A może to nie twoja sprawa, mały.

– A może jednak moja. Ta ziemia należy do mojej rodziny. Kto wam pozwolił tu wejść?

Trójka młodszych mężczyzn parsknęła śmiechem. Wszyscy trzej byli rośli, mieli wyplamione koszule i obfity zarost na twarzach. Wyglądali na takich, którzy nie patyczkują się ani z sobą, ani z innymi.

– Nie wymądrzaj się, mały – burknął starszy z mężczyzn.

– Jak pan się nazywa? – odburknął Hardie.

– Willis. A ty?

– Hardie Quinn. Ta ziemia od stu lat należy do mojej rodziny.

– To gratuluję – parsknął Willis. – Tyle że już niedługo zmieni właściciela.

Pozostali trzej uznali to za zabawne i też parsknęli śmiechem, przesuając się nieco bliżej tyłu półciężarówki i Willisa, stojącego niecałe trzy metry od Hardiego.

Theo zrobił krok do przodu.

– Kolega zadał panu pytanie – powiedział. – Kto panom pozwolił tu wejść?

– Władze stanowe – prychnął Willis.

– Aha, tylko że władze stanowe nie są właścicielem tej ziemi – rzucił Theo.

– Patrzcie na tych przemądrzałych gnojków – rzucił Willis do swoich kompanów, po czym odwrócił głowę do Theo i dodał: – Słuchajcie, chłopcy, robimy tu tylko wstępne pomiary pod budowę obwodnicy, nic więcej. Nasza firma ma kontrakt z władzami stanowymi i to oni nas tu

przysłali. Więc wyluzujcie i zajmijcie się swoimi sprawami, dobra? Robimy, co do nas należy, i nikomu nie przeszkadzamy.

– Mnie przeszkadzacie, bo nie macie prawa tu być – skrzywił się Hardie.

– Wkroczyliście bezprawnie na prywatny teren – dodał szybko Theo, przez którego przemówił prawnik. – A to przestępstwo. Można za to pójść do więzienia.

Najniższy z trzech młodziaków zrobił krok w stronę Theo.

– Cholera, ale z ciebie przemądrzały gnojek – parsknął. – Oglądasz za dużo telewizji, chłopaczku.

– Albo może umiem czytać – odgryzł się Theo. Twarz kurdupła poczerwieniała i mężczyzna aż zacisnął pięści. Woody przysunął się do Theo, Asesor przywarł do jego nóg. Zrobiło się nerwowo, a zarazem komicznie. Trzech trzynastolatków i nieduży kundel stawiali się czterem dorosłym mężczyznom. Sytuacja była patowa. Mężczyźni nie zamierzali się poddać, chłopcy nie zamierzali ustąpić.

I wtedy Theo przyszedł do głowy pomysł, który niestety skończył się nieszczęśliwie. Sięgnął do kieszeni, wyjął komórkę i oznajmił, że dzwoni na 911 i wzywa policję.

– Odlóż ten telefon, gówniarzu! – wrzasnął Willis. – Nie będziesz dzwonił na żadną policję!

– Mogę dzwonić, gdzie mi się podoba – obruszył się Theo. – Kim pan jest, żeby mi zabraniać dzwonić?

– Powiedziałem, odlóż ten telefon!

W tym momencie Kurdupel skoczył do przodu i chwyciwszy Theo za rękę, mocno nią potrząsnął. Telefon wypadł chłopcu z ręki i upadł na ziemię, popchnięty przez Kurdupla Theo poszedł w jego ślady.

– Głupi gówniarz – prychnął Kurdupel.

Zaskoczeni tym nagłym aktem przemocy, Woody i Hardie lekko się cofnęli.

W przeciwieństwie do nich Asesor bez zastanowienia rzucił się na Kurdupła i już miał wbić zęby w jego łydkę, gdy mężczyzna wymierzył mu kopniaka i odrzucił od siebie. Pies zawarczał, zaszczekał i ponownie rzucił się do nóg agresora.

– Zabierzcie ode mnie tego psa! – wrzasnął Kurdupel.

– Asesor, do mnie! – zawołał Theo, dźwigając się na nogi. Szkoda, że jest tylko ważącym dwadzieścia kilo i bojącym się kotów kundlem, a nie czterdziestokilogramowym pitbullem, wyszkolonym do walki z łobuzami, przemknęło mu przez głowę. Jednak Asesor mógł się bać kotów, ale nie Kurdupła. Z szybkością błyskawicy zaatakował ponownie i dostał kolejnego kopa, rozszczekał się ze złości i zawodu i raz jeszcze rzucił do boju.

Jak się wkrótce okazało, trzeci z mężczyzn miał na imię Larry i był jednym z pomocników Kurdupła. To on chwycił teraz półtorametrowy kołek mierniczy i gdy Asesor ponownie zaatakował nogi kumpla, grzmotnął go kołkiem w tył głowy. Theo krzyknął, Hardie wrzasnął, Woody schylił się po kamień. W tumanach kurzu i ogólnym zamieszaniu Larry walił Asesora kołkiem, Kurdupel zawzięcie go kopał, chłopcy próbowali im w tym przeszkadzać. Woody skoczył do przodu, ale czwarty z mężczyzn podłożył mu nogę i chłopiec runął na Theo.

– Odłóż ten kij, ale już! – wrzeszczał Hardie.

Theo udało się zasłonić Asesora własnym ciałem, ale

Larry się tym nie przejął i z całej siły przyłożył chłopcu kołkiem w tyłek. Mężczyźni rechotali, chłopcy płakali, obity Asesor skowyczał i krwawił.

W końcu mężczyźni się cofnęli.

Theo ostrożnie wziął Asesora na ręce. Pies był cały zakrwawiony, miał rozbitą głowę i bezwładnie zwisał na rękach chłopca.

– Asesor, odezwij się do mnie – jęknął Theo przez łyzy.

– Zapłacicie za to! – wrzasnął Hardie w kierunku mężczyzn.

Theo zaczął biec. Tuląc Asesora do piersi, przebiegł obok swojego roweru i pobiegł dalej. Nie było mowy, by mógł jednocześnie trzymać psa i jechać na rowerze. Hardie i Woody wskoczyli na rowery i szybko dogonili Theo, który biegł niemal na oślep. Miał zalane łzami policzki, zakrwawioną koszulę i tulił do serca bezwładnego Asesora.

– Woody, ty zostań z Theo, ja pojedę szybciej i zawiadomię dziadka! – zawołał Hardie.

– Dobry pomysł – kiwnął głową Woody i Hardie puścił się pędem przed siebie.

– Czy on żyje? – spytał z lękiem w głosie Woody, trzymając się jak najbliżej Theo.

Chłopiec zagryzł wargę.

– Nie wiem. Nie rusza się.

Nie zwracając uwagi na kapiącą mu z łokcia krew, starał się biec jak najszybciej.

Rozdział 14

Dziadek Hardiego, pan Silas Quinn, i Hardie natknęli się na Theo i Woody'ego po drugiej stronie Red Creek. Theo był mokry od potu i krwi i tak zdenerwowany, że dostał ataku astmy. Naciskając z całej siły inhalator, stał zgięty wpół nad Asesorem, który nie dawał znaku życia. Pan Quinn szybko podniósł psa i ułożył na tylnym siedzeniu swojego pick-upa.

– Wrzućcie rowery na pakę i wskakujcie – polecił.

Chłopcy zrobili, jak kazał, i usiedli na tylnym siedzeniu.

Theo zaczął głaskać Asesora, który leżał z zamkniętymi oczami.

– Wyliże się z tego? – spytał Hardie.

– Nic mu nie będzie – odrzekł pan Quinn, ruszając z miejsca. Zdążył już zadzwonić na 911 i poprosić o wysłanie karetki i patrolu policji. Chętnie sam by się zajął wyrzuceniem mierniczych ze swojego terenu, ale teraz ważniejsza była pomoc ciężko rannemu psu. Wyjechali na prowadzącą do miasta szutrową drogę i pan Quinn zapytał:

– Który z was ma komórkę?

Woody nie miał, bo jego rodzice uważali, że jako trzynastolatek jest na to za młody. Hardie miał wprawdzie telefon, jednak nie pamiętał, gdzie go posiał.

– Ja mam – powiedział Theo.

– Myślę, że powinieneś zadzwonić do rodziców i ich zawiadomić – rzekł pan Quinn. Theo delikatnie przeniósł Asesora na kolana Woody'ego i wyjął z kieszeni aparat.

– Dokąd jedziemy? – spytał.

– Sam nie wiem – odparł pan Quinn. – Kto jest waszym weterynarzem?

– Doktor Kohl.

Telefon w biurze odebrała Elsa. Poinformowała Theo, że matka ma spotkanie z klientką, ale ojciec jest wolny. Opowiadając ojcu o wydarzeniach, Theo delikatnie głaskał Asesora między oczami. Na moment przeniósł wzrok na Woody’ego, najtwardszego chłopaka, jakiego znał, i zobaczył, że kolega ma oczy pełne łez.

Karetka zatrzymała się na środku szosy prowadzącej na farmę Quinnow. Początkowo jej ekipa nie bardzo chciała się zajmować rannym psem, ale pan Quinn nie należał do ludzi, którym łatwo jest odmówić. Głośno i dobitnie, nie szczędząc soczystych określeń, polecił sanitariuszom odwieźć Theo i jego psa do przychodni weterynaryjnej doktora Kohla przy South Clement Street. On sam, Hardie i Woody mieli jechać za nimi pick-upem.

W karetce Theo przyglądał się sanitariuszom, którzy zajęli się Asesorem tak, jakby mieli do czynienia z rannym dzieckiem. Ułożyli go na białym, wysterylizowanym wózku noszowym, oczyścili mu rany, szepcząc do uszu słowa otuchy, i zmierzili tętno. Choć Theo nie miał wątpliwości, że obaj zostali przeszkoleni do udzielania pomocy ludziom, a nie psom, jednak opiekowali się Asesorem z pełnym zaangażowaniem. Bardzo go to podniosło na duchu, zwłaszcza że jeden z sanitariuszy wytarł mu kawałkiem gazy mocno zakrwawioną koszulę, by go choć trochę doprowadzić do porządku.

– Ma wyczuwalne tętno – oznajmił drugi, okrywając Asesora aż po szyję białym prześcieradłem. – Myślę, że nic mu nie będzie.

– Dzięki – powiedział Theo, bo nie umiał nic więcej z siebie wydusić.

– Nigdy wcześniej nie wieźliśmy psa – zauważył któryś. – Co mu się stało?

Theo tylko potrząsnął głową. Nie był teraz w stanie nic opowiadać.

Doktor Kohl od prawie czterdziestu lat leczył i zszywał większość psów, kotów i innych małych zwierząt domowych w Strattenburgu. Jego niewielka cicha przychodnia mieściła się w starym centrum handlowym, które lata świetności miało już za sobą. Pracująca w niej od wielu lat bardzo doświadczona recepcjonistka, panna Ross, słynęła z tego, że potrafi dzwonić do klientów i ochrzaniać ich za to, że nie dopilnowali upływu końca ważności szczepienia ich pupili na wściekliznę.

Panna Ross właśnie porządkowała biurko przed wyjściem do domu, gdy zadzwonił telefon i pan Woods Boone oświadczył, że ich pies jest w ciężkim stanie i właśnie jedzie do przychodni. Spytał o doktora Kohla, a panna Ross potwierdziła, że doktor jest na miejscu, po czym ze zdumieniem ujrzała zajeżdżającą pod drzwi karetkę pogotowia.

W ciągu czterdziestu lat pracy nie zdarzyło jej się, by ranne zwierzę przywożono karetką. Wiedziała, że pies państwa Boone jest wyjątkowy (ale czyż wszystkie takie nie są?), nie miała jednak pojęcia, że cieszy się aż takim poważaniem miejscowej społeczności. Za karetką pod przychodnię zajechał pick-up, radiowóz policyjny, a za nimi jeszcze dwa inne samochody. Sanitariusz wziął psa na ręce i pośpiesznie wniósł do przychodni. Niewielka poczekalnia wypełniła się tłumem podenerwowanych osób, złożonym z Theo, jego kolegów, jego rodziców, pana Quinna, dwóch sanitariuszy, kierowcy karetki, Elsy z kancelarii Boone & Boone i dwóch mundurowych.

Asesora doktor Kohl i jego asystentka zabrali na prześwietlenie, a w tym czasie rodzice Theo zajęli się synem, który był cały utyłany błotem, zmieszany z krwią i potem. Z trudem panując nad sobą, Theo zaczął opowiadać, co się stało, stojący obok niego Hardie i Woody uzupełniali jego historię dodatkowymi szczegółami.

– Naprawdę uderzył cię kijem? – upewnił się pan Boone.

– Dwa razy w tyłek – potwierdził Theo. – A ten mały mnie pchnął i przewrócił.

– Mnie też któryś przewrócił – dodał Woody.

– To niesłychane – oburzyła się pani Boone, świdrując policjantów wściekłym wzrokiem.

– Już się tą sprawą zajmujemy, proszę pani – powiedział jeden z nich.

– Mam nadzieję.

– Chcę jak najszybciej wnieść skargę – oświadczył pan Boone. – Chcę, żeby ci dranie trafili za kratki.

– Ja też – potwierdził pan Quinn. – Weszli bezprawnie na mój teren.

Wszyscy szybko uzgodnili, że łajdaków należy przykładowo ukarać, emocje w poczekalni nieco opadły i zaczęło się oczekiwanie. Policjanci i załoga karetki odjechali do swoich zajęć, panna Ross zaparzyła kawy i wszystkim wręczyła po papierowym kubku. Po godzinie doktor Kohl wyszedł do poczekalni z pierwszą diagnozą. Oświadczył, że Asesor żyje, ale ledwo żyje i jest w ciężkim stanie. Ma słabe tętno. Dostał kilka silnych ciosów w głowę, co spowodowało wstrząśnienie mózgu. Czaszka nie pękła, ale wystąpił mocny obrzęk mózgu. Prawą przednią łapę ma złamaną, stracił też kilka zębów. Doktor Kohl oświadczył, że w tym stanie pies ma szczęście, że w ogóle jeszcze oddycha, a następne dwadzieścia cztery godziny będą kluczowe dla jego dalszych losów. Jeśli obrzęk mózgu będzie się powiększał, zwierzę prawdopodobnie tego nie przeżyje.

Doktor Kohl zaprowadził Theo i jego rodziców do salki zabiegowej na tyłach przychodni, gdzie paliły się przytłumione światła. Na niedużym, przykrytym białym prześcieradłem stole leżał Asesor. Miał wysunięty język, pysk i głowa były ogolone z sierści, do przedniej lewej łapy wkłuto mu kroplówkę, prawą miał usztywnioną. Wyglądał tak żałośnie, że Theo zaczął płakać. Było to silniejsze od niego i nie mógł się opanować. Nie

znosił płakać, szczególnie w obecności obcych, ale patrząc na swojego ciężko poranionego pupila, nie potrafił powstrzymać łez. Pani Boone też się rozpłakała.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu, gapiąc się na Asesora, po czym doktor Kohl powiedział:

– Nie mogę nic więcej zrobić. Moja asystentka zostanie na noc i będzie miała na niego oko, ale tak naprawdę pozostaje nam tylko czekać.

– Ja stąd nie wyjdę – oznajmił Theo, zaciskając zęby. – Zostaję tu na noc.

– Theo, nie wygłupiaj się – burknął pan Boone.

– Nie wyjdę stąd. Jak ja jestem chory, to Asesor leży koło łóżka i nie odstępuje mnie na krok. Mogę mu się teraz odwdzięczyć. Nie przekonuj mnie, tato. Nie wyjdę stąd i już.

– Theo... – zaczęła pani Boone.

– Mamo, przestań. Asesor musi słyszeć mój głos i wiedzieć, że jestem przy nim. Będę całą noc do niego mówił. Proszę.

Dorośli spojrzeli po sobie, po czym doktor Kohl wzruszył ramionami.

– Od państwa zależy – powiedział. – Mnie to nie przeszkadza.

– Zgoda, Theo – oświadczyła pani Boone. – Ale wrócimy najpierw do domu, zjesz szybką kolację, weźmiesz prysznic i się przebierzesz.

– Nie, mamo. Nie wyjdę stąd. Nie zostawię Asesora. Nigdy go nie zostawię.

W skomplikowanym i trudnym procesie wychowawczym zdarzają się sytuacje, gdy dorośli muszą wiedzieć, kiedy spasować i pozwolić dzieciom postawić na swoim. Państwo Boone uznali, że chyba właśnie nadszedł taki moment, wykazali się rodzicielską mądrością i dali spokój.

Pani Boone podeszła bliżej i poklepała syna po ramieniu.

– Dobrze, Theo. Pojedziemy do domu, zrobię ci coś do jedzenia, weźmiemy ubranie do przebrania i za godzinę tu wrócimy. Zgoda?

– Dzięki, mamó – powiedział Theo, nie odrywając wzroku od Asesora.

Gdy zamknęły się drzwi za rodzicami i doktorem Kohlem, Theo pochylił się nad psem i delikatnie pocałował go w nos, po czym z policzkami mokrymi od łez zaczął szeptać mu do ucha:

– Kocham cię, Asesorku, i będę tak długo do ciebie mówił, aż się obudzisz. Zgoda? Lepiej mnie posłuchaj, bo ani na chwilę nie przestanę mówić.

Jednak Asesor nawet nie drgnął.

Rozdział 15

Zapowiadała się długa noc. Pani Boone przyniosła kanapkę, której Theo nawet nie tknął, oraz czystą koszulę i dzinsy, po czym na zmianę z mężem posiedzieli trochę z synem i Asesorem w ciasnej salce zabiegowej. Były w niej tylko dwa krzesła, po jednym z obu stron stołu zabiegowego, na którym leżał Asesor, walcząc o życie. Asystentka doktora Kohla, młoda kobieta o imieniu Star, z fioletowymi włosami i kolczykiem w nosie, wyglądała dość oryginalnie, ale wbrew dziwacznemu wyglądowi okazała się bardzo ciepłą i serdeczną osobą, mocno przejętą losem Asesora. Wychodząc około dziewiątej, doktor Kohl zapewnił Theo i jego rodziców, że są u niego mile widzianymi gośćmi i że panna Star wszystkim się zajmie. Obiecał też, że będzie miał pod ręką komórkę i w razie czego zjawi się w przychodni w ciągu dziesięciu minut. Trójka Boone'ów serdecznie mu podziękowała.

W poczekalni wciąż jeszcze siedzieli Woody, Hardie i pan Quinn. Byli tam już kilka godzin, nie mając do roboty nic poza czekaniem. Zadzwonili po pizzę i podzielili się nią z panną Star. Po wyjściu doktora Kohla do domu postanowili zrobić to samo. Woody i Hardie obiecali Theo, że zjawią się ponownie w sobotę z samego rana, by dowiedzieć się o stan jego i Asesora. Ściskając się na pożegnanie, wszyscy trzej mieli łzy w oczach. To był dla nich długi i wyczerpujący dzień.

Parę minut po ich wyjściu w przychodni zjawiała się April Finnemore w towarzystwie swojej matki May, dość niezwyklej kobiety, której Theo i inni starali się w miarę możliwości unikać. Ponieważ panna Star nie wpuściła gości do salki zabiegowej, chłopiec przeniósł się do pomieszczenia recepcyjnego, by pogadać z April. Nie bardzo miał ochotę powtarzać

wszystko od początku, ale nie miał wyjścia. April była jedną z jego najlepszych przyjaciółek i gdy ze łzami w oczach spytała: „Theo, jak to się stało?”, nie pozostało mu nic innego, jak zacząć od wyprawy na ryby i zakończyć na odwiezieniu rannego Asesora do przychodni.

Pani Finnemore, która uwielbiała plotki i kochała sensacje, słuchała opowieści Theo z szeroko otwartymi oczami i ustami zakrytymi dłonią, jakby nigdy w życiu nie słyszała czegoś tak dramatycznego. Pani Boone udało się odciągnąć ją na bok, by młodzi mogli swobodnie pogadać. Theo przepadał za April, poczuł jednak ulgę, gdy obie się pożegnały i wyszły.

Dziesięć minut później zjawił się stryjek Ike. Uparł się, że chce zobaczyć Asesora, a gdy panna Star próbowała się sprzeciwić, tak na nią ryknął, że dziewczyna w popłochu uciekła. Po odwiedzeniu psa i wyszeptaniu paru słów do jego ucha Ike oznajmił, że zostaje na noc razem z Theo, a jego rodzice mogą wrócić do domu i złapać trochę snu. Panna Star może zostać, jeśli sobie życzy. Asystentka poinformowała Ike'a, że doktor Kohl polecił jej monitorować stan Asesora przez całą noc, i stryja chyba to przekonało.

Boone'owie opuścili przychodnię, obsypując pannę Star kolejną porcją uścisków i podziękowań i obiecując, że będą mieli przy łóżkach telefony komórkowe, gdyby coś się działo. Panna Star zamknęła na zasuwę drzwi frontowe i wycofała się do małego pokoju dla personelu. Ike usiadł obok Theo i powiedział:

– Theo, to ważne, żeby Asesor słyszał nasze głosy, kapujesz? Rozmawiamy, jak długo się da. Coś sobie poopowiadajmy, raz ty mnie, raz ja tobie, może jakieś kawały, cokolwiek, byle tylko słyhać było nasze głosy, jasne?

– Jasne, Ike.

Theo stał pochylony nad Asesorem, Ike oparł stopy w sandałach o niewielki stolik i jakimś cudem przyjął wygodną pozycję na zwykłym plastikowym krzeselku.

– To teraz jeszcze raz mi opowiedz – powiedział – jak ten dureń dał się ugryźć miedziogłowcowi.

– Daj spokój, Ike – mruknął Theo, krzywiąc twarz. – Mam już dość tej historii.

– Nie chodzi o ciebie, nie chodzi o mnie, chodzi o Asesora. Może on chciałby jeszcze raz to usłyszeć. Chodzi o brzmienie twojego głosu, Theo. Twój głos może docierać do najgłębszych warstw jego sztucznego mózgu. Asesorowi jest obojętne, co do niego mówisz. Dla niego jest ważne, że wie, że jesteś obok niego, i słyszy twój głos.

Theo westchnął i zaczął opowiadać o Percym i miedziogłowcu.

– Nie, nie, Theo – przerwał mu Ike. – Zaczynaj od samego początku i mów powoli. Nigdzie się nam nie śpieszy. Asesorowi też nie. Mamy do wypełnienia wiele godzin.

Theo zaczął więc od początku, od wyjazdu 1440. drużyny autobusem nad zalew Marlo, ubarwiając swoją opowieść wszystkimi drobiazgami, jakie przysły mu do głowy. Ike słuchał, z uśmiechem kiwając głową. Właśnie o to chodzi.

Theo skończył opowieść o wężu i Ike powiedział:

– Theo, jak wiesz, mieliśmy niedawno w Strattenburgu morderstwo, najgłośniejsze w historii naszego miasta. Jak się nazywał ten morderca?

– Pete Duffy³.

– Tak jest, Pete Duffy, oskarżony o zamordowanie żony, prawda?

– Prawda.

– To teraz opowiedz o tym morderstwie. Zaczynaj od znalezienia ciała przez policję. Chodziłeś na ten proces, tak?

– Chodziłem.

– Świetnie. To opowiadaj.

Theo usiadł na krzeselku po drugiej stronie stołu i podciągnął kolana pod brodę. Historia morderstwa żony Pete'a Duffy'ego od początku go pasjonowała i opowiadanie jej ciągnęło się w nieskończoność, przynajmniej tak mu się zdawało. Od czasu do czasu spoglądał na Asesora, który leżał bez ruchu, jak pogrążony w głębokim śnie. Zerkał też na Ike'a, który siedział z szeroko otwartymi oczami i gapił się na ścianę, kiwając potakująco głową. Od czasu do czasu drzwi się uchylały i ukazywała się w nich uśmiechnięta twarz panny Star, która czuwała w służbówce w głębi korytarza.

Theo dotarł do końca opowieści o Duffym i Ike zapytał:

– A pamiętasz, jak ruszyliśmy na ratunek April Fin- nemore, tylko ty i ja?

– Oczywiście, jak mógłbym zapomnieć.

– Dobra, to opowiedzmy sobie o tym.

– Teraz twoja kolej, Ike. Ty też brałeś w tym udział.

– No więc, jeśli dobrze pamiętam, któregoś wieczoru twoja koleżanka April zniknęła z domu, gdy poza nią nikogo w nim nie było. – Ike podniósł się z krzeselka i rozprostował nogi, zrobił kilka szybkich przysiadów i pogimnastykował przeguby rąk. Gdy krew znów zaczęła krążyć, podjął na nowo opowieść. Theo zaczął dorzucać drobiazgi, z początku nieliczne, ale w miarę rozwoju akcji było ich coraz więcej, tak że po dwudziestu minutach opowiadali obaj na wyścigi, wzajemnie się uzupełniając i na nowo przeżywając emocje związane z odszukaniem April i wyratowaniem jej z rąk walniętego ojca.

Okolo północy panna Star przyniosła im po butelce zimnej wody i szybko sprawdziła stan pacjenta. Asesor oddychał, ale był nadal pogrążony w śpiączce.

– Star, jeśli masz ochotę, to dołącz do naszego konkursu gawędziarzy – powiedział Ike. – Masz ochotę się z nami pobawić? Możesz mówić, o czym chcesz, bo Asesorowi jest to obojętne. Po prostu lubi słuchać.

Theo chętnie by posłuchał, skąd się wziął ten kolczyk w nosie, uznał jednak, że to chyba zbyt wkraczałoby w prywatność dziewczyny.

– Zastanowię się – odrzekła Star. – Może wrócę za pięć minut.

– Chyba nie lubi opowiadać – mruknął Ike. – Theo, a jak to było z włamaniem do twojej szkolnej szafki i podrzuceniem skradzionych rzeczy? Kiedy niewiele brakowało, żeby cię aresztowali. Parę miesięcy temu, pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć?

– A ktoś ciągle przebijał ci opony w rowerze.

– Pamiętam.

– Świetnie. To teraz opowiedz Asesorowi i mnie tę historię⁴.

Theo nagle poczuł zmęczenie. Był wykończony i chciało mu się spać, czuł się też psychicznie rozbity. Wstał, tak jak Ike zrobił parę przysiadów i rozpoczął dramatyczną opowieść o tym, jak go oskarżono o kradzież i niemal za to aresztowano. Ike uczestniczył w tej historii i tym razem też dorzucił kilka własnych uwag.

Snuli opowieści, a siedząca w służbówce Star słuchała ich z rozbawieniem. Około drugiej ich głosy ucichły i dziewczyna zajrzała do salki zabiegowej. Theo spał w kącie, zwinięty w kłębek na śpiworze przyniesionym przez ojca z domu. Ike'owi udało się jakimś cudem usnąć na krzeselku, z nogami opartymi o stolik.

Star weszła po cichu i przyłożyła dłoń do serca Asesora. Nadal biło.

Policja zjawiła się w przychodni doktora Kohla w sobotę wczesnym rankiem. Weterynarza jeszcze nie było, ale Star otworzyła drzwi i powitała śledczych, a ci spędzili piętnaście minut na rozmowie z Theo i Ikiem, po czym wyszli, oznajmiając, że zamierzają jeszcze dziś porozmawiać z Hardiem i Woodym. Theo dowiedział się od nich, że gdy wczoraj po

południu policjanci przyjechali na miejsce zdarzenia, geodetów już nie było, więc nikogo nie aresztowano. Funkcjonariusze zabrali tylko rower Theo i był on do odebrania w komisariacie. Ike nie omieszkał ich zapewnić, że Boone'owie zamierzają wystąpić ze skargą i mają nadzieję, że winni napaści zostaną aresztowani i pociągnięci do odpowiedzialności.

Theo nie wiedział, że Hardiemu udało się zapamiętać numer rejestracyjny pick-upa ekipy mierniczej.

Państwo Boone'owie przyszli do przychodni z pudłem paczków i kawą. Ike wkrótce potem wyszedł, ale obiecał wrócić po południu. O dziewiątej nadjechał doktor Kohl i zbadawszy Asesora, oświadczył, że w jego stanie nie zaszły większe zmiany. To, że przeżył noc, było oczywiście dobrym znakiem, ale weterynarz ostrzegł Boone'ów przed zbytnim optymizmem. Pani Boone zaproponowała, żeby Theo pojechał do domu, wziął prysznic i trochę odpoczął, ale chłopiec odmówił. Oświadczył, że nie ruszy się stąd na krok, póki Asesor się nie obudzi i nie poczuje lepiej.

Nikt nawet nie próbował z nim dyskutować.

Pan Boone pojechał do pracy, pani Boone została w przychodni. Usadowiła się w kącie recepcji, włączyła laptop i zajęła odbieraniem i wysyłaniem poczty. Wzięła z sobą grubą teczkę z aktami i widać było, że się nie nudzi. Theo przez chwilę jej towarzyszył, potem poszedł rzucić okiem na Asesora. Na chodzeniu tam i z powrotem upływały mu następne godziny, czas włókł się niemiłosiernie, przez przychodnię przewijało się wiele chorych psów i kotów. Doktor Kohl cieszył się w mieście od lat wielką renomą jako weterynarz, ale poza tym już dawno odkrył, że w jego zawodzie sobota jest doskonałym dniem. Robił sobie wolne poniedziałki, spędzając je na polu golfowym, za to soboty należały do najbardziej ruchliwych dni w przychodni. Co godzinę zaglądał do Asesora.

Zjawił się pan Boone i zastąpił żonę, która pojechała do pracy. April przyjechała na rowerze bez matki i spędziła godzinę z Theo, który znalazł moment, gdy doktora Kohla ani jego techników nie było w pobliżu i po

kryjomu wprowadził ją do salki, gdzie leżał Asesor. Na widok nieszczęsnego zwierzęcia nie mogła powstrzymać łez. Pies leżał częściowo okryty białym prześcieradłem, miał ogoloną głowę, zamknięte oczy i zwisający różowy język. Theo był tak wymęczony płaczem, że brakowało mu już łez.

Doktor Kohl ponownie prześwietlił Asesora i poinformował Theo, że obrzęk się nie powiększył, ale i nie zmałał. O drugiej zjawił się doktor McKenzie, zaprzyjaźniony weterynarz, którego fachowości doktor Kohl w pełni ufał. Doktor McKenzie miał zbadać Asesora i wydać niezależną opinię. Theo został wyproszony z salki zabiegowej i dwaj lekarze zaczęli obmacywać i opukiwać Asesora, studiując jego zdjęcia rentgenowskie. Obaj zgodnie uznali, że stan psa jest bardzo poważny.

Przez resztę soboty Theo niemal nie opuszczał Asesora. Przez ten czas przyjechali i odjechali rodzice chłopca, kolejni lekarze, technicy i asystenci, a także Woody, Hardie i April. Pozostając sam na sam z Asesorem, Theo delikatnie głaskał jego miękką sierść na grzbiecie i szepcząc mu do ucha, zapewniał, że wszystko będzie dobrze. Z napięciem obserwował unoszący się i opadający brzuch Asesora – niezbity dowód, że pies wciąż żyje i oddycha. – Trzymaj się, stary – powtarzał raz po raz.

Asesor był mieszańcem, którego dokładny wiek i pochodzenie miały już na zawsze pozostać tajemnicą. Został porzucony i trafił do miejskiego schroniska. Tam go zaszczepiono, nakarmiono, wykąpano i wystawiono do adopcji, ale nie zgłosił się nikt chętny. Działacze ruchu ochrony zwierząt od dawna walczyli o wprowadzenie zakazu usypiania lokatorów miejskiego schroniska, smutna prawda była jednak taka, że w mieście było za dużo bezdomnych psów i kotów, a za mało ludzi chętnych do ich adopcji. Po sześciu miesiącach czekania na chętnego władze miejskie nie miały wyjścia i musiały „eliminować” niechciane zwierzęta. W przypadku Asesora

półroczny okres oczekiwania dobiegł końca i psa od śmierci dzieliły godziny.

Dwa lata temu Theo jako jedenastolatek towarzyszył tacie w rozprawie w Sądzie do spraw Zwierząt, dokąd poszli dodać otuchy znajomemu, którego owczarek niemiecki po raz trzeci pogryzł listonosza. Sąd do spraw Zwierząt – przez niektórych nazywany też Sądem Kocim oraz wieloma innymi złośliwymi mianami – mieścił się w podziemiach budynku sądu i dla wielu prawników był najbardziej nieatrakcyjnym miejscem pracy w całym systemie sądowniczym. Do tego stopnia, że większość prawników unikała go jak ognia.

Sędzia Yeck pracował w nim w niepełnym wymiarze godzin i był chyba jedynym sędzią w mieście gotowym pracować w Sądzie do spraw Zwierząt. W pewnej chwili podczas rozprawy w sprawie owczarka niemieckiego popatrzył na Theo i spytał:

– Theo, a ty jakiego masz psa?

Siedzący obok ojca chłopiec poczuł się wyróżniony tym, że sędzia zna go po imieniu, nawet jeśli jest tylko sędzią Sądu do spraw Zwierząt. Wstał i powiedział:

– Znaczy, panie sędzio, ja nie mam psa.

– Dlaczego nie? Każde dziecko powinno mieć psa. – Sędzia Yeck spojrzał z wyrzutem na pana Boone’a i powiedział: – Woods, dlaczego nie pozwalasz synowi mieć psa? – Pytanie bardzo Theo podnieciło i chłopiec uśmiechnął się radośnie, zapominając nawet o aparacie korekcyjnym na zębach. Co najmniej od roku męczył rodziców o psa.

Pan Boone sprawiał wrażenie zmieszanego.

– No cóż, panie sędzio, rozmawiamy o tym.

Jak się okazało, gdy się już zaprzyjaźnili, sędzia Yeck kochał zwierzęta i nie mógł się pogodzić z ich usypianiem w schronisku. Spojrzał na woźnego i powiedział:

– Przeprowadźcie tu tego psa.

Woźny wyszedł i po chwili wrócił do sali z mieszańcem, który wkrótce miał zostać Asesorem.

– Spójrz na tego przystojniaka, Theo. Nie sądzisz, że mógłby być twoim wspaniałym przyjacielem?

Przystojniak spojrział Theo prosto w oczy, Theo spojrział w oczy przystojniakowi i sprawa przyjaźni została w tym momencie przesądzona. Asesor sięgał dorosłemu do kolan, ważył około dwudziestu kilo, miał w sobie dużo z teriera, gęstą sierść, wielkie brązowe oczy i był najfajniejszym psem, jakiego Theo w życiu widział.

Na pewno – udało mu się wykrztusić.

– A ty, Woods, co o tym myślisz? – spytał sędzia.

– Kurczę, nie wiem.

No więc sprawa wygląda tak. Ten psiak od sześciu miesięcy siedzi w schronisku i kończy mu się termin. Jutro rano mają go uśpić. Jeśli nie zgodzicie się go wziąć, to z nim koniec. Nie sądzisz, że byłoby szkoda?

Okazało się, że faktycznie byłoby, i Theo wyszedł z sądu z psem na smyczy.

Ojciec powiedział mu później, że sędzia Yeck często robił taki numer. Przeprowadzał do sądu jakiegoś psa czy kota, którego miano wkrótce „wyeliminować”, i pokazywał go niczego niepodważającemu podsądnemu. To też był jeden z powodów, dla których wielu unikało Sądu Zwierzęcego.

O zmroku pani Boone oświadczyła kategorycznie, że pora, by Theo wrócił do domu, choćby tylko po to, żeby się wykąpać, umyć zęby, przebrać i zjeść coś porządnego. Pan Boone przyznał jej rację i wyglądało

na to, że tym razem rodzice nie dadzą się przekonać. Jednak Theo się zaparł.

– Nie zostawię Asesora – powtarzał stanowczo.

Zanosilo się już na poważną rodzinną scysję, gdy z niespodziewaną odsieczą zjawil się Ike, który wszedł do przychodni i już od drzwi rzucił:

– Jak tam stary Asesor?

– Walczy – odrzekł Theo. – Zapowiada się następna długa noc.

– No cóż, przeżyliśmy jedną – powiedział z uśmiechem Ike – to przeżyjemy drugą i pomożemy Asesorowi zrobić to samo.

– Zostaniesz na noc? – zapytał Theo.

– W życiu nie ominąłbym takiej okazji.

Państwo Boone'owie ostatecznie wyszli sami. Panna

Star przyszła na nocną zmianę, doktor Kohl około ósmej zbadał Asesora, pożegnał się i poszedł do domu. Obiecał, że jak zwykle będzie miał telefon przy łóżku.

Zaczynała się następna długa noc.

Rozdział 16

W niedzielę o świcie dwóch policjantów zapukało do drzwi niewielkiego domku z nieotynkowanej czerwonej cegły w wiejskim rejonie okręgu Stratten, w okolicach Tuffsburga. Musieli chwilę odczekać, zanim właściciel podszedł do drzwi i zażądał wyjaśnień. Policjanci spytali o nazwisko, mężczyzna odpowiedział „Larry Samson” i usłyszał, że jest aresztowany.

Jeden z policjantów odczepił od pasa parę kajdanek.

– Za co? – spytał Samson.

– Za czynną napaść. Proszę wyjść. Pojedzie pan z nami.

Samson próbował się wyklócać, ale szybko się poddał, choć ani na moment nie przestał pomstować. Policjanci grzecznie zaproponowali, żeby się przymknął, i wepchnęli go na tylne siedzenie radiowozu.

Dokładnie w tym samym czasie w różnych miejscach okręgu Stratten aresztowano trzech innych mężczyzn. Nazwany przez chłopców Kurduplem, naprawdę nazywał się Lester Green, starszy kierownik ekipy Pomiarów Strategicznych – Willis Keeth, czwartym – tym, który podłożył nogę Woody’emu – był niejaki Gino Gordon. Całą czwórkę zamknięto w areszcie okręgu Stratten, gdzie założono im kartoteki, zdjęto odciski palców, sfotografowano i postawiono zarzut czynnej napaści oraz bezprawnego wkroczenia na cudzy teren. Po paru godzinach telefonowania i ślęczenia nad papierkami wszystkim czterem wręczono wezwania do stawienia się w sądzie w wyznaczonym dniu i zwolniono ich za kaucją.

W czasie pobytu mężczyźni za kratkami kapitan policji Mulloy pojechał do przychodni weterynaryjnej, by spotkać się z trojgiem Boone'ów. Kapitan pracował w policji od wielu lat i cieszył się zasłużenie dobrą opinią, zwłaszcza wśród starszych wiekiem prawników w mieście. Do niego trafiła sprawa, która zaczęła się w piątek po południu awanturą w posiadłości Quinnow, a skończyła dowiezieniem ciężko rannego psa do przychodni weterynaryjnej, gdzie walczył teraz o życie. Kapitan Mulloy należał też do parafii, w której ojciec Hardiego był pastorem, i znał całą rodzinę Quinnow.

Pan Boone często powtarzał, że mieszkanie w małym mieście może być męczące, bo wszyscy o wszystkim wszystko wiedzą, ale ma też swoje dobre strony, bo zna się odpowiednich ludzi. Kapitan Mulloy właśnie do takich należał.

Policjant wszedł do przychodni i zobaczył panią Boone siedzącą w recepcji z nogami otulonymi puszystym pledem i z niedzielnym wydaniem gazety w ręku. Poinformowała go, że siedzi tu od mniej więcej godziny, Theo ze stryjkiem Ikiem są jeszcze w sali zabiegowej, gdzie spędzili drugą noc z rzędu. A także że doktor Kohl powinien lada chwila się zjawić. W stanie zdrowia Asesora nie zaszły żadne zmiany.

Kapitan Mulloy przez chwilę posiedział z panią Boone, pijąc kawę i opowiadając o aresztowaniach. W połowie jego opowieści w drzwiach do salki zabiegowej stanęli Theo i Ike. Chłopiec od piątku rano się nie kąpał i wyglądał, jakby przez parę nocy koczował na podłodze, co zresztą odpowiadało prawdzie. A Ike, cóż, Ike ze swymi długimi, związanymi w kucyk włosami zawsze sprawiał wrażenie rozczochranego i zaniedbanego. Podali sobie ręce i kapitan Mulloy zapytał:

– Co z psem?

– Nadal walczy – odparł Theo. – Wciąż bije mu serce, ale niewiele więcej. Nie odzyskał przytomności.

– To współczuję – rzekł kapitan Mulloy, sięgając po teczkę z dokumentami. – Theo, chciałbym ci coś pokazać. – Wyjął z teczki cztery

kolorowe fotografie i rozłożył je na stoliku. – Przypatrz się tym ludziom. Widziałeś kiedyś któregoś z nich?

Theo pochylił się nad stolikiem i bez namysłu oświadczył.

– To oni. Wszyscy czterej. – Wskazał ręką Lestera „Kurdupla” Greena. – Ten chwycił mnie za rękę, wytrącił komórkę i przewrócił na ziemię. – Przeniósł palec na Samsona. – A ten drań bił Asesora kijem. – Wskazał na Keetha. – To ten najstarszy, ich szef. A ten podłożył nogę Woody’emu i strasznie się na nas wydierał – dodał, wskazując na Gordona.

Kapitan Mulloy się uśmiechnął.

– Tak też myślałem. Właśnie w tej chwili wszyscy czterej siedzą w areszcie i nasi ludzie z nimi rozmawiają. Pewnie jeszcze dziś wpłacą kaucję i wyjdą na wolność. Rozumiesz to wszystko, Theo?

Theo oczywiście wszystko rozumiał.

– Tak, panie kapitanie – powiedział, kiwając głową.

Ike wziął do ręki fotografię Larry’ego Samsona.

– To ten drań próbował zabić Asesora? – upewnił się.

– Ten – odrzekł Theo bez namysłu.

– To kiedy ten łajdak stanie przed sędzią?

– Nie potrafię powiedzieć – odparł kapitan Mulloy.

– Wina aż mu bije z twarzy – prychnął Ike.

– Bo jest winny – stwierdził Theo. – Mamy na to świadków.

– Gdzie ci ludzie mieszkają? – spytała pani Boone.

– Tu, w okolicy. Wszyscy pracują w firmie geodezyjnej, którą władze stanowe zaangażowały do wykonania wstępnych pomiarów pod przyszłą obwodnicę. Wygląda na to, że wykazali się nadgorliwością i weszli na prywatny teren bez zezwolenia.

– Pójdą za to siedzieć – rzekł Ike takim tonem, jakby to on był sędzią i ogłaszał wyrok. – Wspomnicie moje słowa, ci dumie trafią za kratki.

Dodatkowo wystąpimy też do sądu o odszkodowanie. – Ike potoczył po obecnych takim wzrokiem, jakby się szykował do bójki na pięści.

Drzwi frontowe otworzyły się i wszedł pan Boone z tuzinem pączków i kolejnym plikiem niedzielnej prasy.

Theo zawsze zdumiewała ilość gazet, jakie rodzice połykali w każdą niedzielę. Często fragmenty grubych niedzielnych wydań czterech różnych gazet bywały rozwleczone od stołu kuchennego aż po stolik w salonie, a przy dobrej pogodzie sięgały nawet na ganek za domem. Do obowiązków Theo należała segregacja odpadków. W kącie garażu stały cztery duże plastikowe pojemniki: na szkło, plastik, aluminium i papier. Pojemnik na papier zawsze wypełniał się pierwszy i wysypywały się z niego sterty starych gazet. Kilka razy Theo nawet spytał rodziców, dlaczego po prostu nie czytają wiadomości online. Oboje mieli laptopy i korzystali z nich do wysyłania i odbierania korespondencji biurowej i prywatnej. Czemu więc nie mogą czytać wiadomości na ekranie i oszczędzać w ten sposób tony papieru? Ich odpowiedzi były dość mętne i zupełnie nieprzekonujące, przynajmniej dla Theo.

Spojrzał na stertę niedzielnych gazet i jak zwykle przemknęła mu przez głowę myśl o marnotrawstwie papieru, szybko jednak wrócił do terażniejszości. Bo dlaczego Theo Boone, którego ukochany pies prawie dogorywa, a on sam spędził ostatnie dwie noce na posadzce przychodni weterynaryjnej, ma się teraz przejmować oszczędnością papieru? Wziął sobie pączka i pochłonał go trzema kłapnięciami zębów.

Pan Boone akurat witał się z wszystkimi i dopytywał o stan Asesora, gdy z głębi przychodni wyłonił się doktor Kohl w garniturze i koszuli z krawatem, oświadczając, że udaje się na poranne nabożeństwo. Obecni w recepcji podawali sobie z rąk do rąk fotografie czterech zatrzymanych mężczyzn, przypatrując się z odrazą ich twarzom. Doktor Kohl też rzucił okiem i mruknął tylko: „Ponure typy”.

Theo nagle coś przyszło do głowy. Spojrzał na kapitana Mulloya i spytał:

– Czy mógłbym na chwilę pożyczyć zdjęcie Samsona?

Policjant podał mu fotografię i wszyscy ze zdumieniem ujrzeni, że Theorusza z nią w głąb przychodni.

W salce panował półmrok i poza Asesorem nie było w niej nikogo. Pies leżał nieruchomo na stole zabiegowym, na którym przebywał od kilkudziesięciu godzin. Theo zapalił światło i pochylił się nad zwierzęciem.

– Hej, kolego, mam tu coś dla ciebie – szepnął mu do ucha i przystawił do pyska fotografię Samsona. – To ten łajdak, który ci to zrobił, piesku. Nazywa się Larry i jest w areszcie. Pójdzie siedzieć i zapłaci za to, co ci zrobił. Przyjrzyj mu się, Asesorku, to ten duży niedobry Lany z kijem w rękę. Zdawało mu się, że jest taki ważny, bo się może znęcać nad pieskiem, a teraz siedzi w areszcie. Zwyciężyliśmy, Asesorku, a to jeszcze nie koniec.

Theo przysunął zdjęcie psu do oczu, ale Asesor nawet ich nie otworzył. Chłopiec z trudem powstrzymywał łzy, zdjęcie w jego dłoni drżało. Przymknął powieki i pomodlił się do Boga, by zechciał się zlitować nad biednym małym psem, który nigdy nikogo nie skrzywdził, jest najlepszym przyjacielem na świecie i cierpi za to, że stanął w mojej obronie. Proszę, Panie Boże.

Mijały minuty i Theo był już gotów się poddać, gdy nagle usłyszał ciche prychnięcie.

Brzmiało to tak, jakby Asesor próbował odchrząknąć. Theo otworzył oczy i niemal w tym samym momencie pies zrobił to samo. Nie za szeroko. Pod powiekami pokazały się dwie wąskie szparki, ale widać przez nie było ciemnobrązowe tęczy Asesora.

– Asesor! Ocknąłeś się! – wykrzyknął Theo i pochylił głowę tak, że niemal dotknął psiego nosa.

Zwierzątek szerzej otworzył oczy. Wyglądało to tak, jakby przez chwilę przyglądał się fotografii Larry’ego Samsona, po czym rozchylił pysk i

oblizwał sobie wargi. Theo odłożył zdjęcie i zaczął głaskać Asesora po grzbiecie, nie przestając do niego przemawiać.

Do salki wszedł doktor Kohl.

– No, no – powiedział. – Chyba Asesor chce nam powiedzieć, że jeszcze nie jest gotów odejść.

– Niech pan spojrzy. Ma otwarte oczy i jest przytomny.

– Widzę. – Weterynarz delikatnie odłączył rurkę i równie delikatnie obmacał opuchnięte miejsca. Asesor powracał do życia i zaczynał się wiercić, cicho pojękując. Wyraźnie przeszkadzało mu usztywnienie prawej łapy i chyba nie bardzo mógł zrozumieć, skąd się tam wzięło. Doktor Kohl delikatnie dotknął kończyny, Asesor pisnął i szarpnął ją do tyłu.

– Muszę mu dać środki znieczulające – powiedział doktor.

– Chyba jest też strasznie głodny – dodał Theo, nie mogąc opanować wzruszenia.

– Niewątpliwie, ale najpierw damy mu się napić.

Doktor Kohl powoli uniósł psa, jakby chciał go postawić

na stole. Theo chwycił małą blaszaną miskę, nalał wody i podsunął pod pysk Asesora, który zaczął chleptać z takim zapałem, jakby nigdy wcześniej nie widział wody. Pił i pił, rozbryzgując wodę na boki. Doktor Kohl go podpierał, Theo trzymał miskę, zdołał jednak uchylić drzwi i krzyknąć: „Asesor się obudził!”.

Po chwili w salce tłoczyli się wszyscy Boone'owie, doktor Kohl, kapitan Mulloy i dwójka techników weterynaryjnych, którzy w niemym zachwycie przyglądali się pijącemu psu. Weterynarz w końcu przestał podtrzymywać psa i zebrani ujrzeni Asesora stojącego o własnych siłach na trzech zdrowych łapach i jednej złamanej. Łeb miał spuchnięty i ogolony i wyglądał, jakby go wyciągnięto spod kół ciężarówki, ale był wyraźnie szczęśliwy i się uśmiechał. I pewnie tylko nie mógł zrozumieć, dlaczego ci wszyscy ludzie mają łzy w oczach.

Asesor powrócił do życia.

Rozdział 17

Sąd do spraw Zwierząt. W podziemiach dostojnego gmachu sądu okręgowego w Strattenburgu ciągnął się zagracony korytarz, z którego wchodziło się do kilku zapyziałych pomieszczeń. Na drzwiach największego z nich widniała zwykła tabliczka z napisem:

SĄD DO SPRAW ZWIERZĄT

Wnętrze wypełniała zbieranina starych sprzętów biurowych: kilkadziesiąt składanych krzeseł różnych kształtów i kolorów i poobijany stół, za którym zasiadał sędzia. Salę obsługiwało paru woźnych w wieku emerytalnym, którzy od czasu do czasu tu zaglądali, i marudna urzędniczka, która niedosłyszała i nienawidziła tej pracy. Na wyższych piętrach gmachu mieściły się dużo elegantsze i bardziej zadbane sale. Theo miał okazję przysłuchiwać się w nich wielu procesom. Najbardziej lubił główną salę rozpraw, w której rezydował jego przyjaciel, sędzia Henry Gantry, ale Sąd do spraw Zwierząt też lubił, bo nie trzeba było być prawnikiem, aby w nim w jakiejś sprawie występować. W wieku trzynastu lat Theo miał na swoim koncie kilka spektakularnych zwycięstw przed obliczem sędziego Yecka.

Może wyposażenie Sądu do spraw Zwierząt było podstarzałe, ale na pewno nie można było tego powiedzieć o urzędującym tu sędzim. Yeck miał około czterdziestki, długie włosy i brodę, a zamiast w todze i muszce wolał paradować w dżinsach i wojskowych butach. Był autentycznie wyluzowany i Theo bardzo go lubił. Sędzia Yeck urzędował w niepełnym

wymiarze czasu, tylko przez cztery popołudnia w tygodniu, gdyż nikt inny w mieście nie miał ochoty tego robić. Sąd do spraw Zwierząt miał tak niski status wśród miejscowych prawników, że nikt nie chciał nawet patrzeć w tę stronę.

Za to Theo bywał tu częstym gościem. Sąd do spraw Zwierząt działał od szesnastej do osiemnastej od wtorku do piątku, a na wokandzie zwykle można było znaleźć coś ciekawego. Niekiedy jednak było pusto i wtedy Theo przysuwał sobie krzesło do stołu i podpytywał sędziego Yecka o zawilności prawa, studia prawnicze, prawników i krążące po mieście plotki, zwłaszcza z innych procesów. Trochę współczuł sędziemu, bo poza przewodnictwem Sądowi do spraw Zwierząt Yeck pracował w małej i nie-odnoszącej większych sukcesów firmie prawniczej na mieście.

Boa dusiciele, gryzące psy, plujące lamy, agresywne papugi, pytony w przesyłkach pocztowych, wściekłe koty, rozkapryszone małpy, brzuchate świnie, jadowite pająki, śmierdzące skunksy, ranne pумы, porzucone krokodylki, uczestnicy nielegalnych walk kogutów, wygłodniałe niedźwiedzie, obłąkane łosie – cała ta menażeria przewinęła się przez Sąd do spraw Zwierząt i sędziego Yecka wszystko to już widział.

Nigdy natomiast nie widział aż takiego tłumu, jaki się tego dnia zwałił do jego sądu. W środę o siedemnastej do sali rozpraw trudno było się wcisnąć, a wśród tych, którym się to udało, panowała napięta atmosfera. Po jednej stronie sali siedzieli członkowie rodziny Boone'ów – państwo Boone'owie, oboje cieszący się w mieście opinią dobrych prawników, oraz ich jedynak, młody Theo. Na wysokości jego kolan wystawała jeszcze jedna znajoma sędziemu głowa, choć aktualnie opuchnięta, obandażowana i mocno zmieniona. Psa nazwano Asesor, według zapewnień Theo dlatego, aby uczcić jego „sądowe” pochodzenie i rolę sędziego Sądu do spraw Zwierząt w uratowaniu mu życia, choć do Yecka docierały pogłoski, że chłopiec to samo mówi kilku innym sędziom. Tuż za Theo siedział Ike Boone, znany niegdyś w Strattenburgu prawnik, który wiele lat temu zszedł na złą drogę.

Za Boone'ami tłoczyli się ich przyjaciele. Był Woody z rodzicami i dwoma starszymi braćmi, Hardie Quinn z rodzicami, dziadkami oraz kilkoma wujkami, ciotkami i kuzynami. Zjawiała się też gromadka szkolnych kolegów Theo, w tym Chase i April ze swoją trzepniętą matką. Duchowego wsparcia przyszedł udzielić pan Mount, który usiadł obok kapitana Mulloya. Pojawili się też doktor Kohl i panna Star na wypadek, gdyby trzeba było zaświadczyć o stanie Asesora. Obok doktora siedziała Elsa z kancelarii rodziców Theo. Ostatnie rzędy dla publiczności zajmowali stali bywalcy sal sądowych, którzy nigdy nie przegapiali okazji do przysłuchania się soczystej kłótni.

Po drugiej stronie sali siedziało rządkiem czterech mężczyzn, których aresztowano w niedzielę rano. Wszyscy czterej mieli zawzięte i ponure miny, co miało świadczyć o tym, że nienawidzą tego miejsca i tracenia cennego czasu na jakieś bzdury. Larry Samson, Lester Green, Willis Keeth i Gino Gordon – czterej pracownicy firmy Pomiary Strategiczne. Za nimi usiadły ich żony i dziewczyny, krewni i znajomi. W rzędzie przed nimi siedziała znana adwokat Tess Coffrey, której nazwisko niektórzy przekręcali na Też Kofeina, robiąc aluzję do jej braku opanowania. Coffrey zachowywała się tak, jakby była wiecznie podminowana dużą ilością wypitej kawy. Jak większość tutejszych prawników, ona też nie chciała mieć nic wspólnego z Sądem do spraw Zwierząt.

Między tymi dwiema stronami stanęli dwaj młodzi uzbrojeni policjanci w mundurach. Sędzia Yeck obawiał się, że emocje mogą się wymknąć spod kontroli, i poprosił o dodatkową ochronę.

– No więc tak – rozpoczął rozprawę. – W kolejnej sprawie mamy do czynienia z dość skomplikowaną sytuacją. Chyba znam wszystkie podstawowe fakty i zarzuty. Wiem, że czterej pracownicy firmy Pomiary Strategiczne, panowie Samson, Green, Keeth i Gordon, zostali oskarżeni o złamanie prawa w postaci czynnej napaści na nieletnich i bezprawnego wkroczenia na cudzy teren. Tymi zarzutami zajmie się jednak sąd

okręgowy, nie my. Rozumiem też, że pan Silas Quinn wystąpił dziś rano z powództwem cywilnym przeciwko tym samym czterem obwinionym i ich pracodawcy. Również i ta sprawa zostanie rozpatrzona przez inny sąd w innym terminie.

Sędzia Yeck zawiesił głos i powiódł wzrokiem po zatłoczonej sali.

– Jurysdykcji tego sądu podlegają zwierzęta i jedynie zwierzęta. Zgodnie z kodeksem zajmujemy się też aktami okrucieństwa wobec zwierząt i w tym zakresie mam do rozpatrzenia skargę złożoną przez Theodore’a Boone, który oskarża Larry’ego Samsona o to, że pobił psa imieniem Asesor półtorametrowym drewnianym kołkiem mierniczym, i to tak brutalnie, że pies stracił przytomność. W moim rozumieniu ma to znamiona okrucieństwa wobec zwierząt i dlatego przyjmuję tę sprawę do rozpatrzenia. Jakież uwagi, pani mecenas?

Pani Coffrey wstała ze swym nieodłącznym żółtym notatnikiem w ręce i okularami zsuniętymi na czubek nosa i powiedziała:

– Wysoki Sądzie, złożyliśmy wniosek o oddalenie tych zarzutów lub ewentualne przekazanie ich do rozpatrzenia przez sąd okręgowy.

– Wniosek oddalony – burknął sędzia. – W moim sądzie nie musi pani wstawać. Coś jeszcze?

Theo był już świadkiem takich potyczek. Znani adwokaci często stawali przez sędzią Yeckiem, dając do zrozumienia, że uważają Sąd do spraw Zwierząt za niegodny ich wysiłków. Zwykle nie najlepiej na tym wychodzili.

Pani Coffrey usiadła.

– Tak, Wysoki Sądzie. Chcielibyśmy mieć zapis przebiegu tej rozprawy, dlatego przyprowadziliśmy protokółantkę sądową.

– Oczywiście – rzekł sędzia, wzruszając ramionami. W jego sądzie nie protokołowano rozpraw, co oznaczało, że zeznania świadków i uwagi sędziego nie były w żaden sposób rejestrowane. We wszystkich innych

rozprawach w gmachu uczestniczyły protokółantki lub stenografki, które utrwały przebieg postępowania za pomocą urządzeń elektronicznych i ręcznej stenografii. Ponieważ zatarg między chłopcami, Asesorem i ekipą mierniczą dotykał tak wielu aspektów prawnych, utrwalenie treści zeznań świadków było ze wszelkich miar wskazane.

– Coś jeszcze? – powtórzył sędzia Yeck.

– Tak, Wysoki Sądzie. Wnioskuje, by zwolnił się pan z obowiązku rozpatrzenia tej sprawy i przekazał ją innemu sędziemu.

Sędzia Yeck nawet nie mrugnął.

– Z jakiego powodu? – zapytał.

– O ile mi wiadomo, ten konkretny pies jakieś dwa lata temu przeszedł przez ręce pana sędziego i to pan doprowadził do jego adopcji przez rodzinę Boone'ów.

– Dlaczego ma to stanowić problem? I kto inny miałby mnie zastąpić?

– No cóż, istnieje obawa, że pan sędzia może być emocjonalnie związany z tym psem.

– Nie widziałem tego psa od dwóch lat – rzekł sędzia Yeck. – W ciągu tych dwóch lat przez moje ręce przeszło tysiąc innych psów. Oddalam wnioski. Czy możemy wreszcie zacząć?

Nikt z obecnych na sali nie mógł mieć wątpliwości, że pani Coffrey już się sędziemu naraziła i sprawy mogą przybrać jeszcze gorszy obrót.

Mecenas Coffrey nie odpowiedziała.

– Coś jeszcze? – powtórzył z naciskiem sędzia.

– Nie – odrzekła adwokat, kręcąc głową.

– Pani Boone – sędzia zwrócił się do matki Theo. – Rozumiem, że występuje pani w roli pełnomocnika prawnego swojego syna, właściciela psa, i że asystuje pani w tej sprawie pan Woods Boone, czy tak?

– Tak jest, Wysoki Sądzie – odrzekła pani Boone, ciepło się uśmiechając.

– Proszę wezwać pierwszego świadka.

– Wzywam na świadka Theodore’a Boone.

Theo wstał z miejsca, przeszedł dziesięć kroków i usiadł na starym krześle obok stołu sędziowskiego.

– Podnieś prawą rękę, Theo – polecił sędzia. Chłopiec wykonał polecenie i sędzia spytał: – Czy przysięgasz mówić prawdę?

– Przysięgam.

– Posłuchaj, Theo – zaczął sędzia. – Wiem, że bywałeś już wcześniej w moim sądzie, ale dziś mamy trochę inną sytuację. Protokółantka sądowa zanotuje każde twoje słowo, więc masz mówić wolno i wyraźnie, rozumiesz? Ta uwaga dotyczy zresztą wszystkich świadków.

– Tak, panie sędzio – rzekł Theo.

– Proszę zaczynać, pani mecenas.

Nie wstając z miejsca, pani Boone powiedziała:

– A więc, Theo, opowiedz Wysokiemu Sądowi, co się wydarzyło.

Najwolniej i najwyraźniej, jak potrafił, Theo opowiedział całą historię spotkania z ekipą mierniczych. Mówiąc o pobiciu Asesora, oskarżycielsko wyciągnął rękę w stronę Larry’ego Samsona. Prawie się zakrztusił, opowiadając, jak wziął na ręce krwawiącego i nieprzytomnego psa i zaczął biec, i jak usłyszał za plecami wybuch śmiechu. Zeznając, zerkał to na Asesora, to na matkę, ojca, Ike’a i przyjaciół, a także od czasu do czasu na czterech pozwanych, którzy siedzieli z rękami założonymi na piersi. Co jakiś czas Larry Samson marszczył czoło i kręcił głową na znak, że to wszystko bzdury.

Theo opowiedział całą historię bez zajknięcia. Gdy skończył, pani Coffrey nie miała do niego żadnych pytań.

Następny zeznawał Hardie, po nim Woody. Wszyscy trzej powtórzyli to samo i wszyscy mówili prawdę. Podczas ich zeznań na sali panowała cisza, sędzia Yeck z uwagą wsłuchiwał się w każde słowo.

– Jeszcze ktoś, pani Boone? – spytał sędzia po zeznaniach Woody’ego.

– Nie w tej chwili. Może później.

– Doskonale. Pani Coffrey, proszę wezwać swojego pierwszego świadka.

Nie wstając z miejsca, mecenas Coffrey powiedziała:

– Wysoki Sądzie, wzywam na świadka pozwanego, pana Larry’ego Samsona.

Gdy świadek wstał i ostentacyjnie tupiąc wyszedł na środek, Asesor dźwignął się z podłogi i zachwiał na swych trzech zdrowych i jednej złamanej łapie. Z gardła dobył mu się głęboki warkot, na tyle głośny, by usłyszeli to Theo i Ike. Theo pochylił się i poklepał go uspokajająco, szepcząc „ćśśś”. Asesor przestał warczeć, jednak nie oderwał czujnego wzroku od Samsona, jakby był gotów w każdej chwili rzucić się na niego i utoczyć trochę krwi.

Samson zajął miejsce dla świadków, przysiągł mówić prawdę, po czym z miejsca zaczął kłamać. Po ustaleniu miejsca zamieszkania i zatrudnienia pani Coffrey powiedziała:

– A zatem, panie Samson, słyszał pan, co zeznali ci Irzej chłopcy. Proszę nam teraz przedstawić swoją wersję wydarzeń.

Samson wykrzywił twarz i zaczął mówić:

– Ci smarkacze kłamią, wszyscy trzej. Był piątek po południu i po tygodniu ciężkiej pracy właśnie zwijaliśmy manele. Nagle zjawili się ci trzej na rowerach z psem i zaczęli nam wygrażać. Ten w niebieskiej koszuli, znaczy I lardie, zaczął rznąć waźniaka i wykrzykiwać, że jesteśmy na ziemi jego rodziny i tak dalej, i że mamy się natychmiast wynosić. Wie pani, myśmy i tak się już zbierali do odejścia, dzień się kończył, tydzień się kończył, a ten smarkacz się wymądrza, że jesteśmy na ziemi jego rodziny.

A potem włącza się ten mały Boone i zaczyna nas straszyć policją za wkroczenie na cudzy teren. No i wie pani, oni się wydzielali, myśmy też zaczęli krzyczeć, ale nie chcieliśmy się bić z bandą smarkaczy. No i wtedy ten Boone wyciągnął komórkę, żeby zadzwonić po gliny, więc jeszcze trochę powrzeszczeliśmy. W końcu żeśmy im powiedzieli, że i tak już odjeżdżamy, a oni wsiedli na rowery. Ten ich pies cały czas się plątał pod nogami, warczał i nas zaczepiał. No i jak już wsiedli na rowery, pies jakoś im się dostał pod koła i któryś z chłopaków go przejechał. Sam tego nie widziałem, ale usłyszałem, jak ten kundel skowyczy, odwróciłem się i zobaczyłem, że leżą na kupie z rowerami, a na samym spodzie pies i strasznie wyje. No i w ten sposób go poharatali.

Theo zrobił taką minę, jakby go ktoś walnął w żołądek, siedzący za nim Hardie i Woody aż jęknęli. Cała część sali po stronie Boone'ów zamarła z oburzenia. Wszystkich tak zatkało, że przez chwilę nikt nie był w stanie wydusić słowa.

Ta reakcja nie umknęła uwagi sędziego Yecka.

W końcu pani Boone odzyskała głos.

– A zatem, panie Samson – powiedziała – nie uderzył pan tego psa ani nawet go nie dotknął, czy tak?

– Nie.

Pokręciła z niedowierzaniem głową i spojrzała na sędziego. Oczywiście mogła w tym momencie wdać się w pyskówkę, zarzucając świadkowi kłamstwo, była jednak na to zbyt doświadczoną prawniczką. Pół zawodowego życia spędzała w sądzie i wiedziała dokładnie, co będzie dalej. Pozwani uzgodnili między sobą zmyśloną wersję wydarzeń i teraz wszyscy czterej będą się jej trzymać, a sędzia Yeck będzie musiał zdecydować, komu uwierzyć. ('żuła, że sędzia przychyli się do wersji Theo.

– Nie mam więcej pytań – powiedziała.

Theo pochylił się ku niej i szepnął: „Mamo, on kłamie”, ale ona tylko w milczeniu kiwnęła głową. Woody pochylił się ku swojemu ojcu i szepnął: „Tato, on kłamie”. Hardie pochylił się do dziadka i szepnął: „Dziadku, on kłamie”.

Proszę wezwać następnego świadka – zarządził sędzia Yeck.

Czekając, aż Willis Keeth zajmie miejsce dla świadków, sędzia spojrzał na Theo i lekko przymrużył oko. Poza rholpcem nikt tego nie zauważył.

Willis Keeth potwierdził, że jest kierownikiem ekipy mierniczej, ale nie chciał mówić o wkroczeniu na cudzy teren bez pozwolenia, oświadczając, że ta sprawa będzie przedmiotem oddzielnego postępowania przed innym sędzią. Co do rannego psa, mógł jedynie potwierdzić zeznanie Larry’ego Samsona. Nie było żadnego kija, żadnego bicia, w ogóle fizycznego kontaktu ani walki z psem. Biedne zwierzę jakimś cudem zaplątało się pod koła i zostało rozjechane przez jeden lub więcej rowerów. Osobiście tego nie widział, więc nie może podać żadnych szczegółów. Pani Boone próbowała z nim ustalić, gdzie dokładnie stał, ale się okazało, że pana Keetha zawodzi pamięć.

Równie nieprawdziwe było zeznanie Lestera Greena, a jego pamięć okazała się jeszcze gorsza niż u szefa. Niemniej mógł potwierdzić wersję kolegów i pamiętał tyle, że pies ucierpiał wyłącznie w wyniku kraksy rowerowej.

Skończył i sędzia Yeck, wyraźnie coraz bardziej zniecierpliwiony, nagle zaskoczył wszystkich.

– Czy świadek wie, co to jest krzywoprzysięstwo? – spytał i Green zaniemówił. Widać było, że pytanie wytrąciło go z równowagi i mocno wystraszyło.. Sędzia postanowił chyba mu pomóc, bo nie czekając na odpowiedź, dodał: – Krzywoprzysięstwo, panie Green, jest wtedy, gdy świadek składa kłamliwe zeznania, mimo iż przysiągł mówić prawdę. Rozumie pan?

– Chyba tak.

– To dobrze. A wie pan, jaka kara obowiązuje w tym stanie za krzywoprzysięstwo?

– Nie za bardzo.

– Tak myślałem. O wysokości kary decyduję ja i może ona wynieść do dwunastu miesięcy więzienia. Czy wasza pani adwokat uprzedziła was o tym?

– Nie, panie sędzio.

– Tak myślałem. Może pan wrócić na miejsce.

Krótką rozmowa o krzywoprzysięstwie zrobiła piorunujące wrażenie po drugiej stronie sali. Larry Samson, Willis Keeth i Lester Green wymienili spłoszone spojrzenia. Pani Coffrey zajęła się pilnym notowaniem.

Pan Boone przechylił się ku Theo i powiedział:

– Pójdą siedzieć.

Asesor widać to dosłyszał, bo aż zastrzygł uszami.

– Proszę wezwać następnego świadka, pani Coffrey – rzucił ponuro sędzia.

– Pan Gino Gordon.

Panu Gordonowi nagle odeszła ochota do składania zeznań. Miał trudności z podniesieniem się z miejsca, przejściem kilku metrów do krzesła dla świadków i usadowieniem się na nim. Jeśli zdarzają się świadkowie, którzy daliby wszystko, żeby uciec z sali rozpraw, takim świadkiem był Gino Gordon.

– Czy przysięga pan mówić prawdę? – spytał sędzia Yeck.

– Znaczą się, chyba tak.

– Tak czy nie, panie Gordon?

– No dobra, tak.

– Zanim zacznie pan zeznawać, czy wie pan, co to jest krzywoprzysięstwo?

Sarkastyczny ton pytania dowodził, że sędzia Yeck nie ma cienia wątpliwości, iż Gordon, tak jak jego kompani, zamierza kłamać w żywe oczy.

– Tak, wiem – odrzekł Gordon, rozglądając się nerwowo po sali.

– I wie pan także, że za krzywoprzysięstwo może pan zostać ukarany więzieniem?

Nim Gordon zdążył coś powiedzieć, na sali odezwał się pełen oburzenia, podniesiony głos pani Coffrey.

– Panie sędzio, proszę! Przecież świadek jeszcze nic nie powiedział!

– Zauważyłem – odrzekł tym samym tonem sędzia Yeck. – Powiedzmy, że tylko go ostrzegam. Proszę kontynuować.

– Panie Gordon – powiedziała Coffrey. – Proszę opowiedzieć sądowi, co się tam wydarzyło.

Gordon zeszywniał, jakby go nagle sparaliżowało od szyi w dół i tylko mięśnie twarzy pozostały ruchome. Jego twarz przybrała cierpiętniczy grymas człowieka, który kompletnie się zagubił. Próbował coś powiedzieć, ale z zaciśniętego gardła nie dobywał się żaden dźwięk. Wlepił wzrok w panią Coffrey, ona jednak ze spuszczoną głową szukała czegoś w teczce.

Wiedział, że jeśli skłamie, może trafić za kratki; jeśli powie prawdę, jego koleś Lany może pójść siedzieć za krzywoprzysięstwo, a szef wyrzuci go z pracy. W końcu udało mu się wymamrotać:

– Znaczy się, panie sędzio, ja to właściwie nic nie widziałem.

Sędzia Yeck był jednak na to przygotowany.

– Ale wszyscy trzech chłopcy zeznali, że był pan przy tym – rzekł. – Jak to możliwe, że nic pan nie widział? Mówi pan prawdę?

– Znaczy się, panie sędzio, ja to w ogóle nie chcę zeznawać.

– Spryciarz z pana. Może pan wrócić na miejsce.

Drzwi do sali się otworzyły i do środka weszło dwóch następnych policjantów. Znaleźli sobie miejsca i usiedli.

– Jeszcze jacyś świadkowie, pani Coffrey?

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Pani Boone?

– Tak, Wysoki Sądzie. Chcielibyśmy wezwać na świadka doktora Neala Kohla. To on zajmował się rannym Asesorem.

Doktor Kohl zajął miejsce dla świadków, został zaprzysiężony, po czym pani Boone poprosiła, żeby opisał obrażenia psa. Weterynarz rzeczowo i ze szczegółami opowiedział o wielu poważnych ranach głowy z góry, z boków i od tyłu, a także dwóch poważnych ranach na grzbiecie. Oczywiście wspomniał też o złamanej prawej przedniej łapie.

– Słuchał pan zeznań świadków, panie doktorze. Co pańskim zdaniem mogło być przyczyną tych obrażeń? Wielokrotne uderzenia drewnianym kołkiem czy wpadnięcie pod koła roweru?

– Sprzeciw – wtrąciła szybko Coffrey.

– Oddalony. Proszę odpowiedzieć, doktorze Kohl.

Świadek uśmiechnął się, zaczerpnął powietrza i powiedział:

– To absurd twierdzić, że te obrażenia mogły być spowodowane wpadnięciem psa pod rower. Powstały w wyniku wielokrotnych uderzeń twardym tęnym narzędziem.

Sędzia spojrzał pytająco na Coffrey, jednak pani mecenas nie miała żadnych pytań do świadka.

– Dziękuję, doktorze. Może pan wrócić na miejsce. Czy strony chciałyby coś dodać? Są jeszcze jacyś świadkowie? – Sędzia spojrzał na zegarek. – Siedzimy tu już blisko dwie godziny. Czy ktoś chce jeszcze coś powiedzieć, zanim ogłoszę wyrok?

Nikt się nie zgłosił. Po stronie Boone'ow panowało przekonanie, że powiedziano już wystarczająco dużo, stronę przeciwną sparaliżował strach.

Sędzia Yeck spojrział w stronę protokolantki i powiedział:

– Proszę zaprotokołować. Wysłuchałem dwóch kompletnie różnych wersji wydarzeń. Trzej chłopcy opowiedzieli swoją wersję, trzej członkowie ekipy mierniczej swoją. Prawda zwykle leży pośrodku, jednak nie tym razem. Wierzę chłopcom i uważam, że członkowie ekipy, panowie Samson, Keeth i Green zmyślili swoją wersję po to, by wyjść cało z opresji. – Wlepił wzrok w pozwanych i ciągnął dalej: – Myślę, że uznaliście, że możecie przyjść do tej skromnej sali sądowej, do Sądu do spraw Zwierząt, spokojnie nakłamać i ujdzie wam to na sucho. Jako dorośli liczyliście, że sąd prędzej da wiarę wam niż grupce dzieciaków. To błąd. Bo kłamstwo pozostaje kłamstwem niezależnie od tego, kto się nim posługuje, kłamanie zaś w sądzie pod przysięgą podważa sens naszego całego systemu wymiaru sprawiedliwości. Pana, panie Samson, uznaję za winnego okrucieństwa wobec zwierząt, co stanowi przestępstwo trzeciego stopnia, polegające na świadomym zranieniu zwierzęcia. Za to przestępstwo wymierzam panu karę sześciu miesięcy aresztu.

– Sześć miechów! – krzyknął Samson. – Żarty pan sobie robi?

– Nie. A chciałby pan więcej?

– Pan oszalał! – rozdarł się Samson i zrobił taką minę, jakby był gotów rzucić się na sędziego. Dwaj policjanci zerwali się z krzeseł i podeszli bliżej. Siedząca za Samsonem żona zaczęła głośno szlochać. – Ja mam żonę i dzieci!

– Spokojnie, panie Samson – powiedział sędzia Yeck. – Jeszcze nie skończyłem. Uznaję również, że dopuścił się pan krzywoprzysięstwa i za to skazuję pana dodatkowo na sześćdziesiąt dni, co w sumie daje osiem miesięcy aresztu.

– To nie jest Sąd Zwierzęcy, to jakiś małpi sąd -- prychnął Samson.

– Wyprowadzić skazanego – zwrócił się sędzia do policjantów, a ci bez wahania założyli mężczyźnie kajdanki i niemal wywlekli z sali. Gdy drzwi za nimi się zamknęły, sędzia Yeck przeniósł wzrok na Willisa Keetha i Lestera Gordona, którzy siedzieli bladzi, wytrzeszczając oczy. Sędzia zaczerpnął powietrza (oni w przeciwieństwie do niego wstrzymali oddech) i powiedział: – Co do pana, panie Gordon, zachował się pan na tyle rozsądnie, by nie składać kłamliwych zeznań, więc nie trafi pan dziś do aresztu. Panowie Keeth i Gordon nie będą mieli tyle szczęścia. Obaj dopuścili się krzywoprzysięstwa i za to skazuję ich na sześćdziesiąt dni aresztu.

– Odwołamy się! – wykrzyknęła pani Coffrey.

– Ma pani do tego prawo, ale na razie obaj idą do aresztu. Wyprowadzić skazanych.

Policjanci sprawnie zakrzętnęli się przy obu, założyli im kajdanki i wyprowadzili z sali.

W chwili gdy przechodzili obok Boone'ów, Asesor dźwignął się na łapy i zaczął głośno warczeć.

Rozdział 18

Jak to teraz weszło w zwyczaj, Asesor spał w nogach na łóżku Theo, a nie – jak dotąd – pod nim. Wierząc się w nocy i przekręcając z boku na bok, czasami pojękiwał, bo coś go zabolalo. Zwykle Theo umiał go uspokoić łagodnym głosem i sprawić, że pies znów usypiał. Rany Asesora szybko się goiły, a zwiększona troskliwość jego pana wyraźnie dobrze mu robiła. Theo trochę się przez niego nie wysypiał, ale nie narzekał. Postanowił już nigdy nie strofować zwierzaka.

W czwartek rano, dzień po rozprawie w Sądzie do spraw Zwierząt, Theo zniósł Asesora na dół i wypuścił tylnymi drzwiami na podwórze za domem. Pani Boone siedziała przy stole w szlafroku, sącząc kawę i czytając poranną gazetę. „Popatrz na pierwszą stronę”, powiedziała, podając Theo „Strattenburg Gazette”.

Na dole pierwszej strony widniała notatka opatrzona wytłuszczonym tytułem:

EKIPA MIERNICZYCH W ARESZCIE

Tekst zdobiła fotografia Theo, który z Asesorem na rękach opuszczał gmach sądu. Chłopiec był tak oszołomiony, że niemal nie zauważył obecności reportera i fotografa.

– Rany – stęknął, patrząc na swoją podobiznę. Umieszczony pod zdjęciem podpis głosił:

THEODORE BOONE Z PSEM ASESOREM.
ZAMIERZA WALCZYĆ Z BUDOWĄ OBWODNICZY
I WSZYSTKIMI DRANIAMI, KTÓRZY SĄ W TO ZAMIESZANI.

– Naprawdę tak powiedziałaś? – spytała matka.

– Pewnie tak.

– Nie uważasz, że to trochę za mocno?

– Może. – Theo zabrał się do czytania notatki. Zacytowano w niej wypowiedzi jego rodziców, Tess Cofffey, sędziego Yecka i Larry’ego Samsona. W sumie była to całkiem rzetelna relacja z tego, co się wydarzyło w sądzie. Pozwani nie zgadzali się z wyrokiem i zamierzali się odwołać. Pani Coffrey obiecywała, że jej klienci wyjdą na wolność w czwartek do południa, pan Silas Quinn oświadczył, że złożył pozew cywilny przeciwko czterem członkom ekipy mierniczej i zatrudniającej ich firmie i tak dalej, i tak dalej. Z treści nie wynikało nic nowego, nowe było tylko całkiem udane zdjęcie Theo i Asesora na pierwszej stronie. Chłopcu się podobało.

– Nie powinieneś nazywać ich draniami – powiedziała pani Boone.

– A czemu nie? Są draniami, nie? Weszli bez pozwolenia na cudzy teren i pobili kołkiem mojego psa. Nie można ich nazwać miłymi facetami.

– Musisz uważać na słowa, kiedy rozmawiasz z reporterami. Z reguły wyłuskują przypadkowe słowa i się ich czepiają. A już szczególnie Norris Flay.

– Kto to jest Norris Flay?

– Ten reporter, z którym rozmawiałaś. Autor tej notatki. To stary wyjadacz, który potrafi wywęszyć temat. Jeśli w mieście coś się dzieje, Norris Flay już przy tym jest.

– Na tym chyba polega jego praca, nie?

– Tak, oczywiście. Tyle że nie zawsze pisze czystą prawdę.

Theo otworzył drzwi i zawołał psa. Asesor już zgłodniał, więc nie trzeba go było długo prosić. Chłopiec przygotował dwie miseczki płatków śniadaniowych i jedną postawił na podłodze przy swoim krześle.

Pani Boone upiła kolejny łyk kawy i powiedziała:

– Ojciec nie jest tym zachwycony. Nie chce, żebyś się mieszał do wojny o obwodnicę.

– Nie wiedziałem, że się mieszam.

– Wygląda na to, że już jesteś zamieszany. Piszą o tobie na pierwszej stronie, że zamierzasz walczyć z budową obwodnicy.

– A czemu tacie na tym zależy?

– To brudna polityczna walka i nie ma w niej miejsca dla dzieci.

– Mamo, czy mam przez to rozumieć, że każesz mi się wycofać?

– Co planujesz, Theo?

– Nic nie planuję. – Theo wziął do ust porcję chee-rios i zaczął chrupać najgłośniej, jak potrafił. – Znasz człowieka nazwiskiem Joe Ford? – spytał, przełykając resztkę.

– Tak, pan Ford jest od lat klientem naszej firmy. Ojciec obsługiwał prawnie wiele z jego transakcji. A czemu pytasz?

– Bo chodzą plotki, że chce potajemnie kupić osiemdziesiąt hektarów w miejscu, gdzie obwodnica ma się krzyżować ze Sweeney Road. Więc jeśli obwodnica zostanie zatwierdzona do budowy, pan Ford, który, o ile wiem, jest też nazywany Turbo Fordem, będzie miał okazję, żeby ten teren zagospodarować i zarobić na nim grubą kasę.

Pani Boone to potakiwała, to marszczyła gniewnie nos. Widać było, że nie bardzo wie, jak zareagować.

– I krąży jeszcze jedna plotka – ciągnął Theo. – Chociaż myślę, że to coś więcej niż tylko plotka, że Ford wpłacił kupę forsy na ostatnią kampanię wyborczą gubernatora. Czyli wychodzi na to, że Ford daje kasę gubernatorowi, a gubernator popycha sprawę obwodnicy po to, żeby Ford

mógł jeszcze więcej zarobić i jeszcze więcej dać gubernatorowi. Co o tym sądzisz, mamó?

– Nie byłabym zdziwiona.

– Ale jeśli to prawda, to nie najlepiej to brzmi, nie sądzisz?

– To nie jest nielegalne – powiedziała niezbyt pewnie, przynajmniej tak to zdaniem Theo zabrzmiało.

– Ale czy nie uważasz, że to śmierdząca sprawa?

– Trochę tak.

– To czemu się do tego mieszamy?

– My?

– Tak. Dlaczego nasza firma reprezentuje kombinatorów?

– Nasza firma? Nie wiedziałam, że zostałeś już wspólnikiem.

– W nazwie firmy jest moje nazwisko – odparł Theo z krzywym uśmiechem.

– Theo, już o tym rozmawialiśmy. Każdy ma prawo do adwokata, a my jako adwokaci nie zawsze możemy wybierać klientów. Często się zdarza, że nasi klienci nie mają racji lub mają coś na sumieniu, ale właśnie dlatego potrzebują naszej pomocy. Adwokat nie jest od tego, żeby klienta osądzać. Naszym zadaniem jest mu pomagać.

– Ja na pewno nie będę reprezentował oszustów – rzekł Theo, pakując do ust kolejną porcję cheerios.

Uniesione brwi pani Boone niemal zetknęły się w jeden łuk.

– Nie nazywaj pana Forda oszustem – burknęła.

– Nie nazwałem go oszustem – rzekł Theo, głośno chrupiąc. – Powiedziałem tylko, że jak zostanę adwokatem, to wśród moich klientów nie będzie oszustów.

Pani Boone westchnęła i postanowiła nie kontynuować tej rozmowy. Zresztą Theo też już nie miał na to ochoty. Obaj z Asesorem dochrapali

swoje śniadania w milczeniu.

Na lekcji wychowawczej pan Mount wyjął poranną gazetę i posłał w obieg po klasie. Theo często zdumiewało, jak niewielu jego kolegów z klasy czyta prasę. Tym razem też prawie nikt nie widział jego zdjęcia i nie czytał notatki, kilku widziało je tylko w wersji online. Skatowanie Asesora niemal na śmierć bardzo poruszyło kolegów Theo i klasa chciała poznać szczegóły rozprawy w Sądzie do spraw Zwierząt. W rezultacie wszyscy bardzo uważnie obejrzelili zdjęcie, przeczytali notatkę i wdali się w długą dyskusję. Theo niby próbował bagatelizować całą sprawę, jednak w głębi duszy uważał, że trafienie na pierwszą stronę gazety to nie byle co. Woody, który rzadko umiał trzymać język za zębami, przedstawił własną wersję wydarzeń w sądzie i szybko jego opowieść zaczęła dość znacznie odbiegać od wersji Theo, co zresztą specjalnie go nie zdziwiło.

Rodzice Woody'ego wystąpili z pozwem o napaść przeciwko Gino Gordonowi, jedynemu z czwórki, który nie poszedł siedzieć, i Woody nie mógł się już doczekać, kiedy stanie w tej sprawie przed sądem jako świadek.

Z kolei rodzice Hardiego wystąpili z pozwem o bezprawne wkroczenie na ich prywatny teren, i to zarówno w sądzie cywilnym, jak i karnym. W sumie oznaczało to, że wszystkich trzech chłopców czeka seria fascynujących rozpraw sądowych. Theo i pan Mount uznali to za wspaniałą okazję i kolejne dziesięć minut lekcji wychowawczej poświęcono na omówienie sprawy i jej sądowych aspektów.

Hardie chodził do innej klasy i dlatego spotkał się /, Theo dopiero podczas przerwy na lunch. Razem ponownie przeżyli chwilę triumfu, wspominając szczegóły zwycięskiej batalii w sądzie. Cały klan Quinnow był zachwycony wyrokiem i dumny z roli Theo w całej sprawie. W zachwyty wprowadziła ich też fotografia na pierwszej stronie gazety, pod którą chłopiec z

obandażowanym psem na rękach w podpisie odgrażał się, że „zamierza walczyć /. budową obwodnicy i wszystkimi draniami, którzy są w to zamieszani”.

– Theo, naprawdę tak powiedziałaś? – upewniał się Hardie.

Prawda jednak była taka, że Theo wcale nie był tego pewien. Gdy tłum wysypał się z sali sądowej do wąskiego korytarzyka, zrobił się ścisk i wszyscy mówili jeden przez drugiego. Chłopiec miał gardło ściśnięte ze wzruszenia, a widok trzech mężczyzn w kajdankach zupełnie go oszołomił. Przyciskał do piersi Asesora i chciał jak najszybciej się stamtąd wydostać. Pamiętał kogoś z aparatem fotograficznym i zapamiętał, że ktoś inny dogonił go na schodach i zadawał jakieś pytania.

Tak naprawdę nic więcej nie pamiętał, ale ponieważ cytowane w gazecie słowa bardzo mu się podobały, bez wahania odpowiedział:

– Jasne, że tak.

– To masakra, Theo.

Hardie chciał wstąpić po szkole do biura i porozmawiać o obwodnicy. Theo obiecał, że będzie u siebie odrabiał lekcje.

Właśnie to robił, gdy do drzwi zastukał ojciec i rzucił krótkie: „Chodź ze mną”. Theo wiedział z doświadczenia, że to źle rokuje. Pan Boone rzadko się fatygował pokonywaniem długiego wąskiego korytarzyka do jego pokoju i nigdy nie wydawał suchych poleceń w rodzaju „Chodź ze mną”.

Przeszli do dużej sali konferencyjnej, ojciec dokładnie pozamykał wszystkie okna i drzwi i wskazał ręką fotel, że Theo ma usiąść. Sam usiadł na sąsiednim i chłopiec już nie miał wątpliwości, że zaraz zacznie się sztorcowanie.

– W zeszłym tygodniu – zaczął pan Boone – poznałeś w biurze pana Joego Forda. Był moim klientem od wielu lat. Niestety, już nim nie jest.

Dziś rano zadzwonił i poinformował, że mnie zwalnia z funkcji swojego doradcy prawnego. Nie podoba mu się, że mój syn jest takim nieprzejednanym wrogiem obwodnicy. Pan Ford od wielu lat zabiega o jej zbudowanie. Jak wielu mieszkańców uważa, że to ważna inwestycja dla naszego miasta.

Theo nie bardzo wiedział, jak ma się zachować. Było mu głupio, że przez niego ojciec stracił klienta, ale jednocześnie czuł zadowolenie, że rozstają się z panem l'ordem. Pomyślał, że Ford zareagował zbyt histerycznie, ale jednocześnie chciałby spytać ojca, czemu się zadaje z podejrzanymi typami w rodzaju Turbo Forda.

Postanowił jednak nie drażnić ojca i powiedział:

– Przykro mi, tato. Przepraszam.

– Mama mówi, że uważasz pana Forda za, nazwijmy to, niezupełnie uczciwego.

Dzięki, mamusiu. To już nie możemy nawet chwilę pogadać przy śniadaniu, żebyś od razu nie wypaplała wszystkiego tacie?

– Prawie go nie znam, tato. Prawie nic o nim nie wiem. A jest niezupełnie uczciwy?

Pan Boone uśmiechnął się i odwrócił głowę.

– Nigdy nie miałem do czynienia z żadną nieuczciwością ze strony Joego Forda. Jestem skłonny przyznać, że potrafi wykorzystywać luki w systemie. Ma dużo pieniędzy i potężnych znajomych. Przywykł do tego, że dostaje to, czego chce. Wymaga bezwzględnej lojalności i dlatego już się rozgląda za innym prawnikiem na moje miejsce.

– Mnie on wygląda na oszusta – nie wytrzymał Theo.

– Nie jest oszustem, Theo. Musisz się nauczyć trzymać język za zębami i nie szafować takimi określeniami jak „oszust” czy „drań”, rozumiesz?

W tej kwestii ojciec miał niewątpliwie rację, więc Theo bąknął tylko: „Tak, tato”.

Zapadła cisza i dopiero po chwili ojciec spytał:

– Kto ci mówił o kupnie osiemdziesięciu hektarów przy Sweeney Road?

Powiedział mu o tym Ike, ale Theo nie zamierzał wydawać stryjka. Skrzyżował ramiona na piersi i przez zaciśnięte zęby wycedził:

– Przyrzekłem, że nie powiem. – Ten argument zawsze działał, bo rodzice rozumieli, co to dyskrecja.

– Mam nadzieję, że nie myszkowałeś po biurze, co?

Theo udało się zrobić zdumioną minę, że coś takiego w ogóle przyszło ojcu do głowy.

– Nie, tato. Ja nie myszkuję po biurze. – Była to tylko częściowa prawda i obaj o tym wiedzieli. By nieco umocnić swoją pozycję, Theo dodał: – Ktoś mi powiedział.

Pan Boone pokręcił głową z taką miną, jakby naprawdę wierzył zapewnieniom syna i jednocześnie dawał mu do zrozumienia, że nie wierzy, i to tak, by Theo o tym wiedział.

– I co jeszcze ci ten ktoś powiedział? – spytał.

Theo nie miał nic do zyskania na dalszym wałkowaniu tej sprawy.

– Tylko to. Nic więcej.

Według Theo zaniepokojenie ojca tylko potwierdzało jego opinię o Joem Fordzie i mętnym charakterze jego transakcji, jednak zdecydował się nie drażnić dalej tematu. Turbo Ford wypadł z ich życia jako klient i w głębi duszy chłopiec czuł radość, że taki ktoś przestaje mieć związki z firmą Boone & Boone. Co więcej, podejrzewał, że nie tylko on. Coś mu mówiło, że matka naprawdę stoi po jego stronie. Nigdy nie wyrażała się dobrze o miejskich deweloperach, którzy skupowali ziemię, by stawiać na niej kolejne centra handlowe i apartamentowce. Wielokrotnie słyszał rzucane jakby mimochodem kąśliwe uwagi w biurze i w domu, z których wynikało, że pani Boone nie przepada za częścią klientów męża. Theo miał tych uwag

nie słyszeć, ale niewiele rzeczy umykało jego uwagi. On po prostu słyszał wszystko.

– Tato, posłuchaj – powiedział. – Jest mi przykro, ale to wszystko nie moja wina. Nie moja wina, że ktoś skatował Asesora. Nie z mojej inicjatywy odbyła się wczorajsza rozprawa w sądzie. Nie prosiłem, żeby na pierwszej stronie gazety wydrukowali moje zdjęcie. Wszystko to odbyło się jakby poza mną. Jeśli pan Ford się na mnie obraził, to przepraszam. Myślę jednak, że przesadził, zrywając umowę z naszą firmą.

– Z naszą firmą?

– W nazwie jest moje nazwisko.

Pan Boone się uśmiechnął i emocje jakby mu trochę opadły. Theo podejrzewał, że w głębi duszy nie rozpacza z powodu utraty pana Forda jako klienta.

– Idź dokończyć lekcje – powiedział, wstając z fotela.

– Jasne, tato.

Rozdział 19

Theo wkuwał właśnie hiszpańskie czasowniki, gdy ktoś zapukał do drzwi. Hardie. Wszedł, pogłaskał po głowie Asesora, mówiąc do niego kilka ciepłych słów, po czym spojrzał na kolegę.

– Słuchaj, mógłbyś się urwać na jakieś pół godzinki? Po powrocie ze szkoły Theo mógł bez pytania o zgodę

wychodzić z biura, musiał tylko przedtem odrobić lekcje.

– Jasne. A co jest?

– Weźmy rowery i przejedźmy się kawałek. Chcę ci coś pokazać.

– Co?

– To niespodzianka.

Po kilku minutach zajechali pod stary magazyn z czerwonej cegły w dzielnicy Delmont, niedaleko Stratten College. Budynek wyglądał na opustoszały i tylko od frontu znajdowało się w nim kilka biur. Nad jednym z nich widniał szyld:

RADA OCHRONY ŚRODOWISKA OKRĘGU STRATTEN

– To tu – powiedział Hardie, zsiadając z roweru. Biuro okazało się przestronną halą z belkowanym sufitem, ścianami z gołych cegieł i betonową podłogą, której przydałoby się pozamiatanie. Pod ścianami stało kilka biurek i stołów z komputerami, ściany były oklejone fotografiami lotniczymi i mapami okolic, po hali kręciło się kilka psów. Widać

zatrudnieni w ROŚ mieli prawo przyprowadzać do pracy swoje czworonogi. Biuro aż buzowało energią, wśród obecnych przeważali młodzi ludzie. Wielu miało na sobie flanelowe koszule i sprane dżinsy.

Pastor Charles Quinn był zajęty rozmową, ale ujrawszy Theo, przerwał i powiedział głośno: „A oto i Theo Boone we własnej osobie!”. Inni to usłyszeli i nim Theo zdążył się zorientować, został otoczony przez gęsty tłum pod ścianą, na której umieszczono jego bardzo powiększone zdjęcie z porannej gazety. Było ogromne i twarz Theo była na nim większa niż w rzeczywistości. Chłopiec ze zdumieniem przyglądał się sobie z Asesorem na rękach w takich rozmiarach, że ich podobizny zajmowały niemal całą ścianę. Przez całą szerokość zdjęcia biegł wykonany wielką pogrubioną czcionką cytat z jego wypowiedzi: „walczyć z budową obwodnicy i wszystkimi draniami, którzy są w to zamieszani”. Theo stał oniemiały, wpatrując się w swoje zdjęcie, w hali zapadła cisza.

– Chciałbym wam przedstawić Theodore’a Boone, bohatera dnia, właściciela najslynniejszego psa w mieście i serdecznego przyjaciela mojego syna, Hardiego – przemówił pastor Quinn. Theo niezgrabnie się uklonił. Otaczający go tłum tylko w niewielkiej części składał się ze stałych pracowników ROŚ. Przeważali wolontariusze, w większości studenci Stratten College.

Z tłumy wysunął się młody człowiek i uściskał Theo rękę. Powiedział, że nazywa się Sebastian Ryan, jest dyrektorem ROŚ i ogromnie się cieszy z przystąpienia Theo do ich akcji. Chłopak nie miał pojęcia, że do czegoś przystąpił, i poczuł się trochę niezręcznie jako obiekt zainteresowania w miejscu, w którym nigdy wcześniej nie był, i wśród ludzi, których nigdy wcześniej nie widział.

Udało mu się tylko wybąkać coś w rodzaju: „Taa, jasne, miło mi pana poznać”.

– Jak tam twój pies? – zapytał ktoś z tłumy.

– Świetnie – odparł Theo.

– Chcielibyśmy go poznać.

– Ostatnio rzadko wychodzi z domu – rzekł Theo, co parę osób uznało za dowcipne. Otaczający go tłumek zaczynał powoli rzednąć.

– Wracamy do pracy – ponaglił Sebastian i wszyscy się rozeszli. Theo i Hardie poszli za Sebastianem, który w kącie hali miał kantorek bez przedniej ściany. Błat, który niegdyś był drzwiami, leżał oparty na dwóch szpulach po kablu i zdaniem Theo tworzył chyba najbardziej odjazdowe biurko, jakie w życiu widział. Wokół biurka nie stało ani jedno krzesło. Chłopiec zdążył już zauważyć, że wszyscy w ROŚ pracują na stojąco i nie ma gdzie usiąść. Pomyślał, że musi o to spytać matkę. Pewnie to jakaś kolejna przelotna moda.

Theo i Hardie stanęli przy biurku i rozejrzeli się po ceglanych ścianach. Wszędzie wisały fotografie, dyplomy i mapy. Jako pierwszy uwagę Theo przyciągnął dyplom ukończenia wydziału prawa na uniwersytecie Stanforda. Sebastian Ryań był młody, jeszcze przed czterdziestką, i w dżinsach, wysokich butach i z bujną brodą wyglądał bardziej na trapera niż absolwenta prawa specjalizującego się w ochronie środowiska.

– Słyszałem, Theo, że twoi rodzice są prawnikami – powiedział.

Chłopiec skinął głową.

– Podobno z ciebie też niezły prawnik.

– Jeszcze nie.

– Ale dobrze się zna na prawie – wtrącił Hardie.

Sebastian widać należał do ludzi czynu i nie lubił pustej gadaniny, bo od razu przeszedł do rzeczy.

– Walczymy z obwodnicą na wielu frontach. Złamanie prawa do wywłaszczenia na cele publiczne, zniszczenie środowiska naturalnego, przekroczenie norm hałasu i zanieczyszczenia powietrza, idiotyczna organizacja ruchu kołowego i tak dalej. Mam pewien zwariowany pomysł, którym chciałbym się z wami podzielić.

Theo i Hardie kiwnęli głowami, gdyż nie pozostało im nic innego.

Sebastian zwrócił się w lewo i wyciągnął rękę ku wielkiej mapie z wrysowaną obwodnicą. Podszedł bliżej i wskazał palcem jakiś punkt.

– Tu jest szkoła podstawowa Jacksona, łącznie cztery setki dzieci od zerówki do piątej klasy. Stoi na uboczu, z dala od ruchu kołowego i hałasu i uczy dzieci w otoczeniu przyrody, pełnej świergotu ptaków i szumu liści na wietrze. Niestety, zagrażają jej obecne plany rozwoju gospodarczego. Projektowana obwodnica przetnie szkolny parking i przebiegnie niecałe sto metrów od drzwi szkoły. To oznacza, że za cztery lata cztery pasma ruchu zapełnią się potężnymi ciężarówkami i autobusami, zasmradzającymi powietrze dieslowskimi wyziewami, a także gnającymi sto trzydzieści kilometrów na godzinę samochodami osobowymi. To prawdziwa katastrofa, a najgorsze jest to, że nikt nawet nie próbował dokonać rzetelnej analizy skutków, jakie obwodnica wyrzeze na uczniów tej szkoły. Ani gubernator, ani jego ludzie nie mają o tym pojęcia, a stanowy Wydział Ruchu Drogowego w ogóle się tym nie zainteresował. W tej chwili zbieramy fundusze na opłacenie grupy ekspertów, którzy zrobią analizę i sporządzą prognozy, ale z pieniędzmi jest krucho.

Theo nie sądził, by Sebastian liczył na to, że obaj z Hardiem wyjmą książeczki czekowe i wypiszą tłuste czekki.

– Co możemy w tej sprawie zrobić? – zapytał.

– Uaktywnić dzieci. Są za małe na Facebooka, ale wiele ma starsze rodzeństwo. Cztery setki uczniów to około czterystu rodzin. Około, bo niektóre mają więcej niż jedno dziecko w szkole. Trzeba skrzyknąć i uaktywnić dzieci, ich rodziców i nauczycieli. Podoba mi się myśl, rby to dzieci – wy dwaj – uaktywniły i podburzyły mnie dzieci. Jeśli dzieci się tym przejmą, to przejmą się też ich rodzice, a rodzice to oczywiście wyborcy w następnych wyborach. Bo wszystko sprowadza się do polityki. Co wy na to?

Theo i Hardie wpatrywali się w mapę, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

Sebastian nigdy nie czekał za długo na odpowiedź.

– Ale to nie wszystko – powiedział, przesuwając się w bok i wskazując na mapie niedawno powstałe miejskie centrum sportu opodal szkoły Jacksona. – Spójrzcie na to. Miejski Ośrodek Sportowy, otwarty niecałe dwa lata temu kompleks dziesięciu boisk do piłki nożnej, wszystkie ze sztucznym oświetleniem.

– Sam tam grywam w nogę – potwierdził Hardie.

– Czy wiecie, ile dzieci z tych okolic gra tam w piłkę nożną?

– Chyba z milion – parsknął Theo.

– Bardzo dużo. Obwodnica ma zabrać tylko trzy boiska i oczywiście obiecują, że ich nie zlikwidują, tylko przeniosą na zachodni kraniec kompleksu. Tylko że wiążą się z tym pewne problemy. Po pierwsze, nie można wierzyć w żadne składane przez nich obietnice. Po drugie, teren, na który mają przenieść te boiska, nie należy jeszcze do władz stanowych. Ale jeśli nawet tym razem władze dotrzymają słowa i je przeniosą, to każdego popołudnia od marca do października kilka setek dzieci, rodziców, trenerów i widzów zamiast cieszyć się meczami, będzie wdychać spalinę i słuchać hałasów z biegnącej tuż obok czteropasmowej szosy.

– Czyli piłkarzy też trzeba skrzyknąć – zauważył Theo.

– Właśnie. Tysiące piłkarzy. Jeśli podburzy się miłośników piłki nożnej, to naszych pięciu komisarzy okręgowych ucieknie do mysiej dziury.

– I to wystarczy?

– Nie, Theo. Pamiętaj, że duża grupa tutejszych mieszkańców popiera budowę obwodnicy. Mają dość ciągłych korków na Battle Street i wyobrażają sobie, że obwodnica ich od nich uwolni. Każda obwodnica to potrzebna obwodnica. Znasz to hasło?

– Tak, czytałem w gazecie.

– Niejeden tak uważa.

Sebastian odszedł od mapy i przysiadł na biurku.

– Chodzi o to, chłopcy – rzekł – żeby skrzyknąć miejscowe dzieci. Zaktywizować je, namówić, żeby podniosły raban. Bo z jednej strony mamy różnych notabli – polityków, właścicieli firm transportowych i budowlanych, biznesmenów wypisujących politykom tłuste czeki, a z drugiej gromadę dzieci, po których te walce drogowe mają przejechać. Może się z tego zrobić wielka afera, ale szczerze powiem, że potrzebna nam pomoc. Dużo pomocy. Mamy cały czas pod górę, przeciwko nam są wielkie pieniądze: Termin publicznej sesji komisji wyznaczono na przyszły miesiąc i pracujemy na okrągło dzień i noc.

– Kiedy ci komisarze zagłosują?

– Właśnie podczas tej sesji. Za dużo nie mówią, ale wygląda na to, że dwóch z nich popiera budowę obwodnicy, jeden jest przeciw, pozostali dwaj się wahają. Ale kto może wiedzieć, jak oni postąpią. Powiem szczerze, że nie jestem optymistą.

Jego telefon komórkowy zawibrował, Sebastian wyjął go z kieszeni, spojrzął na wyświetlacz i postanowił nie odbierać. Chwilę potem zaczął dzwonić aparat na jego biurku, ale to też zignorował.

Theo bardzo się podobał ten gość. Był prawnikiem, prawdziwym supergościem z ważnym zadaniem do wykonania i pasjonatem ochrony środowiska. Zdawał się nie znać strachu i był gotów stawić czoło najważniejszym ludziom w tym stanie. Całe jego biuro było super, jakże inne od trochę napuszonej kancelarii Boone & Boone.

– Dlatego potrzebuję waszej pomocy, chłopcy – rzekł Sebastian. – Co wy na to? Możecie się nam bardzo przydać, tylko musicie naprawdę się zaangażować i podjąć walkę. Bo jesteśmy po tej samej stronie.

Hardie spojrzął na Theo, a ten spojrzął na Sebastiana, który pokiwał głową, jakby chciał spytać: „Czy macie dość charakteru, chłopcy?”.

– Ja jestem gotów – rzekł Hardie.

– A ty, Theo? Już raz próbowali ci zabić psa.

Theo przypomniał sobie koszmary widok Asesora katowanego drewnianym kołkiem, krwawiącego i wpatrującego się w niego błagalnym wzrokiem. Pomyślał o swoim psie i o Quinnach i ich ukochanej farmie. Im dłużej myślał, tym większą czuł determinację. Spojrzał na Hardiego, potem na Sebastiana i zaciskając zęby, wycedził:

– Ja też wchodzę.

– No to ekstra! – powiedział Sebastian i poklepał go w ramię.

Punktualnie o siódmej wieczorem trójka Boone'ów plus Asesor zasiadła do stołu. Jak w każdy czwartek, na kolację był pieczony kurczak z tureckiej garmażerii, do tego humus i chlebek pita, a dziś dodatkowo kuskus.

Nie było to ulubione jedzenie Theo, za to Asesor uwielbiał kurczaka. Pies zdrowiał w oczach, coraz więcej się ruszał i coraz mniej spał.

– Theo, gdzie byłeś dziś po południu? – spytała matka.

Chłopiec spodziewał się tego pytania. Zwykle ktoś z pracowników kancelarii zauważał jego wyjścia i przyjscia i najczęściej tym kimś była Elsa. Potrafiła rozmawiać przez telefon, trzymać dwóch innych rozmówców na czekaniu, witać klienta, który właśnie wchodził, i czytać o-maile na monitorze – wszystko w tym samym czasie – a i tak dostrzec, że Theo wymyka się z biura tylnymi drzwiami.

Przełknął z trudem i powiedział:

– Byliśmy z Hardiem w Radzie Ochrony Środowiska.

– Naprawdę? – zdziwiła się matka. Chyba ją to zaskoczyło.

Ojciec zmarszczył czoło.

– Po co? – burknął.

– Tata Hardiego chciał, żebym tam wstąpił – odrzekł Theo. – Na ścianie mają ogromne powiększenie zdjęcia mnie i Asesora, jak wychodzimy z sądu.

– Uważają cię za bohatera? – spytała z uśmiechem matka.

– Tak jakby, razem z Asesorem.

– Poznałeś Sebastiana Ryana? – pytała dalej.

– Poznałem, bardzo fajny gość. Chce, żebyśmy razem z Hardiem zorganizowali protest uczniów przeciwko obwodnicy. Uczniowską akcją protestacyjną.

Nie przestając się uśmiechać, pani Boone zerknęła na męża, jakby oczekując od niego jakichś cierpkich słów. Theo wolał, żeby ta rozmowa odbywała się w jej obecności.

– Co za akcja protestacyjna? Kto ma w niej uczestniczyć?

– Uczniowie podstawówki Jacksona i młodzież grająca w piłkę nożną. – Theo wpakował sobie do ust duży kawałek kurczaka, jakby nie było specjalnie o czym mówić.

– To świetny pomysł, Theo – powiedziała matka. – Jak zamierzacie to zrobić?

– Jeszcze nie wiemy.

– Theo, czemu uparłeś się mieszać do tej awantury? – spytał surowym tonem ojciec.

Theo wielokrotnie przećwiczył odpowiedź na to pytanie, więc teraz tylko łyknął wody, odchrząknął i powiedział:

– Bo uważam, że to draństwo zabierać Quinnom farmę, która należy do ich rodziny od ponad stu lat. To niesprawiedliwe, żeby władze odbierały prywatną własność na zbędne inwestycje. To niebezpieczne puszczać ruchliwe drogi tuż obok szkoły i boisk sportowych, szczególnie że nikt nie zbadał poziomu zanieczyszczeń. To nieuczciwe, żeby politycy pomagali swoim koleśkom zbijać majątki. Z wielu różnych przyczyn, tato.

– I mogę tylko dodać, że wszystkie są w pełni uzasadnione – wtrąciła szybko matka, wpatrując się w męża.

Ale Theo jeszcze nie skończył.

– A co najważniejsze, jestem wściekły na tych łajdaków, którzy skatowali Asesora. Gdybyś widział, jak go próbowali zabić, to może miałbyś inny stosunek do tej sprawy.

– Nie pouczaj mnie, synu.

– Nikogo nie pouczam, tato.

– On cię wcale nie poucza – oburzyła się pani Boone, wytyczając w ten sposób linię rodzinnego frontu. Dwoje na jednego. Nie było wątpliwości, że pan Boone musi polec na tej wojnie. – Uważam, że to godne podziwu, że Theo chce się włączyć do walki. Większość trzynastolatków miałaby to w nosie.

Dawaj, mamgo!, pomyślał Theo, biorąc do ust kolejny kawałek kurczaka. Masz go już na linach, jeszcze trochę i będzie nokaut. Jednak zamiast ataku nastąpiło zawieszenie broni i Boone'owie w milczeniu dokończyli posiłek.

W końcu Theo nie wytrzymał.

– Tato, nie masz nic przeciwko temu, żebym się tym zajął? – spytał.

– Oczywiście, że nie – ubiegła go matka. – Masz w tej kwestii swoje zdanie, więc powinieneś się w to włączyć. Czyż nie, Woods?

Woods Boone nie miał już szans na przedłużanie tego sporu i wiedział o tym. Skapitulował, rzucając niepewne: „Chyba tak”.

Rozdział 20

w piątek po lunchu Theo i Hardie skorzystali z godziny na cichą naukę i spotkali się w bibliotece. Szkolny serwer miał dużo szybszy internet niż ich laptopy, więc przejście na dostępne dla wszystkich uczniów szkolne pecety oznaczało oszczędność czasu. Zalogowali się, odczekali, aż dyżurny komputerowiec zajmie się czymś innym, i zabrali do surfowania po internecie. Okazało się, że zdobycie informacji o drużynach piłki nożnej w Strattenburgu jest dużo łatwiejsze niż uzyskanie jakichkolwiek informacji z oficjalnej strony Kuratorium Szkolnego Okręgu Stratten.

Po pasowaniu na aktywistę walki z obwodnicą i wyjściu z biura ROŚ Hardie spędził poprzedniego dnia godzinę na Facebooku. Jako zawodnik drużyny piłkarskiej Red United, znanej w skrócie jako RU i mającej własną stronę na Facebooku, bez trudu przeszukał strony innych drużyn z Grupy 14 i szybko skompletował listę nazwisk około setki dziewcząt i chłopców grających w piłkę nożną. Siedząc teraz przy szkolnym komputerze, ponownie przejrzał Facebooka i dodał jeszcze kilkadziesiąt nazwisk.

Theo przez ten czas zmagał się ze szkolną biurokracją. Według danych z oficjalnej strony kuratorium do szkoły podstawowej Jacksona chodziło obecnie czterystu piętnastu uczniów od zerówki do klasy piątej, nie podawano jednak ani ich nazwisk, ani żadnych innych informacji na ich temat. Strona zawierała za to w miarę szczegółowe informacje o zatrudnionych w szkole nauczycielach, łącznie z kolorowymi fotografiami, adresami e-mailowymi i szeregiem innych danych, postanowił więc, że od tego będzie musiał zacząć. Szkolny Komitet Rodzicielski miał oddzielną

stronę internetową, na której podano kilka nazwisk i garść podstawowych informacji kontaktowych, ale nic ponadto.

Przez blisko godzinę chłopcy wyciągali z internetu nazwiska uczniów, nauczycieli, rodziców, pracowników administracyjnych – wszystkich, do których mogliby się zwrócić w ramach planowanej kampanii protestacyjnej.

Po powrocie ze szkoły Theo zaczęło się trochę nudzić. Dopiero na czwartą był umówiony z April Finnemore w Mrożonych Jogurtach Guffa przy Main Street, co od pewnego czasu stało się ich cotygodniową tradycją. Jej starszemu rodzeństwu udało się już wynieść z toksycznego domu rodzinnego i April często była sama. Theo nie okazywał jej współczucia, bo sobie tego nie życzyła, poza tym była inteligentną i wesołą osobą, utalentowaną plastycznie. Nie uważał jej za swoją dziewczynę, a jedynie za fajnego kumpla, który przypadkiem był dziewczyną. Theo zmęczyło już tłumaczenie tych zawłości innym. Było to skomplikowane.

Do pokoju Theo zajrzał Vince, asystent pani Boone.

– Theo, mógłbyś to przed piątą podrzucić do kancelarii sądu? – powiedział, kładąc na biurku teczkę z dokumentami. Zapewne dokumentacja którejś ze spraw rozwodowych pani Boone, którą należało złożyć w sądzie.

– Jasne – rzucił chłopiec, zrywając się na nogi. – Od razu tam pojadę.

– Dzięki – rzucił Vince i wyszedł.

Niewiele rzeczy sprawiało Theo taką frajdę jak wizyta w Sądzie Okręgowym Stratten, więc każdy pretekst był dobry, by tam pojechać. Pogłaskał Asesora po głowie, obiecał, że niedługo wróci, chwycił teczkę z dokumentami i wyskoczył z biura.

Gmach sądu był nie tylko najokazalszym budynkiem w mieście, ale także najważniejszym. Główne wejście zdobiły potężne kolumny, do drzwi

prowadziły długie, szerokie schody. Theo ustawił rower w stojaku i pobiegł schodami na górę. W ciągu dnia po głównym holu kręciło się mnóstwo zaaferowanych prawników, policjantów i urzędników sądowych, jednak Theo wiedział z doświadczenia, że w piątkowe popołudnie hol będzie świecił pustkami. Słyszał, jak matka często narzekała, że w piątek po lunchu nie sposób znaleźć żadnego sędziego. Pamiętał też opowieści Ike'a o prawnikach, którzy w piątki po południu wymykali się do ulubionych barów, by odreagować kończący się tydzień pracy.

W holu było pusto. Theo wbiegł schodami na drugie piętro, gdzie mieścił się Sąd Rodzinny. W kancelarii zastał swą najulubieńszą urzędniczkę ze wszystkich, młodą i śliczną Jenny, potajemną miłość życia, z którą byłby gotów się ożenić, gdyby ktoś go już nie ubiegł, a Jenny nie była właśnie w ciąży.

– O, witaj, Theo – powiedziała z uśmiechem. Kiedy się uśmiechała, w jej niebieskich oczach zawsze zapalały się iskierki, co wywoływało rumieniec na twarzy chłopca. Na policzkach zawsze wtedy czuł gorąco.

– Cześć, Jenny. Chciałem to złożyć na dziennik. – Podał jej teczkę z dokumentami, a Jenny zajrzała do środka.

– Super to twoje zdjęcie z Asesorem w gazecie – rzuciła, przeglądając papiery. Theo stał przed dzielącą ich barierką i w niemym zachwycie wpatrywał się w dziewczynę.

– Dzięki – wydusił w końcu.

– A co z nim?

– Bardzo dobrze. Jest jeszcze mocno potłuczony, ale się wyliże.

– Słyszałam, że ci trzej wyszli dziś rano na wolność.

– To prawda. Ich adwokat złożyła w końcu apelację i ich wypuścili, ale to jeszcze nie koniec. Jeszcze wrócą za kratki.

– Mam nadzieję – powiedziała Jenny, przystawiając pieczęć do kolejnych kartek. – Zaraz je wpiszę do dziennika.

– Dzięki, Jenny. Do zobaczenia. – Powinien w tym momencie obrócić się na pięcie i wyjść, ale jak zwykle trochę zwlekał.

– Cześć, Theo – dodała z kolejnym uśmiechem. – Opiekuj się Asesorem.

– Pewno.

Theo wyszedł z kancelarii i stwierdził, że serce wali mu w przyspieszonym rytmie. Zwykle tak reagowało w obecności Jenny. W drodze powrotnej zajrzał jeszcze do sali sędziego Gantry’ego, największej i najokazalszej ze wszystkich. Nie zdziwiło go, że wewnątrz jest ciemno i pusto. Zbiegł ze schodów, prześlizgując się wzrokiem po ogromnych olejnych portretach zmarłych sędziów. Już miał wyjść z głównego holu, gdy ktoś zawołał go po imieniu. Odwrócił się i zobaczył mężczyznę, którego twarz wydała mu się znajoma. Miał około czterdziestki, szopę kudłatych włosów na głowie, obfity zarost na twarzy i rozdeptane trampki na nogach.

– Norris Flay z „Gazette” – powiedział, podchodząc bliżej. Flay widać należał do tego gatunku ludzi, którzy nie uznają podawania ręki trzynastolatkom, bo nawet mu nie drgnęła. Zmierzył go tylko spojrzeniem z góry, Theo zrewanżował się spojrzeniem od dołu i mruknął:

– Co u pana słyhać?

– W porządku. A u ciebie?

– Świetnie.

– Masz chwilkę?

No, nie bardzo. Do czwartej zostało dziesięć minut i April wkrótce zjawi się w Mrożonych Jogurtach Guffa, od których dzieliło go kilka przecznic. Poza tym jako syn dwojga prawników od dziecka dorastał w atmosferze nieufności wobec prasy. Reporterzy umieli omotywać ludzi i wyciągać od nich wyznania i szczegóły, których rozmówcy wcale nie mieli zamiaru ujawniać. Będąc prawnikami, rodzice Theo hołdowali żelaznej zasadzie chronienia prywatności klientów. Theo często ze zdumieniem widział w telewizji adwokatów, którzy chcąc się popisać przed kamerami swoją

elokwencją, ujawniali mnóstwo poufnych szczegółów o swoich klientach. Pod tym względem tradycyjni solidni prawnicy z firmy Boone & Boone byli całkiem inni. Ojciec Theo często powtarzał: adwokat i kamera to zabójcza mieszanka.

– Może – rzekł ostrożnie Theo.

– Podobało ci się zdjęcie we wczorajszej gazecie? – spytał Flay. W jego głosie dźwięczała nutka dumy.

– Było okay – mruknął Theo, na wszelki wypadek rozglądając się na boki. – A o co chodzi?

Flay też się rozejrzył i postronny obserwator mógłby pomyśleć, że właśnie natknął się na spotkanie dwóch czujnych dilerów narkotykowych.

– Już wychodzisz? – spytał.

– Mhm.

– Fajnie. Przejdę się z tobą.

Wyszli z budynku i zatrzymali się w cieniu jednej z kolumn.

– Jak twój pies? – zapytał Flay.

– W porządku. – Theo zupełnie nie wiedział, o czym reporter chce z nim rozmawiać, i im dłużej to trwało, tym bardziej rosło w nim zaniepokojenie. A jeśli ktoś zobaczy, że się tak kryją za kolumną i o czymś szepczą?

Flay zapalił papierosa i wypuścił kłąb dymu ponad głową chłopca. Oczy nerwowo mu biegały i był chyba trochę spięty. Theo najchętniej dałby nogę.

– Słuchaj, Theo, o tej obwodnicy krążą przeróżne plotki. Moje źródło donosi, że w sprawę zamieszanych jest wielu miejscowych biznesmenów, którzy chcą się nieźle na tym obłowić. Wiesz, o czym mówię?

Theo stał ze wzrokiem wbitym w swoje buty.

– Zwłaszcza deweloperzy – ciągnął Flay. – Wygląda na to, że cała gromada sępów tylko czeka na zatwierdzenie planu budowy, żeby się rzucić na tamtejsze tereny i zacząć budować centra handlowe i fast foody.

Nim się obejrzymy, na obwodnicy zrobią się takie korki tak na Battle Street. Wiesz, o czym mówię?

Theo uparcie milczał. Reporter chwilę odczekał, wydmuchnął następną chmurę dymu i powiedział:

– A największy kombinator to niejaki Ford. Znasz loego Forda?

– W życiu o nim nie słyszałem -- powiedział Theo, patrząc Flayowi prosto w oczy. Było to oczywiście kłamstwo, ale Theo się tym nie przejmował. Raz tylko widział loego Forda w holu kancelarii Boone & Boone i nie zamierzał się z tego tłumaczyć.

Flay przewiercił go wzrokiem, jakby od początku znał prawdę.

– Wątpię – powiedział. – Twój ojciec od lat go reprezentuje.

– I co z tego?

– To z tego, że jak słyszę, Ford właśnie zrezygnował z usług firmy Boone i Boone. Cóż, nie wiem tego na pewno, ale jestem się gotów założyć, że ma to związek z obwodnicą.

– I czego pan ode mnie oczekuje? – burknął ze złością Theo.

– Informacji.

– Niech pan zapomni. Ja nic nie wiem.

– Ale może mógłbyś się czegoś dowiedzieć, troszkę pogrzebać i natrafić na coś ważnego, co pomogłoby zablokować budowę obwodnicy.

– Grzebanie to pańska specjalność, nie moja.

– Jesteśmy po tej samej stronie, Theo. – Flay sięgnął do kieszonki koszuli, wyciągnął wizytówkę i wcisnął ją chłopcu do ręki. – Masz tu mój numer telefonu. Jak się czegoś dowiesz, zadzwoń. Przysięgam, że umiem dochować tajemnicy. Jeszcze nigdy nikomu nie ujawniłem swojego informatora.

Theo wziął wizytówkę i odszedł bez pożegnania. Choć był pewien, że nie zrobił nic złego, czuł się jakoś niewyraźnie. Wsiadł na rower i popędził

Main Street, zastanawiając się, czy powinien o wszystkim opowiedzieć rodzicom. Joe Ford rozstał się z Boone & Boone zaledwie wczoraj. Jakim sposobem Flay tak szybko się o tym dowiedział?

April czekała u Guffa w ich ulubionym boksie. Jak zwykle zamówiła mrożony jogurt, Theo tradycyjnie poprosił o lody czekoladowe ze śmietankowo-czekoladową posypką. April siedziała zasepiona i wkrótce wyszło na jaw dlaczego. Jej rodzice znajdowali się w stanie permanentnej wojny i jeśli nie byli akurat w trakcie rozwodu, to wzajemnie sobie nim grozili. Problemy Theo były niczym w porównaniu z wiecznymi kłótniami w domu April. Nie mógł nic na to poradzić, ale przynajmniej mógł jej wysłuchać. Dziewczynka marzyła o wyrwaniu się z toksycznego domu, jak to już zrobiło starsze rodzeństwo, ale na razie było to niemożliwe. Miała dopiero trzynaście lat i nie miałyby się gdzie podziać. Była skazana na mieszkanie w domu i dlatego tworzyła sobie wyimaginowane światy, do których chciałaby uciec. Marzyła o studiach w Paryżu i malowaniu obrazów nad brzegami Sekwany, jak najdalej od domu.

Zmagając się ze swoją porcją lodów, Theo cierpliwie jej słuchał, choć znał już to wszystko na pamięć. Miał tylko cichą nadzieję, że April się nie rozklei i nie zacznie płakać. Nie zaczęła.

Rozdział 21

Woods Boone był od najmłodszych lat miłośnikiem golfa, jednak z braku czasu nigdy nie zdobył się na instruktora i grywał dość nieregularnie. W rezultacie jego umiejętności były bardziej niż przeciętne. Po skończeniu dziesięciu lat Theo dostał na Gwiazdkę komplet kijów golfowych, a ojciec poświęcił trochę czasu, by mu udzielić paru podstawowych lekcji. Wkrótce obaj jednak doszli do wniosku, że lekcje udzielane przez weekendowego amatora, nawet jeśli bezpłatne, nie na wiele się zdadzą. W rezultacie na każde kolejne urodziny Theo dostawał w prezencie opłaconą serię dziesięciu półgodzinnych lekcji u profesjonalnego instruktora. Zamachy chłopca uległy wyraźnej poprawie i w wieku dwunastu lat stał się równorzędnym partnerem dla ojca, czasami nawet go pokonując.

Jeśli tylko pogoda pozwalała, co sobotę rozgrywali dziewięciodołkową partię na Miejskim Polu Golfowym w Strattenburgu, po czym zjadali szybki lunch w czysto męskim gronie, najczęściej w mieszczącej się w śródmieściu garmazerii Pappy'ego znanej z pysznych kanapek z chrupiącej bagietki z pastrami, serem, krążkami cebuli i sałata. Choć Theo bardzo chciałby uczestniczyć w grach zespołowych, lekarze zabronili mu je uprawiać. Zabroniony był też tenis. Mógł jeździć na rowerze, chodzić na piesze wycieczki, pływać i robić mnóstwo innych rzeczy, natomiast wszelkie konkurencje zespołowe były wykluczone. Ten zakaz bardzo chłopca uwierał i wywoływał wiele kłótni w rodzinie, jednak bez rezultatu. Theo mógł jedynie kibicować kolegom. Dlatego z tym większą pasją podchodził do golfa. Umiejętnościami nie ustępował gol-llstom w swojej grupie wiekowej, choć pozostało mu jeszcze potwierdzenie tego w

bezpośredniej walce w turniejach, czemu ojciec się sprzeciwiał. Był wrogiem współzawodnictwa na polu golfowym, uważając, że golf jest wystarczająco trudną grą, by się jeszcze dodatkowo stresować punktami, handicapami, tabelami wyników i turniejowym regulaminem.

Ale i tak obaj zawsze znali wynik swojej potyczki. Nie w postaci oficjalnego zapisu punktowego przyczepianego do kierownicy wózka golfowego, tylko cichego liczenia w myślach. Pan Boone zwykle kończył grę z siedmioma lub ośmioma uderzeniami powyżej normy dla dziewięciu dołków, Theo zazwyczaj był tuż za nim, przy czym obaj udawali, że nie liczyli uderzeń konkurenta i nie znają jego wyniku.

Theo zszedł na dół z Asesorem i zastał ojca pijącego kawę przy kuchennym stole.

- O której zaczynamy? – spytał, wypuszczając Asesora z domu.
- Dziewiąta czterdzieści pięć – odrzekł pan Boone, nie podnosząc głowy.
- Tylko pamiętaj, że o dziewiątej masz być z Asesorem u doktora Kohla.
- Zapomniałem – przyznał Theo. – Ale mimo to zagramy?
- Jasne, tylko zbierajmy się.

Theo i Asesor szybko schrupali płatki śniadaniowe. W soboty rano Theo nigdy nie brał prysznic i był to jeszcze jeden powód lubienia sobót. Wrzucili kije golfowe do bagażnika SUV-a i punktualnie o dziewiątej wkroczyli do przychodni doktora Kohla.

- Jedziecie na golfa? – spytał lekarz, przyglądając się im.
- Mamy rezerwację na dziewiątą czterdzieści pięć – odrzekł Theo. W jego głosie dało się wyczuć nerwowy pośpiech. W sobotnie poranki na polu panował tłok i spóźnienie zawsze później stwarzało problemy. Pan Boone usiadł w recepcji z kolejną gazetą, Theo i Asesor weszli z lekarzem do gabinetu zabiegowego. Doktor Kohl szybkimi precyzyjnymi ruchami usunął szwy, oczyścił rany i zmienił opatrunki, a także poprawił usztywnienie złamanej łapy. Robiąc to wszystko, cały czas mówił do Theo i

Asesora tak łagodnym i kojącym tonem, jakby próbował ich uspić. Theo uważał, że doktor Kohl po prostu uratował życie jego ukochanemu psu i miał już na zawsze pozostać jego bohaterem.

Asesor kilka razy się szarpnął i zaskowyczał, ale chyba też wiedział, że ma szczęście, że w ogóle żyje. Był dzielnym psem i potrafił znosić ból.

Doktor Kohl mruknął „gotowe” i kazał przyjść ponownie za tydzień, Theo jeszcze raz podziękował mu za uratowanie życia Asesorowi.

– To moja praca, Theo – wzruszył ramionami lekarz.

Po drodze wysadzili Asesora w domu i pojechali na pole golfowe.

Z uwagi na pagórkowaty teren, oczka wodne, liczne piaszczyste łąchy i co najmniej trzy zdradliwe strumienie Miejskie Pole Golfowe w Strattenburgu zaliczało się do trudnych. Ale jeśli nie gra się na punkty, to przecież nie ma to znaczenia.

Od sprawy z Joem Fordem pan Boone był trochę naburmuszony i Theo czuł, że ojciec nadal się na niego boczy. Jednak gdy udało mu się zaliczyć trzy kolejne dołki w normie – ostatni z wręcz niewiarygodnym trafieniem z prawie osiemnastu metrów – nastrój bardzo mu się poprawił. Partia trwała niemal dwie godziny, a oni cieszyli się otaczającą ich zielenią, ruchem na świeżym powietrzu i udanymi uderzeniami i nie przejmowali nieudanymi. Nie myśleli ani o pracy, ani o szkole, ani o obwodnicy, skupiając się tylko na grze. Pan Boone przestał już pouczać syna, zdarzały mu się jednak uwagi w rodzaju: „Myślę, Theo, że Tiger Woods użyłby w takiej sytuacji podbijaka do piasku i celował w przednią krawędź greenu”.

Theo podejrzewał, że ojciec zupełnie nie wie, co by /robił Tiger Woods, bo należeli do zupełnie różnych światów. Chłopiec już się jednak zorientował, że golfiści amatorzy, nawet najślabi weekendowi pukacze,

często oglądają zawodowców w telewizji, a ponieważ sami również grywają w tę grę, wydaje im się, że coś ich z nimi łączy.

Dlatego zawsze z szacunkiem wysłuchiwał uwag ojca, po czym wykonywał uderzenie dokładnie według własnego uznania. Wielokrotnie też, gdy ojciec zastanawiał się nad najwłaściwszym uderzeniem, Theo miał ochotę trochę mu dopiec i powiedzieć coś w rodzaju: „Myślę, tato, że Tiger Woods w tej sytuacji spojrzełby na piłkę i doszedł do wniosku, że nie ma szans trafić gdzieś w pobliże greenu”. Ale oczywiście nigdy niczego takiego nie mówił.

Kilka razy się zdarzyło, że przy zaliczaniu kolejnych dołków Theo szedł z ojcem łeb w łeb i wtedy widział, że przy ostatnich dwóch dołkach ojciec zaczyna się denerwować. Nieważne, ile razy powtarzał, że golf ma służyć rozrywce, a nie współzawodnictwu, tak naprawdę nie lubił przegrywać z synem.

Tylko jak tu mówić o przegrywaniu, skoro nie liczy się punktów?

Theo wyczuwał nastroje ojca i trochę mu współczuł. Może gdy już będzie szesnasto- czy siedemnastolatkiem będzie mu wolno z nim wygrywać, ale nie jak ma trzynaście lat. I na pewno nie dzisiaj. Dziś pan Boone zaliczył normę uderzeń przy pięciu z dziewięciu dołków, przy dwóch przekroczył ją tylko o jedno uderzenie i przy dwóch o dwa, uzyskując łączny nieoficjalny wynik czterdziestu dwóch punktów, jeden z lepszych w swojej golfowej karierze. Theo, któremu tym razem poszło dużo gorzej, był wdzięczny losowi, że nie istnieje oficjalny wynik ich zmagania.

Wrócili do wózka, załadowali kije, zmienili obuwie i ruszyli do Pappy'ego na kanapkę z pastrami.

Po południu Theo poinformował mamę, że wybiera się na mecz piłki nożnej, w którym grają jego koledzy, i wróci do domu około piątej. Zadała

kilka pytań, a on ze wszystkich sprytnie się wywinął, nie kłamiąc, ale i nie mówiąc całej prawdy. Pani Boone wysłuchała odpowiedzi i wyraziła zgodę.

Zgodnie z planem o czternastej spotkali się z April pod jej domem i pojechali rowerami do Miejskiego Ośrodka Sportowego. Normalnie Theo nie dostałby zgody na taką eskapadą rowerową. Od MOS-u dzieliło go zbyt wiele ruchliwych ulic i pędzących samochodów, nie mówiąc już o odległości. Ośrodek mieścił się dwa i pół kilometra na zachód od Battle Street, „za miastem”, jak to lubiono mówić, za daleko dla młodocianych rowerzystów. Na szczęście Hardie pokazał Theo kilka skrótów bocznymi uliczkami. Oboje z April przez pół godziny z zapałem pedałowali i mijając podstawówkę Jacksona, poczuli, że gonią resztkami sił. Na szczęście w oddali widać już było boiska i parking pełen samochodów.

Hardie grał na boisku numer sześć i mecz trwał. Theo i April znaleźli wolne miejsca na niezadaszonej trybunie i odsapnęli. Hardie grał w ataku i gdy piłka wyszła na aut w pobliżu trybuny, chłopiec dojrzał parę swoich przyjaciół. Uśmiechnął się, skinął głową i powrócił do gry. Theo i April przez chwilę przyglądali się meczowi, szybko się jednak znudzili i zaczęli chodzić po ośrodku. Widok dziesięciu równocześnie rozgrywanych meczów – każdy z własną grupą wrzeszczących kibiców, pokrzykującymi trenerami i gwizdzącymi sędziami – był doprawdy niezwykły. Ośrodek zbudowano w bardzo malowniczym miejscu, w otoczeniu wzgórz, lasów i innych cudów natury, z dala od hałasu i smrodu ulicznego ruchu.

Dlaczego chcą to wszystko zniszczyć, myślał Theo. Dlaczego chcą puścić przez środek tak pięknego terenu czteropasmową szosę, którą popędzi dwadzieścia pięć tysięcy pojazdów na dobę? Dlaczego chcą to wszystko zatruć spalinami i ogłuszyć hałasem? Przecież to bez sensu!

Zawrócili na parking, Theo ze swoim telefonem komórkowym, April z kamerą wideo matki, i chodząc wzdłuż rzędów zaparkowanych samochodów, zaczęli fotografować tablice rejestracyjne. Poza nimi na parkingu nie było nikogo. Właściciele samochodów siedzieli na trybunach,

dopingując swoje drużyny, ale Theo i tak czujnie się rozglądał. Fotografowanie tablic rejestracyjnych cudzych samochodów nie jest zabronione, ale chłopiec wolał nie wyjaśniać celu ich akcji.

W ośrodku były trzy duże parkingi i przejście obok każdego zaparkowanego samochodu i zarejestrowanie jego tablicy zajęło im prawie godzinę. Nikt się nie zainteresował ich poczynaniami, choć parę razy byli bliscy nakrycia. Theo przykładął wtedy telefon do ucha i udawał, że rozmawia.

Naliczyli w sumie sto czterdzieści siedem samochodów osobowych i pick-upów. Zamierzali spisać z telefonu i kamery wszystkie numery rejestracyjne, wejść na stronę internetową Wydziału Ruchu Drogowego i znaleźć sposób na zdobycie nazwisk właścicieli pojazdów. Wydawało się oczywiste – przynajmniej Theo i Hardiemu, a teraz także April – że kibicujący drużynom mogą należeć do najzagorzalszych wrogów budowy obwodnicy. No bo jaki rodzic chciałby, żeby jego dziecko grało w piłkę, oddychając powietrzem gęstym od spalin i cuchnących wyziewów?

Na szczęście drużyna Red United wygrała i jej trener miał dobry humor. Nazywał się Jack Fortenberry, a jego syn był bramkarzem. Według zapewnień Hardiego trener Fortenberry był prawdziwym fanatykiem piłki nożnej, który jesienią i wiosną prowadził treningi w MOS-ie, latem zaś zajmował się wyselekcjonowaną reprezentacją wyjazdową. Hardie już zdążył wspomnieć mu o zagrożeniu budową obwodnicy.

Spotkali się za siatką, z dala od tłumów opuszczających boiska i rozchodzących się po parkingach. Flardie przedstawił trenerowi Theo i April, a ten od razu dał wyraz głębokiemu zaniepokojeniu planami. Nie ufał politykom i podejrzewał, że to wszystko sprawka ważnych biznesmenów, którzy nalegają na budowę. Był oburzony, że trasę wytyczono tuż obok boisk piłkarskich, i rozumiał wynikające z tego zagrożenia.

Pan Fortenberry zachował się dokładnie tak, jak na to liczyli, bo zaoferował pomoc w każdej możliwej postaci. Wtedy Theo wyłożył mu

swój plan.

Rozdział 22

W niedzielę rano Asesor, który nadal spał na łóżku Theo zamiast pod nim, zaczął się wiercić wraz z pierwszymi promieniami słońca prześwitującymi przez zasłony. Theo lubił pospać trochę dłużej w niedzielę, wyglądało jednak, że dziś nic z tego. Wprawdzie burknął na Asesora „spokój”, ale to tylko pogorszyło sprawę. Pies po prostu musiał wyjść na dwór i po piętnastu minutach namawiania pana w końcu postawił na swoim. Na dole Theo rzucił zaspanym głosem „dzień dobry” siedzącym w kuchni rodzicom, zaniósł Asesora do tylnych drzwi i wypuścił z domu.

– Co tak wcześnie? – spytała mama.

– Asesor chciał wyjść.

Cały kuchenny stół zawałały opasłe niedzielne wydania gazet, co dowodziło, że rodzice już od pewnego czasu nad nimi ślęczą. Theo rzucił okiem na dzbanek z kawą i stwierdził, że jest niemal pusty. Zegar na ścianie pokazywał szóstą czterdzieści pięć.

– Z was też ranne ptaszki – zauważył.

– Obudziłem się i już nie mogłem usnąć – mruknął ojciec.

– Kto ma ochotę na placki? – spytała matka. Nieczęsto się zdarzało, by coś pichciła w domu, i obaj stołownicy nauczyli się korzystać z każdej nadarzającej się okazji.

– Z kiełbaskami? – upewnił się pan Boone.

– Pewnie.

– Placki z czym? – chciał wiedzieć Theo.

– Az czym chcesz?

– Z czarnymi jagodami.

– Mogą być z jagodami. – Pani Boone już sięgała do lodówki.

Theo nalał sobie soku pomarańczowego i usiadł przy stole. Jego uwagę przyciągnął tytuł w „Strattenburg Gazette”:

KOMISJA NIEZDECYDOWANA W SPRAWIE OBWODNICZY.

Wziął do ręki gazetę i zaczął czytać. Autorem nie był Norris Flay, ale jakiś inny reporter. Z artykułu wynikało, że dwaj członkowie komisji są za budową obwodnicy, dwóch ma z tym „problem”, piąty zupełnie nie może się zdecydować. Budowę obwodnicy najbardziej popierał niejaki Mitchell Stak, od piętnastu lat zasiadający w Komisji Okręgu i jej obecny przewodniczący. Stak był właścicielem sklepu z artykułami żelaznymi w południowej części miasta i dowodził, że powstanie obwodnicy w najmniejszym stopniu nie wpłynie na obroty w jego sklepie. Wyglądało na to, że mówi prawdę. Jako biznesmen i przedstawiciel handlu detalicznego miał opinię gorącego zwolennika szybkiego rozwoju gospodarczego regionu i w komisji jeszcze nigdy nie zagłosował przeciwko powstaniu nowego centrum handlowego, osiedla mieszkaniowego, galerii handlowej, myjni samochodowej czy czegoś, co mogło się przyczynić do dalszego „rozwoju gospodarczego”. Przedstawiciel ekologów nazywał go „zabójcą czystego powietrza, czystej wody i spokojnych ulic”; pan Stak ripostował, że „ci miłośnicy drzew najchętniej cofnęłyby nas do średniowiecza”.

W artykule przytoczono wszystkie „za” i „przeciw”, a z cytowanych wypowiedzi wynikało, że nasilają się wzajemne oskarżenia i rosną emocje. Czytając, Theo czuł, jak w żołądku rośnie mu twarda gula. Po co on się pakuje w taką aferę? Jest tylko dzieckiem, a tu toczy się prawdziwa wojna między bezwzględными politykami. Potem jednak przypomniał sobie o

Hardiem i farmie Quinnow, a zaraz potem o Asesorze i draniach, którzy go skatowali.

Jeszcze czytał, gdy kuchnia wypełniła się zapachem kiełbasek skwierczących na patelni, a matka zaczęła się krzątać przy obiecanych plackach. Ojciec siedział za- czytany w dodatku biznesowym do „New York Timesa”, Asesor przyciągnięty zapachami zaczął skamleć pod drzwiami. Theo go wpuścił.

Publiczną sesję Komisji Okręgu wyznaczono za nieco ponad dwa tygodnie i wszystko wskazywało na to, że na sali rozegra się prawdziwa batalia. Stak zapewniał, że siedemdziesiąt pięć procent mieszkańców okręgu popiera budowę obwodnicy oraz że jej zwolennicy stawią się tłumnie na sesji, by zademonstrować swoje poparcie. To bzdury, odpowiadał Sebastian Ryan z Rady Ochrony Środowiska okręgu Stratten, dodając, że powstanie obwodnicy popiera znikoma mniejszość mieszkańców, głównie lokalni biznesmeni, którzy przy tej okazji chcą się obłowić. Przeciwnicy obwodnicy też się mieli tłumnie stawić.

W tym momencie Theo po raz pierwszy pomyślał o pójściu na zebranie komisji. Przyszło mu do głowy, że to może być całkiem ciekawe przedstawienie. Tłum rozgorączkowanych mieszkańców, którzy będą sobie skakać do oczu przed pięcioma komisarzami okręgowymi. Pewnie nie dojdzie do rękoczynów, bo na sali będzie dużo policji, która utrzyma porządek. Pewnie rodzice nie pozwolą mu tam pójść, ale pomysł mu się spodobał. Postanowił jeszcze trochę nad tym podumać i na razie wstrzymać się z prośbą.

Pani Boone uniosła głowę znad talerza i powiedziała:

– Chodźmy dziś wcześniej do kościoła.

– Jasne – kiwnął głową pan Boone.

– Bardzo chętnie – dodał Theo. W kwestii chodzenia do kościoła jego zdanie i tak się nie liczyło, jednak nie zniechęcało go to do zabierania głosu

i wyrażania opinii. Ale istotnie poranne nabożeństwo było fajniejsze. Trwało od dziewiątej do dziesiątej i nie było takie napuszone jak główna msza o jedenastej. Można się też było swobodniej ubrać, a kościół nie był tak zatłoczony.

– To lepiej się pośpieszcie, panowie – powiedziała pani Boone. Theo i ojciec popatrzyli po sobie z lekkim zniecierpliwieniem. Było dopiero po wpół do ósmej i mieli ponad godzinę, by przygotować się do wyjścia. Prysznic i golenie zajmie panu Boone’owi nie więcej jak dwadzieścia minut; Theo nie musiał się jeszcze golić i wystarczy mu kwadrans. Szykowanie się zajmie pani Boone co najmniej godzinę, a ona ich popędza. Ale żaden nie pisnął ani słowa. O pewnych sprawach szkoda nawet mówić.

Po lunchu i dawno po kościele Theo niechętnie poszedł do swojego pokoju, by usiąść nad wypracowaniem z literatury. Miał do napisania trzystronicową analizę głównych bohaterów Przygód Tomka Sawyera Marka Twaina, jednej z jego ulubionych powieści. Książka bardzo mu się podobała, nie podobał mu się za to pomysł spędzania niedzielnego popołudnia nad wypracowaniem. Mimo to bez słowa protestu powłókł się na górę i zamknął za sobą drzwi. I wtedy nagle się okazało, że nie może znaleźć książki. Przeszukał cały pokój, w końcu zszedł na dół i zaczął szukać jej w salonie.

– Może zostawiłeś w biurze – podzuciła mu matka.

Bingo! Ależ tak! Właśnie tak musiało być.

– Zaraz wracam – rzucił, wybiegając z domu i wskakując na rower. Dziesięć minut później zatrzymał się z zawadiackim poślizgiem pod tylnym wejściem do kancelarii Boone & Boone, otworzył drzwi kluczem i wszedł do pokoiku, który nazywał swoim biurem. Książka leżała tam, gdzie ją zostawił: na półce obok afisza Minnesota Twins z planem lekcji.

Theo już nie pamiętał, kiedy ostatni raz był w rodzinnej kancelarii zupełnie sam. Zatrudnieni w niej prawnicy wiecznie wisieli na telefonach, klienci wchodzili i wychodzili, drukarki brzęczały, Elsa zza swojego biurka zawiadywała całym ruchem, Asesor plątał się między nogami, jak zwykle poszukując miejsca na drzemkę lub czegoś do zjedzenia. A teraz w całym biurze panowała głucha cisza. Było aż nieprzyjemnie cicho i mrocznie. Theo przeszedł korytarzykiem do holu wejściowego i stanął przy frontowym oknie, obok biurka Elsy. Sala konferencyjna z fotelami z ciemnej skóry i półkami pełnymi książek prezentowała się dostojnie i ponuro. Theo pomyślał, że jednak woli, gdy wokół coś się dzieje.

Zawrócił do siebie po lekko skrzypiącej drewnianej podłodze. Niegdyś w jego pokoju mieścił się podręczny magazynek i by do niego dotrzeć, należało minąć dwa większe pomieszczenia magazynowe, wypełnione równymi stertami białych kartonów. Czasy się jednak zmieniały i wiek cyfryzacji zmuszał prawników do wkroczenia w świat akt i archiwów bez papieru, co zresztą, zdaniem Theo, rodzice powinni byli już dawno zrobić. Bo po co niszczyć taką masę drzew i produkować tony papieru, który staje się nikomu niepotrzebny niemal od razu w chwili schowania go w archiwum. Wielokrotnie rozmawiał o tym z rodzicami. Wychodziło na to, że w wieku trzynastu lat Theo też już jest miłośnikiem drzew.

W korytarzu stał stolik, na którym Dorothy i Vince składali teczki z dokumentami do archiwizacji. Theo prześlizgnął się po nim wzrokiem i coś przyciągnęło jego uwagę. Na grzbiecie grubego segregatora widniało wypisane dużymi literami nazwisko JOE FORD. Widać po rozstaniu się z Fordem ojciec postanowił oczyścić gabinet ze zbędnej makulatury, przenosząc akta do archiwum. Było to o tyle zaskakujące, że pan Boone słyszał z tego, iż jego pokój wiecznie zawaływały niepotrzebne papierzyska. Jego brat Ike hołdował zresztą tej samej zasadzie.

Theo zatrzymał się i rzucił okiem na zakładki w segregatorze Forda. Na jednej z nich widniał napis: SWEENEY ROAD. Wiedział, że nie powinien

wtykać nosa w nie swoje sprawy, lubił jednak wszystkim się interesować, szczególnie w biurze. Otworzył na zakładce SWEENEY ROAD i zaczął przeglądać plik dokumentów centymetrowej grubości. Szybko natrafił na to, czego szukał: dokument zatytułowany OPCJA. To dość pospolite słowo oznaczało, że adresat dokumentu posiada opcję, czyli inaczej mówiąc, prawo do kupna osiemdziesięciu hektarów ziemi od właściciela, Walta Beesona. Adresat, czyli kto? W dokumencie wymieniona była jakaś dopiero co utworzona spółka o nazwie Trust Nieruchomości Parkina, bez podawania nazwisk jej wspólników. Ponieważ jednak dokument trafił do teczki Forda, można było śmiało przyjąć, że Turbo Ford założył kolejną firmę i tylko nie chce się z tym afiszować.

Większość dokumentów dotyczących praw własności ziemi oraz transakcji kupna i sprzedaży nieruchomości trafia do publicznego rejestru w sądzie okręgowym, nie dotyczy to jednak opcji kupna i Theo o tym wiedział. Z treści dokumentu wynikało jasno, że krążące plotki były prawdziwe. Beeson wyrażał zgodę na sprzedaż osiemdziesięciu hektarów w okolicach Sweeney Road, firma TNP zaś zobowiązywała się je kupić, jednak pod warunkiem, że Komisja Okręgu wyda zgodę na budowę obwodnicy. Wówczas firma TNP miała zapłacić Beesonowi po dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za hektar, czyli łącznie dwa miliony dolarów. Jeśli jednak komisja odrzuci wniosek, TNP zapłaci Beesonowi jedynie pięćdziesiąt tysięcy dolarów za wystawienie opcji i na tym transakcja zostanie zakończona.

Jeden z paragrafów opcji zobowiązywał obie strony do zachowania ścisłej dyskrecji. Utrzymanie transakcji w tajemnicy było kluczowe dla powodzenia całej sprawy, która na pierwszy rzut oka wydawała się całkowicie uczciwa. Nie było w niej nic nielegalnego. Deweloperzy w rodzaju Forda wyszukiwali dobrze rokujące nieruchomości i przystępowali do budowy. Jeśli oczekiwania się sprawdzały, zarabiali masę pieniędzy, jeśli nie – ponosili ogromne straty.

Theo ciekawiło, skąd Ike się o tym dowiedział, ale specjalnie go to nie dziwiło. Stryj umiał węszyć po mieście i wygrzebywać różne ciekawe rzeczy. Chłopiec zaczął przeglądać kolejne strony. Na końcu widniał podpis Walta Beesona jako sprzedającego i Fredericka Coyle'a, wiceprezesa Trustu Nieruchomości Parkina. Nigdzie nie było ani śladu nazwiska Joego Forda, przynajmniej w tym dokumencie. Jedna z zakładek w segregatorze nosiła napis Trust Nieruchomości Parkina. Zawierała akt założycielski nowej spółki TNP, spisany przez pana Boone'a zaledwie miesiąc wcześniej. Theo przebiegł wzrokiem inne dokumenty, projekty umów, a nawet odręczne notatki zrobione ręką ojca, którego charakter pisma od razu rozpoznał. Spółka miała czterech właścicieli, czyli inaczej mówiąc, udziałowców: do Joego Forda należało pięćdziesiąt procent akcji, do Fredericka Coyle'a dwadzieścia procent, do Stu Malzone'a dwadzieścia procent, do Petera Kyzera dziesięć procent. Theo nigdy o żadnym z nich nie słyszał i zapisał sobie te trzy nazwiska. Odłożył wszystko na miejsce i wrócił do swojego biura. Jeśli będzie chciał jeszcze raz zajrzeć do tych papierów, będzie już wiedział, gdzie szukać.

Zamknął tylne drzwi na klucz i popędził do domu. Wszedł na górę, zamknął się z Asesorem w swoim pokoju, włączył laptop i zaczął przeszukiwać strony teleadresowe. Szybko znalazł numery telefonów i adresy panów Coyle'a, Malzone'a i Kyzera. Wszyscy trzej mieszkali w samym mieście lub w pobliżu. Theo wyszukał dane Coyle'a i dowiedział się, że pół roku wcześniej Coyle stawał przed sądem, pozwany przez współnika. Zapisał sobie, że ma zajrzeć do akt sądowych i dowiedzieć się czegoś więcej. Przy nazwisku Kyzer wpisanym do Google pojawił się link do czasopisma biznesowego. Niedawno ukazał się w nim artykuł o Kyzerze i jego sieci stacji obsługi, w których można było za dwadzieścia dolarów na poczekaniu wymienić olej. Kyzer miał czterdzieści lat, kochał latać helikopterem i polować na kaczki.

O Stu Malzone nie udało się dużo znaleźć, ale jedna wzmianka w „Strattenburg Gazette” okazała się wisienką na torcie. Notatka sprzed dwóch lat informowała o ślubie Stu Malzone, który w wieku dwudziestu trzech lat żenił się z Belindą Stak, lat dwadzieścia jeden, córką Mitchella Staka. Oboje państwo młodzi studiowali w Stratten College. Na ślubnej fotografii widać było uśmiechnięte twarze dwojga bardzo młodo wyglądających ludzi.

Theo powrócił do stron teleadresowych, żeby dodatkowo się upewnić, choć nie miał wątpliwości, że w Strattenburgu mieszka tylko jeden Mitchell Stak.

W głowie mu zawirowało, gdyż wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Joe „Turbo” Ford po cichu kupował ziemię, żeby zacząć na niej budować i zbić majątek, gdy w pobliżu przebiegnie obwodnica. W tym celu założył spółkę TNP, chcąc pod jej szyldem ukryć swój udział w tym przedsięwzięciu. Pięciu członków Komisji Okręgu przegłosuje przyjęcie lub odrzucenie projektu budowy obwodnicy. Najbardziej zagorzałym zwolennikiem budowy jest Mitchell Stak, którego dwudziestopięcioletni zięć Stu w ścisłej tajemnicy stał się posiadaczem dwudziestu procent udziałów w firmie TNP. W dokumentach wartość dwudziestu procent udziałów wynosiła czterysta tysięcy dolarów, tyle że w postaci gołej ziemi przed zabudową. Można śmiało założyć, że po zbudowaniu przez Joego Forda moteli, galerii handlowych, barów fast food i parkingów wartość nieruchomości wielokrotnie wzrośnie.

Theo poczuł gułę w żołądku, twardy pulsujący ciężar, od którego zrobiło mu się niedobrze. Poszedł do łazienki, spryskał twarz zimną wodą i powiedział kilka gorzkich słów do Asesora, który jednak zupełnie się nimi nie przejął.

Godzinę później Theo leżał na łóżku z rozłożonymi na piersi i zapomnianymi Przygodami Tomka Sawyera, tępo wpatrzony w sufit. Nie udało mu się napisać nawet jednego akapitu.

Leżał i myślał o ojcu. Woods Boone był szanowanym adwokatem, wysoko ceniącym zasady etyczne i profesjonalizm. Z pogardą wyrażał się o prawnikach, którzy szli na skróty i wpadali w tarapaty. Udzielał się w komisjach Stowarzyszenia Prawników, które dbały o zachowanie właściwych standardów przez swoich członków. I tak dalej, i tak dalej. Więc jak mógł sam firmować tak podejrzane machlojki? Przecież to on przygotował dokumenty spółki TNP i on od lat reprezentował Joego Forda. Posunął się nawet do tego, że w rodzinnej dyskusji stanął po stronie zwolenników obwodnicy.

Theo przyznawał w duchu, że ojciec najprawdopodobniej nie zna Stu Malzone, mógł też nigdy nie spotkać panów Coyle'a i Kyzera. Chłopiec chciał wierzyć, że ojciec pracował wyłącznie dla Joego Forda i robił tylko to, czego klient od niego oczekiwał. Uczepił się tej myśli jak deski ratunku, ale i tak czuł ogromne zaniepokojenie.

Nie było mowy o żadnym przestępstwie ani ze strony Forda, ani tym bardziej ojca. Ale coś tu śmierdziało. Jeśli to prawda, że członek bliskiej rodziny Staka zbije majątek na powstaniu obwodnicy i jeśli wydostanie się to na zewnątrz przed głosowaniem komisji, Stak zostanie skompromitowany i może się nawet podać do dymisji. Ujawnienie tego przed głosowaniem może od razu przechylić szalę na stronę przeciwników obwodnicy.

Theo zdawał sobie jednak sprawę, że dysponuje informacją, której nie powinien mieć. Znowu grzebał w poufnych dokumentach kancelarii Boone & Boone i dlatego jego wścibskie oczy zobaczyły coś, czego nie powinny widzieć.

I co on ma teraz zrobić? Może Ike mu coś doradzi?

Rozdział 23

W poniedziałek pod koniec lekcji grono aktywistów dysponowało już imponującą liczbą blisko czterystu nazwisk dzieci grających w piłkę nożną w MOS-ie. Do grupy udało się też wciągnąć Chase'a, chodzącego do ósmej klasy zwariowanego naukowca i maniaka komputerowego, czasami także hakera. Członkowie grupy spisali numery tablic rejestracyjnych z komórki i kamery Theo i April, uzyskując wykaz wszystkich zaparkowanych tam wtedy pojazdów. W tym czasie Chase dobrał się do dostępnego w sieci rejestru pojazdów i po niecałej półgodzinie znalazł sposób na uzyskanie z niego nazwisk i adresów ich właścicieli. Mieli teraz dostęp do danych większości dzieci pozostających w kręgu ich zainteresowań.

Część nazwisk znaleźli na Facebooku i ustalili adresy e-mailowe, z innymi się nie udało, przynajmniej nie od razu. Ale im dłużej siedzieli nad listą nazwisk, analizowali ją i uzupełniali o nowe szczegóły, tym ich baza danych stawała się bogatsza.

Plan działania nabierał kształtów. Założyli nawet własną stronę na Facebooku i nazwali ją „Obwodnica donikąd”.

W odróżnieniu od większości poniedziałkowych wizyt u Ike'a, które Theo składał z poczucia obowiązku, do dzisiejszej aż się palił. Chciał porozmawiać ze stryjem. Zostawił Asesora w biurze i około piątej wsiadł na rower. Biuro Ike'a znajdowało się zaledwie pięć minut jazdy od kancelarii Boone & Boone, którą dwadzieścia pięć lat wcześniej zakładał wspólnie z

bratem. Przez te lata kancelaria coraz lepiej prosperowała i nabierała znaczenia, Ike zaś spadł przez ten czas do ligi podwórkowej, stracił uprawnienia adwokackie i zajmował się głównie wypełnianiem zeznań podatkowych dla uboższych klientów.

– Co u mojego ulubionego bratanka? – zapytał na widok Theo, który opadł na nieco chwiejne krzesło.

Takim samym pytaniem witał go w każdy poniedziałek.

– Świetnie, Ike, a co w twoim świecie? – odrzekł Theo, jego jedyny bratanek.

Stryjek uśmiechnął się i rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „Spójrz na mój świat. Jest pięknie”. Jednak wcale tak nie było. Jego świat był zagracony, ponury i przygnębiający. Świat Ike’a nie należał do szczęśliwych.

– Nie może być lepiej – powiedział. – Chcesz piwa?

– Jasne – odrzekł Theo.

Ike sięgnął za siebie do małej lodówki częściowo wbudowanej w regał i wyciągnął butelkę piwa dla siebie i puszkę sprite’a dla Theo. Chłopiec wziął zieloną puszkę, Ike zdjął kapsel z butelki, w tle cicho śpiewał Bob Dylan.

Ike pociągnął zdrowy łyk i spytał:

– A co tam w szkole?

– Nuda i strata czasu. Powinienem już chodzić do college’u i szykować się do studiów prawniczych.

– Masz trzynaście lat, więc nie możesz jeszcze chodzić do college’u. Wyglądałbyś tam śmiesznie z aparatem na zębach.

– Dzięki, że mi przypominasz.

– Więc na razie lepiej chodź do ósmej klasy. Nadal same szóstki?

– Prawie. – Theo najmniej ze wszystkiego chciał omawiać swoje stopnie. Nie bardzo też rozumiał, dlaczego Ike uważa, że ma prawo nękać go pytaniami o szkołę. – W zeszłym tygodniu poznałem Joego Forda – dodał, by całkowicie zmienić temat rozmowy.

Ike pociągnął kolejny łyk i powiedział:

– Założę się, że się nim zachwyciłeś. Gdzie?

– U nas w biurze. Przyszedł do taty w jakichś sprawach zawodowych. Należy do tych ludzi, którzy rozmowę z dzieckiem uważają za stratę czasu.

– Jeśli z czegoś nie można wycisnąć dolców, to dla Joego Forda jest to strata czasu.

– A potem zwolnił tatę z funkcji swojego prawnika. Wściekł się, gdy zobaczył mnie i Asesora w gazecie i przeczytał, że chcę walczyć z draniami zamieszkanymi w budowę obwodnicy.

– Rzeczywiście, trochę przesadziłeś.

– I co z tego. Byłem wściekły. Tata też się wściekł, kiedy firma Boone i Boone straciła tak cennego klienta. Zupełnie nie wiem, po co nasza mała kancelaria zajmuje się kimś takim jak Joe Ford, ale to pewnie nie moja sprawa.

Zapadło milczenie i dopiero po dłuższej chwili Ike powiedział:

– Słuchaj, nigdy osobiście nie zetknąłem się z Joem Fordem, ale trochę o nim słyszałem, zresztą jak większość obywateli naszego miasta. Nie sądzę, żeby był oszustem. Powiedzmy, że jest typowym biznesmenem, który zawsze szuka okazji. W Ameryce wszyscy tak postępują, nie? Ludzie pokroju Forda potrzebują pomocy prawników, więc nie ma nic złego w tym, że twój ojciec zajmował się jego obsługą prawną. Prawnicy też mają rachunki do zapłacenia, Theo.

– A jakbym ci powiedział, że coś widziałem? – bąknął Theo. – W biurze. W starych papierach odłożonych do archiwum. Wiesz, o czym mówię?

Ike spojrział na niego badawczo. Myszskowanie Theo po biurze skończyło się parę razy problemami i wybrnięcie z nich zwykle wymagało pomocy Ike'a.

– Coś związanego z Fordem i którymś z jego biznesów? – spytał.

Theo kiwnął głową.

– Coś związanego z nieruchomością przy Sweeney Road i budową obwodnicy?

Theo ponownie skinął głową.

– Coś, o czym pewnie nie wiem?

Theo kiwnął głową.

– Jakiś przekręt Turbo Forda?

Theo kiwnął głową.

– Znowu myszkowałeś i włamałeś się do komputera?

– Nie. I wcale nie myszkowałem. Zajmowałem się swoimi sprawami i tylko przypadkiem natknąłem się na segregator z papierami Forda. Czekał na odniesienie do archiwum.

Ike wiedział, że chłopiec rzadko ma jakieś swoje sprawy w kancelarii rodziców. Wstał z fotela, przeciągnął się, potarł sobie zarost na brodzie, potem podszedł do regału i wyłączył wieżę. Oparł się o ścianę i powiedział:

– Nie mów mi nic więcej, Theo. Relacja adwokat– klient jest ściśle poufna. Każdy klient ma prawo do ochrony i dyskrecji. Każdy aktualny i każdy były klient. Te akta nie dotyczą ciebie i źle zrobiłeś, że do nich zajrzałeś.

Theo poczuł się podle. Wiedział, że Ike ma rację, choć nie spodziewał się aż tak zdecydowanej reakcji. Ale stryj jeszcze nie skończył.

– Nie chcę wiedzieć, co jest w tych papierach. A ty masz o tym zapomnieć. Wyrażam się jasno?

O, tak!

– Adwokat ma obowiązek chronić interesy swojego klienta. Koniec, kropka.

– Rozumiem, Ike.

Ike opadł na obrotowy fotel i wlepił spojrzenie w bratanka. Zapadło długie niezręczne milczenie, przerwane w końcu przez Theo.

– Powinienem powiedzieć tacie? – zapytał.

– Nie. Po prostu o wszystkim zapomnij.

– Dobrze.

Parę minut później Theo opuścił biuro Ike'a i ruszył do kancelarii. Jakoś nie mógł się pogodzić z myślą, że odkryte przez niego sekrety pozostaną zagrzebane w archiwum kancelarii Boone & Boone i nikt nigdy się o nich nie dowie. Wydawało mu się to nie w porządku.

Rozdział 24

We wtorek po ostatnim dzwonku grupa aktywistów szybko zebrała się w szkolnej auli. Wiedzieli, że przez najbliższe pół godziny sala będzie wolna, bo potem zacznie się tu próba przedstawienia szóstoklasistów. Pan Mount wytargował te trzydzieści minut, dowodząc, że jego klub dyskusyjny musi poćwiczyć. Szybko urządzili scenę, tak by wyglądało, że szykują się do debaty, łącznie z mównicą pośrodku i stołami stron po bokach. Ponieważ nie zamierzali prowadzić prawdziwej debaty, krzesła na widowni ustawili blisko i posadzili na nich grupę kolegów Theo i Hardiego, którzy mieli udawać publiczność. Dla zapewnienia lepszej jakości nagrania pan Mount ustawił kamerę na statywie. Gdy wszyscy zajęli miejsca, pan Mount zaanonsował:

– A teraz głos zabierze Theodore Boone.

Theo wstał zza stołu, przy którym wraz z nim siedzieli Hardie, Chase i Woody. Wszyscy czterej mieli krawaty przypięte na zatrzaski, a twarze zasłonięte jasnożółtymi maseczkami chirurgicznymi. Theo wyszedł na środek i skinął głową drużynie przeciwnej, która składała się z Justina, Briana, Darrena i Edwarda, czterech ochotników z klasy pana Mounta. Oni też mieli krawaty na zatrzaski i żółte maseczki chirurgiczne. Widownia złożona z April i grupki kolegów z klasy Hardiego siedziała stłoczona blisko sceny. Ich twarze też osłaniały żółte maseczki chirurgiczne.

Ojciec Hardiego wyszukał w internecie ofertę po dziewięć dolarów za karton pięćdziesięciu sztuk masek w dowolnym kolorze.

Theo zsunął maskę i spojrzał prosto w kamerę.

– Nazywam się Theo Boone, tematem naszej dzisiejszej debaty jest tak zwana obwodnica Red Creek. – Dwukrotnie zakasłał i zasłonił sobie nos i usta maseczką. Na ścianie koło sceny wisiała duża mapa terenu, na której krwistoczerwoną krechą zaznaczono planowany przebieg obwodnicy, co przypominało krwawiącą ranę. Chłopiec wskazał ręką mapę i mówił dalej: – Obwodnicą wokół Strattenburga ma przebiec szosa numer siedemdziesiąt pięć, o, tędy. Przetnie rolnicze tereny podmiejskie i zburzy pięćdziesiąt domów mieszkalnych, kilka farm i szlak pieszych wędrówek oraz zabytkowy kościół. Sprowadzi też dwadzieścia pięć tysięcy pojazdów na dobę pod drzwi szkoły podstawowej Jacksona.

Jak na dany znak, słuchacze zaczęli gwizdać i buczeć.

– Doprowadzi też do likwidacji paru boisk do piłki nożnej – mówił dalej Theo – a w dwóch miejscach przetnie Red Creek.

Kolejne gwizdy i buczenie.

– Koszt budowy obwodnicy wyniesie dwieście milionów dolarów, a na jej powstanie mocno nalegają przedsiębiorcy, politycy i właściciele firm transportowych na południe i północ od Strattenburga.

Następna porcja protestów i gwizdów.

– Największe szkody obwodnica wyrządzi tu, w szkole podstawowej Jacksona, do której chodzi około czterech setek dzieci od zerówek po klasy piąte. Nie przeprowadzono rzetelnych badań poziomu hałasu i zanieczyszczenia powietrza, jakie obwodnica przyniesie szkole, można jednak z całą pewnością przewidzieć, że jakość powietrza ulegnie znacznemu pogorszeniu.

Tak jak było umówione, wszyscy – łącznie z członkami przeciwnej drużyny – zaczęli zanosić się kaszlem.

– Krótko mówiąc – zakończył Theo dramatycznym tonem – obwodnica to poroniony pomysł, strata pieniędzy i zagrożenie dla środowiska. Dlatego

nie powinna nigdy powstać. – Stanął obok mównicy i podniósł ręce, jakby szykował się do bójki na pięści.

Słuchaczom udało się opanować kaszel i wszyscy zaczęli bić brawo.

Jako przedstawiciel drużyny przeciwnej wstał Justin, podszedł do mównicy i nie zsuwając jasnożółtej maseczki z twarzy, powiedział:

– Wręcz przeciwnie. Obwodnica jest niezbędna po to, żeby niektórzy mogli na niej zbić majątek. Firmy transportowe, deweloperzy, firmy budowlane. Wszyscy oni zarobią mnóstwo pieniędzy. To szczególnie korzystne dla nich, ale także dla nas.

Głośne gwizdy i buczenie wśród słuchaczy.

– Im więcej zarobią, tym większe zapłacą podatki, przynajmniej niektórzy, a im większe będą wpływy z podatków, tym więcej nasi przywódcy będą mogli dla nas zrobić. Nie rozumiecie tego?

Słuchacze chyba nie rozumieli, bo nie przestawali buczyć i gwizdać.

Na środek wyszedł pan Mount.

– Dobrze, przerwijmy to teraz – oświadczył – i jeszcze pomyślmy.

Cały spektakl miał być częścią dwuminutowego wideo, w którym sekwencja debaty miała potrwać około trzydziestu sekund. Pan Mount zarządził powtórzenie całości, potem jeszcze raz. W trzecim dublu obie drużyny zaczęły się wydzierać i obrzucać obelżywymi epitetami: „Kłamca!”, „Oszust!”, „Szmaciarz!”, co bardzo podniosło temperaturę na sali. W stronę mównicy pofrunęły jakieś przedmioty, Justin nie przestawał perorować.

Dzięki maskom łatwiej było ukryć uśmiechy i parsknięcia. Po półgodzinnych zmaganiach Theo, Hardie i pan Mount uznali, że mają dość materiału, by zmontować dobry początek.

Dalsza praca nad filmem okazała się już trudniejsza. Do drugiej sceny musieli zaangażować więcej aktorów, a ryzyko, że coś może się nie udać, było dużo większe.

W środę po szkole ekipa zebrała się na starym boisku do softballu przy Gimnazjum Strattenburskim. Do rozpoczęcia sezonu softballowego zostało jeszcze kilka miesięcy i boisko powinno być wolne, jednak w Strattenburgu – tak jak w większości miast – pojęcie wolnego boiska praktycznie nie istniało. Trenerzy drużyn piłkarskich wykorzystywali każdy skrawek terenu na szybki trening i dochodziło nawet do bójk. Okazały ośrodek sportowy z dziesięcioma boiskami zbudowano właśnie po to, by zapewnić wystarczającą ilość miejsca do gry i ostudzić emocje, wszystkie boiska były jednak bez przerwy zajęte przez pięć popołudni w ciągu tygodnia i od rana do wieczora w weekendy. Wyglądało, że miejsc do gry w piłkę nożną nigdy dość.

Na boisku softballowym nikt jednak nie grał w piłkę nożną, w każdym razie nie w zorganizowanej grupie.

O czwartej zjechali się samochodami i rowerami aktorzy i statyści. Przybyło wielu kolegów Hardiego z drużyny Red United i ci od razu przebrali się w stroje piłkarskie. Trener Fortenberry przywiózł worek piłek, kilkanaście pomarańczowych pachołków, małą przenośną bramkę z siatką i koszulki treningowe dla „tych drugich”. Ci drudzy byli zbieraniną kolegów ze szkoły, których skrzyknęli Theo i Hardie. W sumie na boisku znalazło się kilkunastu chłopaków – połowa w trykotach Red United, połowa w białych koszulkach treningowych, wszyscy z twarzami zakrytymi żółtymi maseczkami chirurgicznymi, jakby obawiali się wdychać zatrute powietrze. Przy bocznych liniach ustawiły się gromadki rodziców z ręcznie wykonanymi transparentami, na których widniały hasła w rodzaju: **PRECZ Z OBWODNICĄ; CHROŃMY NASZE DZIECI; NIE! ZAGAZOWANIU PRZEZ OBWODNICĘ** i temu podobne. Rodzice też mieli na twarzach żółte maseczki, zjawіło się również liczne grono Quinnow i ich przyjaciół.

Dla większego efektu i dla dodania elementu komizmu trenerzy obu drużyn, panowie Fortenberry i Mount, wystąpili w wielkich maskach przeciwgazowych z czasów pierwszej wojny światowej. Maski nie były autentyczne – Hardie znalazł je w internecie po dziesięć dolarów za sztukę – ale wyglądały jak prawdziwe.

Theo odpowiadał za efekty specjalne. Po dokładnym sprawdzeniu kierunku wiatru wraz z Chase'em ustawił się na prawym końcu boiska. Gdy nikt nie patrzył, zapalili świecę dymną, rzucili ją na ziemię i szybko się zmyli. Lekki wiaterek rozwiął niebieskawy dym po całym boisku. Theo wcześniej zajrzał do przepisów i wiedział, że w mieście obowiązuje zakaz odpalania petard bez specjalnego zezwolenia. Oczywiście nikt nie wystąpił o zezwolenie, jednak w miejskich przepisach petardy zostały zdefiniowane jako „przenośne przedmioty i urządzenia, które po odpaleniu wydają głośny huk”. Zdaniem Theo oznaczało to, że używanie bezgłośnych świec dymnych nie jest zabronione i właśnie tak zamierzał się tłumaczyć, gdyby ktoś wezwał straż miejską. Tyle że było to mało prawdopodobne, bo kto miałby ją wezwać? Wszyscy na płycie boiska i wokół niego grali przecież w jednej drużynie.

Boisko zasnuła lekka mgiełka i gra się rozpoczęła, choć bardziej przypominało to wygłupy. Chłopcy wykopywali piłkę najdalej, jak się dało, po czym zginali się wpół, zanosząc się kaszlem, charcząc i chwiejąc na nogach, a nawet – zgodnie ze wskazówkami dzielnego reżysera Theo – padając na murawę, tarzając się i dusząc od dieslowskich wyziewów. Poza zawodnikami Theo i Hardie filmowali też widzów, transparenty i trenerów próbujących wykrzykiwać coś spod masek przeciwgazowych. Sfilmowali rzut kamy i padającego jak kłoda bramkarza, podczas gdy kopnięta piłka przelatywała obok i wpadała do bramki.

W patetycznej końcowej scenie wszyscy zawodnicy leżeli pokotem na boisku, dysząc i charcząc, niezdolni do kontynuowania gry. Przypominali oddział żołnierzy skoszonych na polu walki śmiertelną serią.

Do boiska podszedł starszy mężczyzna z sąsiedztwa, który z niepokojem zaczął się dopytywać, skąd się wziął ten dym.

Pytani wzruszali tylko ramionami.

– Nic wam nie jest, chłopcy? – pytał z troską w głosie.

Chłopcy wstawali z murawy i wciąż wzruszając ramionami, schodzili z boiska.

– Mam zadzwonić na dziewięćset jedenaście?

– Nie ma potrzeby – uspokoił go pan Mount.

– Dlaczego wszyscy są w maskach?

– Zanieczyszczone powietrze – rzucił Theo, wskakując na rower.

W sobotę po południu na wszystkich dziesięciu boiskach trwały mecze i samochody aż się wysypywały z parkingów. Hardie grał mecz przed południem, teraz miał wolne i mógł spotkać się koło podstawówki z Theo, Chase'em, Woodym i April, by nakręcić kolejną scenę. Ponieważ droga do szkoły ciągnęła się dalej w stronę boisk, kręciło się po niej mnóstwo samochodów i musieli uważać. Przebywanie w czasie weekendu na terenie szkoły publicznej nie było zabronione, Theo wolał jednak unikać jakichkolwiek pytań. Wiedział, że ochroniarze lubią zaglądać do szkół także nocą i w weekendy.

Chłopcy naciągnęli na twarze żółte maseczki i ustawili się przy wejściu, obok dużej tablicy z napisem:

SZKOŁA PODSTAWOWA JACKSONA

Potem obeszli główny budynek szkolny i weszli na dziedziniec. Nigdzie nie było śladu ochroniarzy ani nikogo z personelu szkoły. Theo zapalił

następną świecę dymną i szybko się oddalił. Po chwili dym zasnuł cały dziedziniec. Chase stanął za kamerą, Theo, April, Woody i Hardie wskoczyli na huśtawki i zaczęli się huśtać. Wszyscy mieli po trzynaście lat i byli za starzy na uczniów podstawówki, jednak dzięki maseczkom na twarzach i dalekiemu planowi z biedą mogli za nich uchodzić. Chase cofnął się z kamerą w poszukiwaniu odpowiedniego kadru i znalazł go pięćdziesiąt metrów od huśtawek. Scena była wymowna: chcąc się pohuśtać na przerwie, uczniowie muszą zasłaniać twarze maskami, by się chronić przed chmurą diesłowskich wyziewów.

– Idealnie! – krzyknął Chase do kolegów. – Po prostu super!

Theo i Hardie zostali na noc w domu Chase'a Whipple'a. Rodziny Boone'ów i Whipple'ów były zaprzyjaźnione i chłopcy często u siebie nocowali. Powiedzieli rodzicom, że chcą wspólnie obejrzeć dwa filmy na DVD, jednak prawdziwym powodem było zmontowanie ich wideo. Chase znał adres w internecie, skąd można było ściągnąć dowolne wstawki. Za sześć dolarów (zapłaconych kartą kredytową przez ojca Hardiego) kupili ujęcia prawdziwych osiemnastokołowych monstrów szosowych, gnających po zatłoczonej szosie i buchających kłębamii spalin ze sterczących w górę rur wydechowych, a także widoczki z czteropasmowej szosy, zatłoczonej wolno poruszającymi się pojazdami. Za zgodą Sebastiana Ryana ściągnęli też zdjęcia, wykresy i nagrania ze strony Rady Ochrony Środowiska okręgu Stratten.

Wszystko trafiło do laptopa Chase'a, gdyż to on był głównym montażystą filmu. Chase potrafił zrobić na komputerze dużo więcej niż ktokolwiek, kogo znali. Miał powgrywane całe albumy z muzyką, filmy i samodzielnie wykonane animacje, a także swoje projekty naukowe i ilustrowane opowiadania. Prowadził interaktywne czaty z dziećmi z całego świata. Na dorocznych szkolnych olimpiadach komputerowych przez trzy

lata z rzędu zdobywał złote medale, wygrywając z zawodnikami o kilka lat starszymi od siebie. Jeśli coś było w internecie, Chase umiał to znaleźć i to tak błyskawicznie, że jego konkurent nie zdążył jeszcze włączyć komputera. Każde nowe oprogramowanie Chase potrafił rozgryźć w ciągu paru minut.

Reszta się przyglądała, podrzucała pomysły i czasami spierała. Na ich oczach wideo nabierało kształtu.

Film zaczynał się czarnym ekranem z dochodzącym zza niego głośnym warkotem potężnego silnika dieslow- skiego, po czym powoli rozświetlał się tytuł Obwodnica donikąd i narastał towarzyszący mu ryk silnika. Ukazywał się Theo, który się przedstawiał i zakrywał sobie twarz jasnożółtą maseczką chirurgiczną. W trakcie jego wypowiedzi przeciwko obwodnicy kamera prześlizgiwała się po twarzach słuchaczy w żółtych maskach i zatrzymywała na drużynie przeciwnej. Słuchacze buczeli i gwizdali, debata się rozkręcała. Następnie widz odbywał wirtualną podróż planowaną obwodnicą, co zostało ściągnięte ze strony ROŚ. Gdy obraz zbliżał się do szkoły podstawowej Jacksona, z offu odzywał się posępny głos narratora, Sebastiana Ryana, który wyliczał niebezpieczeństwa grożące uczniom szkoły. Cięcie i na ekranie pojawiała się czwórka aktywistów w żółtych maseczkach. W warstwie dźwiękowej znowu słyhać było ryk potężnych silników, obraz przedstawiał beztrósco huśtających się uczniów, których otulała mgła szkodliwych spalin.

Świeca dymna sprawdziła się bezbłędnie i trzech filmowcy poczuli rozpierającą ich dumę.

Potem ekran wypełniła twarz młodej matki, która ocierając łzy, skarżyła się na nieznanne niebezpieczeństwa, na jakie dwadzieścia pięć tysięcy pojazdów na dobę narazi uczniów szkoły Jacksona. Jak władze okręgu mogły do tego dopuścić? Jak mogą nie dbać przede wszystkim o zdrowie i bezpieczeństwo dzieci?

W następnej scenie następował powrót do debaty w auli i kamera pokazywała wystąpienie Justina, który przekonywał, że obwodnica jest niezbędna do osiągnięcia dodatkowych zysków. Słuchacze reagowali na jego słowa buczeniem i gwizdami, ktoś nawet rzucił w niego kulką papieru. Głos Justina przeszedł do offu, a na ekranie ukazywała się czteropasmówka, zatłoczona jadącymi zderzak w zderzak samochodami osobowymi i osiemnastokółowcami.

Udawany mecz piłki nożnej stanowił punkt kulminacyjny. Chase nałożył przenikające się obrazy zawodników, którzy zamiast grać, kaszlą i krztuszą się w trujących wyziewach, ich rodziców, którzy w żółtych maseczkach na twarzach dopingują swoje dzieci, wymachując tablicami z hasłami protestacyjnymi, i trenerów, którzy w wielkich maskach przeciwgazowych próbują wykrzykiwać coś do zawodników. Gdy w końcu wszyscy padają na murawę i nieruchomieją, kamera robi zbliżenie na Asesora, który siedzi na trybunie z usztywnieniem na złamanej łapie i żółtą maską na pysku.

Obraz powoli zniknął, a na ciemnym ekranie ukazywał się wielki napis:

CHROŃMY NASZE DZIECI. PRECZ Z OBWODNICĄ.

Po obejrzeniu całości po raz drugi chłopcy nie mogli opanować radosnego śmiechu. Nawet za cenę nazwania ich chwalipiętami byli gotowi się upierać, że wyszło im genialnie. Jeszcze tu i ówdzie coś zmienili, coś dodali, coś wycięli, i gdy o jedenastej pani Whipple przyszła powiedzieć, że pora iść spać, film był całkowicie gotowy.

Chase spytał matkę, czy chce zobaczyć ich dzieło. Oczywiście chciała. Pani Whipple już dawno nauczyła się nie dziwić temu, co jej syn potrafi robić z laptopem. Zresztą nie miała ku temu wielu okazji, bo Chase większość swoich komputerowych wyczynów skrupulatnie ukrywał przed

rodzicami. Dlatego gdy sam zaprosił do obejrzenia filmu, nawet nie przyszło jej do głowy, żeby odmówić.

Przez dwie minuty chłopcy wstrzymywali oddechy, czekając na reakcję pierwszego widza. Pani Whipple się uśmiechała, marszczyła czoło, a raz nawet parsknęła śmiechem, gdy piłkarze pokotem padali.

– Bardzo dobre – powiedziała z uśmiechem. – Naprawdę świetne. I co zamierzacie z tym zrobić?

– Jeszcze się zastanawiamy – odrzekł Theo.

– Nie dziwię się. A teraz czas do łóżek.

Po jej wyjściu Chase usiadł do laptopa i wysłał film do pana Mounta i do Sebastiana Ryana w ROŚ.

Rozdział 25

W niedzielę o piątej po południu Chase wpuścił wideo *Obwodnica donikąd* na ich stronę na Facebooku (tak samo nazwaną), a także na YouTube. Strona zaliczyła ponad dwieście lajków i zaczęło się rozsyłanie linków do filmu. Sebastian Ryan wysłał link do innych grup ekologów przeciwnych budowie obwodnicy, te zaś powiadomiły e-mailami swoich członków.

Tuż przed zgaszeniem światła w niedzielę wieczorem Chase ponownie wszedł na YouTube. Wideo zdążyły już obejrzeć tysiąc osiemset osiemdziesiąt trzy osoby, w tej liczbie rodzice Theo, którzy zdawali się zasadniczo zgadzać z jego przesłaniem, martwiło ich jednak publiczne włączenie się syna w tak paskudną awanturę polityczną.

W poniedziałek rano Theo od razu zajrzał na YouTube i stwierdził, że ich film widziały już ponad trzy tysiące osób. W szkole nie mówiono o niczym innym, w porze lunchu liczba widzów wzrosła do ponad czterech tysięcy. Gdy Theo wspinał się po schodkach do biura Ike'a na cotygodniowe spotkanie, wideo miało już blisko pięć tysięcy wejść.

W niedzielę wieczorem Theo wysłał e-mail do Ike'a, a ten podzielił się linkiem ze wszystkimi znajomymi i przeczytał wiele zamieszczonych postów.

– Na ogół pozytywne – powiedział. – Wygląda, że trafiłeś w dziesiątkę, chłopcze.

Theo też przeczytał wiele komentarzy do ich wideo i był zachwycony szerokim oddźwiękiem. Najwyraźniej większość piszących była przeciwko

obwodnicy i z radością witała film, w którym potępiano jej budowę. Większość przyznawała, że śmiała się przy scenie z padającymi na murawę piłkarzami, których zmogły trujące wyziewy. Oczywiście pojawiły się też uwagi krytyczne. Jeden z piszących nazwał wideo „taniami wypocinami kilku smarkaczy, którzy nie głosują, nie prowadzą samochodów, nie płacą podatków i najwyraźniej nie umieją czytać gazet”. Jednak w większości reakcja była bardzo pozytywna.

Ike chciał wiedzieć, jak je nakręcili, i Theo szczegółowo opowiedział mu o pracy nad filmem. Przyznał, że użycie świec dymnych było jego pomysłem, a maseczki chirurgiczne wymyślił Hardie. Stryj był zachwycony pomysłem wykorzystania w filmie Asesora, stwierdził jednak, że w żółtej masce na pysku pies wyglądał dość żałośnie.

Pośmiali się jeszcze przez dobre pół godziny, po czym Theo zebrał się do wyjścia. Żaden z nich ani słowem nie wspomniał o tym, na co chłopiec natknął się w papierach Forda. Theo oczywiście o tym nie zapomniał, nie wiedział tylko, co powinien w tej sprawie zrobić.

We wtorek po przerwie obiadowej dyrektorka szkoły, pani Gladwell, wezwała do siebie Theo. W gabinecie czekał na niego Norris Flay z „Gazette” z typowym dla siebie pogardliwym uśmiechem na twarzy. Flay posiadał umiejętność wyglądanego zawsze tak, jakby dopiero co wstał z łóżka. Ubranie miał wymiętoszone, włosy sterczały w nieładzie i jak zwykle był nieogolony. Theo widywał schludniej wyglądających bezdomnych mieszkańców miasta.

– Pan mówi, że chce z tobą porozmawiać – powiedziała pani dyrektor. Wszyscy troje stali na środku w jej gabinecie.

– My się już znamy – odrzekł Theo, przyglądając się nieufnie reporterowi.

– Piszę artykuł o waszym filmie, Theo. Jest bardzo ciekawy i chciałbym porozmawiać o nim z tobą i twoimi kolegami. Tymi, którzy brali udział w jego powstaniu. Rozchodzi się po ludziach wirusowo, nie uważasz? Dziesięć tysięcy wejść w ciągu pierwszych trzydziestu sześciu godzin.

– Nieźle sobie radzi – przyznał Theo.

– Narobił szumu, a to już jest coś. Dlatego tu jestem.

Norris Flay był wszędzie, wiecznie grzebiąc w śmieciach, jednak czasem natrafiając też na dobry materiał na artykuł.

– Co pani o tym myśli, pani dyrektor? – spytał Theo.

– Na twoim miejscu porozmawiałabym najpierw z rodzicami.

– Dobry pomysł.

Theo wyszedł z gabinetu i zadzwonił do matki. Pani Boone uważała, że narobił już wystarczająco dużo szumu wokół siebie, z drugiej jednak strony głos kilku uczniów mógł ostatecznie zaważyć na losie obwodnicy. Ostrzegła syna, by uważał na dobór słów i zdecydowanie odpuścił sobie epitety w rodzaju „drań” czy „oszust”, kazała mu unikać odpowiedzi na pytania o świece dymne i wyraziła zgodę.

Po szkole Theo, Hardie, Woody, Chase i April spotkali się w pustej klasie z Norrisem Flayem. Towarzyszył im pan Mount, który uważnie wsłuchiwał się w każde wypowiedane słowo. Flaya wyraźnie rozbawiło ich wideo – stwierdził, że też jest przeciwnikiem obwodnicy – i jego pytania były przyjazne i pozbawione napastliwości. Podziwiał ich talent filmowy, wrażenie zrobiła na nim też ich bogata wiedza o sprawie. Przyznał, że wzorowo się przygotowali i o obwodnicy wiedzą więcej od części polityków, z którymi przeprowadzał wywiady. Hardie bardzo obrazowo opisał totalną zagładę rodzinnej farmy i życia dziadków; Theo lepiej orientował się w kwestii przymusowego wywłaszczenia na cele publiczne niż pewni prawnicy, z którymi Flay rozmawiał. Reporter miał aparat

fotograficzny i pstryknął kilka grupowych zdjęć. Nie potrafił powiedzieć, kiedy jego artykuł się ukáže, sądził jednak, że niedługo.

Następnego dnia Theo obudził się o wpół do siódmej, od razu zajrzał do internetu, sprawdził poranne wydanie „Strattenburg Gazette” i zmartwił. Wielki tytuł na pierwszej stronie głosił:

WIRUSOWE WIDEO ATAKUJE OBWODNICĘ

Pod nim zamieszczono dwie barwne fotografie. Na pierwszej, przekopiowanej z wideo, widać było grupkę aktywistów z twarzami zasłoniętymi żółtymi maseczkami chirurgicznymi, którzy stali pod tablicą z nazwą szkoły podstawowej Jacksona. Pod nią znajdowała się fotografia tej samej grupy, zrobiona wczoraj przez Norrisa Flaya i podpisana ich pełnymi imionami i nazwiskami.

Z kamieniem w żołądku Theo zabrał się do czytania zamieszczonego poniżej tekstu, modląc się w duchu, by autor nie włożył mu w usta jakiejś wypowiedzi, za którą mógłby się narazić prawu. Na szczęście nie. Właściwie Flay napisał całkiem sympatyczny artykuł, w którym zrelacjonował treść filmu obejrzanego dotąd przez piętnaście tysięcy osób i nawet zamieścił link do YouTube. Pisał, że wideo narobiło kłopotów pięciu członkom Komisji Okręgu, którzy odebrali mnóstwo bardzo napastliwych telefonów i jeszcze bardziej napastliwych e-maili, a wielu poirytowanych obywateli zjawiało się osobiście w siedzibie władz okręgowych, domagając się rozmowy twarzą w twarz z komisarzami. Flay odwiedził też szkołę podstawową Jacksona i przeprowadził kilka rozmów z rodzicami tamtejszych uczniów. Matka czworga dzieci oświadczyła, że w jej rodzinie jest siedemnastu zarejestrowanych wyborców i żaden z nich nigdy nie

zagłosuje na komisarza, który za dwa tygodnie poprze budowę obwodnicy. Inna matka powiedziała, że zabierze dwójkę swoich dzieci ze szkoły Jacksona i przeniesie je do prywatnej placówki. Jeden z rozeźlonych ojców oznajmił, że namawia innych rodziców do wynajęcia kancelarii adwokackiej i rozpoczęcia wojny z obwodnicą. Zastrzegająca sobie anonimowość nauczycielka z zerówki oświadczyła, że jest „zaszokowana brakiem troski władz o dobro naszych dzieci”.

Jak można się było spodziewać, jedynym członkiem komisji skłonny do rozmowy okazał się Mitchell Stak, który jak zwykle był pewny swego. Stwierdził, że nie widział wideo, które nazwał „dziecinnym wygłupem”. Zachęcił wszystkich do telefonowania, pisania e-maili i listów oraz osobistych kontaktów, powtarzając, że na tym polega demokracja, że wierzy w piątą poprawkę i swobodę wypowiedzi i że namawia wszystkich mieszkańców okręgu do wypowiadania się. Po czym zaczął się rozwodzić nad masą korzyści z obwodnicy.

– I ani słówka o zięciu, który zbije na niej majątek – mruknął pod nosem Theo.

Rozległo się ciche pukanie, drzwi się otworzyły i stanęła w nich pani Boone.

– Dzień dobry, Theo. Widzę, że nie mogłeś się ju; doczekać, żeby zajrzeć do gazety, co?

Theo uśmiechnął się niepewnie, jakby matka na czymś go przyłapała.

– Dzień dobry, mamusiu.

– Zrobiłam kakao – oznajmiła mama, unosząc dwa wysokie kubki.

– Dzięki, mamó. – Usiadła obok niego na łóżku, Asesor przysunął się jeszcze bliżej, jakby w nadziei na porcję kakao dla siebie.

– Sympatycznie napisane, prawda? – powiedziała z uśmiechem.

– Bardzo sympatycznie – potwierdził Theo. – Trochę się denerwowałem.

– To dobrze. W kontaktach z prasą zawsze lepiej zachować czujność. Ale widzę, że tym razem Norris Flay się postarał.

– Tata już czytał?

– Oczywiście. Rozmawialiśmy o tym w kuchni.

– Jest na mnie zły?

Pani Boone poklepała go po kolanie.

– Nie, kochanie. Oboje z ojcem jesteśmy z ciebie dumni. Martwi nas tylko to, że wpakowałeś się w sam środek awantury, w której chyba nie ma miejsca dla dzieci.

– Tak sądzisz, mammo? To co z dziećmi, które chodzą tam do szkoły i grają w piłkę? Z tymi, które będą musiały oddychać spalinami? A co z takimi jak Hardie, których rodzina straci swoją ziemię, i takimi, którzy tracą domy?

Pani Boone upiła łyk kakao i uśmiechnęła się. Wiedziała, że Theo ma rację, tyle że był za młody, by wiedzieć, jak brutalna potrafi być polityka, gdy gra idzie o tak wysokie stawki.

– Theo, nie przyszłam tu, żeby się kłócić. Powiedzmy tyle, że ojciec i ja chcemy cię uchronić przed niebezpieczeństwem.

– Wiem, mammo. Wierz mi, że wiem.

Oboje zapatrzyli się w podłogę i zapadło milczenie. Po chwili Theo pociągnął duży łyk kakao i powiedział:

– Mammo, w przyszły wtorek odbędzie się ta publiczna sesja komisji. Bardzo bym chciał na niej być. Nie będziecie mieli nic przeciwko temu?

– Skąd. Ja też się tam wybieram. Jestem przeciwniczką budowy obwodnicy i chcę dać temu wyraz w obecności komisarzy.

– Bomba! A tata?

– Tata pewnie sobie odpuści. Wiesz, że nie przepada za długimi nasiadówkami.

– Jasne.

Matka wyszła, wkrótce potem Theo i Asesor też zbiegli na dół. Jego codzienny rytuał – prysznic, mycie zębów, założenie aparatu, ubranie się, śniadanie – zajął mu dużo mniej czasu niż zwykle.

Nie mógł się już doczekać, by znaleźć się w szkole.

Rozdział 26

W nocy w swoim pokoju Theo włączył laptop i zaczął pisać list. Myśl o napisaniu go dojrzała w nim od kilku dni i choć wątpił, by zdobył się na jego wysłanie, chciał dręczące go myśli ubrać w słowa:

Szanowny Panie Stak.

Jestem w posiadaniu dokumentów, z których niezbicie wynika, że Pański zięć, Stu Malzone, jest właścicielem 20 procent udziałów w firmie Trust Nieruchomości Parkina. Reszta udziałów należy do Joego Forda i dwóch innych osób.

Posiadam także kopię dokumentu o nazwie Opcja, który daje TNP prawo zakupu od pana Walta Beesona osiemdziesięciu hektarów ziemi w pobliżu Sweeney Road, a transakcja ta dojdzie do skutku pod warunkiem, że Komisja Okręgu Stratten zatwierdzi budowę obwodnicy.

Z dokumentów wynika, że Pański zięć może na tym zarobić majątek. To dla Pana poważny konflikt interesów. Nie wiem, czy Joe Ford coś Panu obiecał, ale myślę, że prasa z przyjemnością zacznie grzebać w Pańskich śmieciach. Dlatego ostrzegam: jeśli we wtorek wieczorem zagłosuje Pan za budową obwodnicy, wszystkie dokumenty trafią do Norrisa Flaya ze „Strattenburg Gazette”. Jeśli zagłosuje Pan przeciwko, konszachty między Joem Fordem a Pańskim zięciem nie zostaną ujawnione, w każdym razie nie przeze mnie.

Z poważaniem
Zatroskany Wyborca

Po dokładnym przestudiowaniu przepisów Theo nabrał pewności, że wysyłanie anonimów nie jest karalne. Każdy ma prawo skorzystać z usług poczty amerykańskiej i wysłać list czy paczką bez podania nadawcy. Jeśli tylko anonim nie zawiera gróźb karalnych, jego nadawca nie może zostać oskarżony o przestępstwo. Zakładając, oczywiście, że w ogóle uda się go ustalić.

Co to są groźby karalne? Theo spędził wiele godzin, walcząc w myślach to pytanie. By można było uznać groźbę za przestępstwo, groźący musi mieć wyraźny zamysł oraz możliwość wprowadzenia swojej groźby w życie. Na przykład jeśli A mówi, że zabije B, ale robi to w sposób nieszkodliwy, to przestępstwa nie ma. Podobnie jeśli A grozi B śmiercią, ale sam jest kaleką z cztero-kończynowym porażeniem i jeździ na wózku, to nie ma możliwości zrealizowania swojej groźby. Natomiast jeśli A podchodzi poważnie do swoich gróźb i jest w stanie wcielić je w czyn, wówczas dopuszcza się przestępstwa.

Theo najbardziej kochał prawo za tego typu rozważania.

Jednak groźba Theo, że ujawni ciemne interesy Mitchella Staka, nie mogła być uznana za przestępstwo, nawet gdyby przyjąć, że Theo mówił poważnie i był w stanie zrealizować swoją groźbę. Dlaczego? Bo ujawnienie czyjejś korupcji to coś zupełnie innego niż zabicie go. Ujawnienie korupcji nie jest przestępstwem; morderstwo niewątpliwie nim jest.

Theo ponownie przeczytał swój list i poczuł jeszcze większy niepokój. Czuł się jak Dawid zaczepiający Goliata. Mitchell Stak był wpływowym politykiem, który od piętnastu lat zasiadał w Komisji Okręgu – dłużej niż

Theo żył na tym świecie. Jak może w ogóle myśleć o nastraszeniu kogoś takiego?

Z drugiej strony Theo był spokojny, że nie zostałby przyłapany, przynajmniej w teorii. Gdyby miał wysłać ten list, to zrobiłby to tak, by nikt nigdy się nie dowiedział, kto był jego nadawcą. W końcu na tym polegają anonimy, prawda? Nadawca kryje się za murem anonimowości. Użyłby gumowych rękawiczek i nie polizałby znaczka. Wszystko zostałoby wydrukowane, ani jednej literki nie napisałby odręcznie i by zatrzeć wszelkie ślady, użyłby drukarki w szkole. Mógłby wrzucić list do skrzynki w jakimś odludnym miejscu, gdzie nie byłoby kamer monitorujących. Z pewnością by sobie z tym poradził.

Jednak wciąż nie był przekonany co do słuszności takiego postępowania, bo pachniało to trochę tchórzostwem. Musi istnieć jakiś inny sposób na rozprawienie się z nieuczciwym politykiem niż chowanie się po kątach i wysyłanie niepodpisanych listów. Jednak po trzech dniach intensywnego myślenia Theo nic innego nie wymyślił.

Wyłączył laptop, zgasił światło, wymacał nogami rozciągniętego na łóżku Asesora i spróbował zasnąć. Jednak nie udawało mu się nawet zamknąć oczu.

Jego list był tylko blefem i niczym więcej. Nie stanowił prawdziwej groźby, bo Theo nigdy nie mógłby ujawnić swojej wiedzy. Nie mógłby pokazać Flayowi ani nikomu innemu papierów leżących w archiwum kancelarii Boone & Boone. Theo znał zasady, a słowa Ike'a jeszcze go w nich utwierdziły. Sprawy klientów kancelarii prawnej były objęte ścisłą tajemnicą adwokacką i w żadnych okolicznościach nie mogły być ujawnione.

Ale czemu nie miałby wysłać tego listu? Przecież nic złego się nie stanie. To nie przestępstwo. Teczki z dokumentami Joego Forda pozostaną nietknięte. A Stak przeczyta list, od razu się zorientuje, że jego nadawca zna

prawdę, i może się zląknąć, że prawda wyjdzie na jaw. Była duża szansa, że tak się wystraszy, że zagłosuje przeciwko obwodnicy.

Więc czy wysłanie listu będzie słuszne, czy niesłuszne? Theo dumał o tym po ciemku, wierząc się na łóżku i czując na sobie wzrok Asesora. A potem przyszło mu jeszcze coś do głowy. Czy wysyłając ten anonim, ujawni Stakowi machinacje Joego Forda w sprawie obwodnicy? Oczywiście, że tak. Tyle że Stak już przecież wie o potajnym zakupie ziemi przy Sweeney Road, więc z listu Theo nie dowie się niczego, o czym wcześniej by nie wiedział. Czy w takim przypadku będzie to nadal ujawnienie tajemnic klienta? „Może tak”, powiedział Theo na głos. „A może nie”.

Twarda gula w żołądku powróciła i nagle poczuł, że musi skorzystać z ubikacji. Minęła północ, a on siedział po ciemku na łóżku i skulony nad laptopem obmyślał nowe pomysły na wtorkową sesję Komisji Okręgu. Na chwilę przestał nawet myśleć o liście.

Tej nocy krótko spał, bo o wpół do siódmej był już w łazience, przemywając sobie twarz wodą. Włączył laptop i jak ostatnio miał w zwyczaju, od razu wszedł na YouTube. Ich wideo miało już trzydzieści jeden tysięcy wejść i chłopiec jeszcze raz je obejrzał, nie mogąc opanować radosnego podniecenia. Potem wszedł na portal „Gazette” i na pierwszej stronie znalazł kolejny tekst Norrisa Flaya. Reporter znów odwiedził szkołę podstawową Jacksona i przeprowadził rozmowę z jedną z nauczycielek, która miała dużo do powiedzenia. Nauczycielka nazywała się Rooney i poinformowała Flaya, że ona i jej trzecia klasa zaczęła na znak protestu chodzić z żółtymi maseczkami chirurgicznymi na twarzach. Pomysł podchwyciły inne trzecie klasy, potem czwarte i w gazecie wydrukowano śliczną kolorową fotografię gromady dzieci, które pozowały na dziedzińcu szkolnym w żółtych maskach na twarzach.

Żółte maski. Cóż to był za świetny pomysł.

Pod zdjęciem zamieszczono kolejny artykuł o obwodnicy. Poprzedniego dnia w Strattenburgu pojawił się sam gubernator, który przyjechał wspierać zwolenników obwodnicy i naciskać na jej budowę. Podczas lunchu miejscowego Klubu Biznesu wygłosił mowę, w której jak zwykle rozwodził się o licznych korzyściach, jakie środowisko biznesu odniesie z nowej obwodnicy. Artykuł okraszono zdjęciem, na którym stoi uśmiechnięty w towarzystwie dwóch członków Komisji Okręgu: Mitchella Staka i Lucasa Grimesa. Gubernator obu nazwał „nieustraszonymi przywódcami”, którzy nie boją się podejmować trudnych decyzji.

Wpatrując się w oczy Mitchella Staka, Theo postanowił, że jednak wyśle ten list.

Wstrzymał się z tym do piątku po południu. Wcześniej wypatrzył odpowiednią skrzynkę pocztową niedaleko sklepu rowerowego Gila, w którym bywał częstym klientem. Była standardowym niebieskim pudłem z blachy, jakim poczta amerykańska posługuje się w całym kraju. Znajdującą się u góry szczelinę wrzutową zasłaniała masywna klapka. Na żadnym z okolicznych domów Theo nie dojrzał kamer monitorujących.

Miał z sobą trzy listy, wszystkie w jednakowych kopertach. Wydrukował je na czystym białym papierze, jakiego tysiące arkuszy można znaleźć w każdym biurze prawniczym. Koperty też były białe, bez żadnych nadruków, ale różniły się adresami. Na wszystkich widniał ten sam fikcyjny adres nadawcy: Toby Clemons, zamieszkały przy Gorewood Street 667 w Strattenburgu (Theo upewnił się, że w książce telefonicznej nie figuruje nikt o tym nazwisku, a w mieście nie ma takiej ulicy; postanowił podać na kopertach adres zwrotny, by dodać listom autentyczności), inne natomiast były adresy odbiorcy. Na jednej wpisał prywatny adres Staka, druga była zaadresowana do jego sklepu z artykułami żelaznymi, trzecia zaś do biura przewodniczącego Komisji Okręgu.

Listy wybierano ze skrzynki codziennie o osiemnastej. Dziesięć po czwartej w piątek podenerwowany Theo z trzema listami w plecaku podjechał w upatrzone miejsce. Nie umiałby powiedzieć dlaczego, ale miał uczucie, jakby się dopuszczał poważnego przestępstwa. Od tygodnia borykał się z tą sprawą, roztrząsając ją w myślach na wszelkie możliwe sposoby i rozpatrując wszystkie „za” i „przeciw”, aż w końcu podjął decyzję. Uznał, że w wysłaniu listu nie ma nic złego. Może nie jest to zupełnie w porządku, ale nie grozi mu za to wpadnięcie w tarapaty, a jego działanie może się przyczynić do odstąpienia od budowy obwodnicy, co uratuje farmę Quinnow, uchroni dzieci przed oddychaniem zanieczyszczonym powietrzem i tak dalej, i tak dalej. Theo nabrał pewności, że postępuje słusznie.

Tyle że tę pewność miał w szkole, w biurze i w drodze do skrzynki, jednak gdy zsiadł z roweru i wyjął listy z plecaka, jakiś wewnętrzny głos zaczął go powstrzymywać. „Nie wysyłaj tych listów. To niewłaściwe i ty o tym wiesz. Wykorzystujesz poufne informacje, do których nie masz prawa. Gdybyś był prawnikiem, a nie dzieckiem-prawnikiem, złamałbyś zasady etyczne zawodu i mógłbyś się narazić na poważne kłopoty. Nie rób tego, Theo”.

Serce mu waliło, nogi miał jak z kamienia. Wiedział, że powinien posłuchać głosu rozsądku. To, że coś nie jest jednoznacznie niesłuszne, jeszcze nie znaczy, że jest to słuszne. Ike powiedział mu kiedyś, że w sądzie wielcy prawnicy zawsze kierują się wewnętrznym przekonaniem. W tej chwili jego wewnętrzne przekonanie protestowało.

Wrzucił listy z powrotem do plecaka i pędem ruszył w drogę powrotną. Zanim minął pierwszą przecnicę, już czuł się dużo lepiej. Ostro pedałując, zaczął swobodniej oddychać i uśmiechać się w duchu. Miał wrażenie, jakby plecak z listami ważył teraz dużo mniej.

Rozdział 27

Theo nie był tak podekscytowany żadnym wydarzeniem od czasu pierwszego dnia procesu Pete'a Duffy'ego. Wtedy sędzia Gantry, jego przyjaciel, pozwolił klasie pana Mounta usiąść na galerii w swej ogromnej sali. Na dole dla widzów były tylko miejsca stojące – w końcu był to największy proces o morderstwo w historii Strattenburga – i Theo z kolegami mieli szczęście, że w ogóle się dostali.

Dziś jednak wyglądało to całkiem inaczej. Publiczną sesję komisji wyznaczono na dwudziestą i już dwie godziny wcześniej przed siedzibą władz okręgu zaczęli się gromadzić chętni do uczestniczenia w obradach. Przed wielkim wejściem ustawiała się kolejka tych, którzy chcieli zapewnić sobie dobre miejsca siedzące. Po chodniku kręciły się grupki z planszami i transparentami, których treść wskazywała na to, że demonstranci są przeciwni budowie obwodnicy. Do pracy szykowały się dwie ekipy telewizyjne.

Theo przyjechał rowerem o wpół do siódmej i dołączył do czekających już Hardiego, Woody'ego, Chase'a i April. Znaleźli sobie miejsce przy pomniku przed głównym wejściem i zaczęli rozdawać chętnym żółte maseczki chirurgiczne. Ojciec Hardiego kupił ich ogromny zapas i przyjechał, by im pomagać w rozdawaniu. Ściślej mówiąc, nie tylko on, bo stawiła się niemal cała rodzina Quinnow.

Wzbogacili też swoją akcję protestacyjną o nowy element. April zaproponowała, by do masek dodawać żółtą bandanę z napisem TRUJĄ wykonanym dużymi czarnymi literami na żółtym tle. W żółtej masce i dopasowanej kolorystycznie bandanie ze słowem TRUJĄ każdy dzieciak

wyglądał jak groźny terrorysta. Wkrótce zebrał się wokół nich spory tłumek dzieci i dorosłych, którzy wyciągali ręce po bezpłatne maski i bandany. Ktoś z ekipy telewizyjnej to wypatrzył i zaczęto ich filmować.

O siódmej na niewielkim placyku przed budynkiem były już setki ludzi, w tym wiele dzieci z głowami przybranymi na żółto. Na Main Street zrobił się korek, wszystko praktycznie stanęło w miejscu. Drzwi do budynku wreszcie otwarto i tłum zaczął wpychać się do środka.

Publiczne sesje Komisji Okręgu odbywały się w wielkim audytorium z wysokim sklepieniem, wysokimi oknami i rzędami ustawionych amfiteatralnie wyściełanych siedzeń. Na podium przed widownią stał długi stół z tabliczkami z nazwiskami i pięcioma mikrofonami, za nim pięć ogromnych foteli. Za fotelami ciągnął się rząd krzeseł dla całej armii asystentów.

Gdy Theo ostatecznie udało wcisnąć się do środka, dochodziło wpół do ósmej i wszystkie miejsca siedzące były już zajęte, a ludzie stali pod ścianami. Znalazł miejsce z tyłu, rozejrzał się po sali i z satysfakcją stwierdził, jak dużo widać żółtego. Całe gromady dzieci miały na głowach żółte maski i bandany, wielu rodziców też się tak przystroiło.

Jeden z asystentów poprosił publiczność o ciszę. Komisarze rozpatrywali jakąś inną sprawę i z szacunku dla ich pracy wypadało zachować spokój na sali. Theo spojrzął w dół i dojrzał za stołem pośrodku zasepioną twarz Mitchella Staka. Theo nie miał wątpliwości, że to on, bo jako przewodniczący komisji musiał siedzieć w środku. Siedzący po bokach czterej koledzy – sami biali mężczyźni – też nie wyglądali na zbyt uradowanych.

Otwarto wejście na galerię i wkrótce tam także wszystkie miejsca zapełniły się publicznością. Szef ochrony przeciwpożarowej budynku oznajmił, że w audytorium znalazła się dopuszczalna liczba widzów i nikt więcej nie zostanie wpuszczony. Daleko w głębi sali Theo dostrzegł matkę, choć ona oczywiście nie mogła dojrzeć jego, bo miał twarz zasłoniętą żółtą

maską, czoło zakrywała żółta bandana z napisem TRUJĄ i wyglądał jak setki innych dzieci w audytorium. Spróbował do niej pomachać, ale go nie rozpoznała i nie odmachwała. Pana Boone'a nie było na sali.

Członkowie komisji zrobili sobie przerwę i wyszli z sali. Po widowni rozszedł się pełen oczekiwania nerwowy szmer. Widać było na oko, że liczba przeciwników obwodnicy przewyższa liczbę zwolenników co najmniej dziesięciokrotnie i aż trudno było uwierzyć, by komisja odważyła się zadrzeć z taką większością. Po paru minutach członkowie komisji powrócili na miejsca za stołem i rozejrzeli się po nabitej sali. Chyba najbliższe trzy godziny nie napawały ich zbytnim optymizmem.

Stak przysunął sobie mikrofon i rozpoczął sesję.

– Dobry wieczór i dziękuję wszystkim za przybycie – powiedział. – To zawsze cieszy, gdy mieszkańcy czynnie włączają się w bieżące sprawy miasta. Chcemy poznać wasze zdanie i mam tylko nadzieję, że wystarczy nam czasu na wysłuchanie wszystkich chętnych. Zgodnie ze zwyczajami panującymi w komisji nasza publiczna sesja będzie miała uporządkowany i cywilizowany przebieg. Zabronione jest buczenie, gwizdanie i wznoszenie okrzyków, niedopuszczalne jest też głośne wyrażanie poparcia lub sprzeciwu. Nie wolno w jakikolwiek publiczny sposób protestować, chyba że w ramach oficjalnego wystąpienia z mównicy. Naszą sesję rozpoczniemy od formalnego zaprezentowania projektu znanego powszechnie pod nazwą obwodnicy Red Creek. Prezentacji dokonają przedstawiciele stanowego Wydziału Ruchu Drogowego. Członkowie komisji będą mogli zadawać im pytania i wdawać się z nimi w polemikę. Potem, na ile czas nam pozwoli, wysłuchamy głosów naszych obywateli.

Z miejsc za komisarzami podniosła się grupka mężczyzn w ciemnych garniturach i stanęła półkolem za mównicą. Jeden z nich podszedł do mikrofonu, przedstawił się jako rzecznik stanowego Wydziału Ruchu Drogowego i zaczął czytać długie i nudne wprowadzenie do tematu. Po dziesięciu minutach słuchacze odnieśli wrażenie, że jego wystąpienie może

się nigdy nie skończyć, i atmosfera na sali wyraźnie siadła. Mówca przekazał głos ekspertowi od badań nad natężeniem ruchu kołowego, a ten zasypał słuchaczy lawiną liczb.

Dorośli zwykle próbują słuchać nudnego odczytu, dzieci nawet się nie starają, bo wykracza to poza ich możliwości. Theo był zmęczony oddychaniem przez maskę i śmiertelnie znudzony. Jakiś dorosły obok mruknął pod nosem, nawet nie ścisząc głosu:

– Chcą nas zanudzić na śmierć, żebyśmy sobie poszli. To stary numer.

– No właśnie – dorzucił sąsiad. – A do tego zaczynają o ósmej wieczorem. Powinni byli zacząć dużo wcześniej.

Szum na sali coraz bardziej się wzmacniał, dzieci zaczynały się wiercić i wymykać do toalety. Gdy trzeci z mówców głosem idealnie monotonnym oświadczył, że drugie studium na temat ruchu kołowego będzie krótsze od pierwszego, ale chciałby, żeby słuchacze z uwagą go wysłuchali, po audytorium przetoczył się jęk. Niekiedy któryś z członków komisji zadawał pytanie, co nieco ożywiało prezentację, ale większość czasu wypełniały ciągnące się w nieskończoność referaty kolejnych ekspertów z Wydziału Ruchu Drogowego, którzy mówili tak, jakby mieli nigdy nie skończyć. Było już po dziewiątej, ale nic nie zapowiadało końca gładzenia. Na wielkim ekranie pojawiały się i znikwały mapy i plany – te same, które od tygodni można było oglądać w gazecie i inter- necie. Nie pokazano nic nowego.

Zniecierpliwienie na widowni narastało, ale jeszcze nikt nie wychodził. Mimo iż dla wielu dzieci zbliżała się pora spania, ich rodzice sprawiali wrażenie zdecydowanych zostać tu do skutku. Najwyżej dzieci pójdą później spać. Sprawa obwodnicy była dużo ważniejsza.

Temperatura na sali gwałtownie wzrosła, gdy Chuck Cerroni, jedyny z pięciu członków komisji, który publicznie wypowiadał się przeciwko obwodnicy, wdał się w polemikę z ekspertem Wydziału Ruchu Drogowego. To rozsierdziło Lucasa Grimesa, zawziętego zwolennika budowy, i dwaj

członkowie komisji zaczęli sobie docinać. Różnica zdań i wzajemne złośliwości ożywiły nieco atmosferę, jednak tylko na chwilę. Komisarze umilkli, a na mównicę wszedł kolejny ekspert i rozpoczął swój referat.

Gdy wreszcie formalna prezentacja dobiegła końca, dochodziła już dziesiąta. Stak nachylił się do mikrofonu i powiedział:

– Dziękuję panom za bardzo wyczerpujące przedstawienie projektu. Zgodnie z podjętą wczoraj decyzją daję teraz rzecznikowi przeciwników obwodnicy piętnaście minut na przedstawienie stanowiska. O ile wiem, zadania tego podjął się pan Sebastian Ryan z Rady Ochrony Środowiska okręgu Stratten.

Po dwugodzinnych nudach widownia się ożywiła, jakby pojawienie się Sebastiana na mównicy spowodowało przypływ świeżej energii. Ryan przysunął sobie mikrofon i powiedział:

– Dziękuję panu przewodniczącemu i całej komisji, że zgodziła się nas wysłuchać. – Zrobił efektowną przerwę i mocnym głosem dodał: – Nie bawiąc się w subtelności, panowie, ta cała obwodnica to kompletny idiotyzm.

Sala powitała te słowa wybuchem radości przeciwników obwodnicy, którzy wreszcie mogli dać głos. Ludzie zaczęli pokrzykiwać i bić brawo z takim zapalem, że zaskoczyło to niemal wszystkich, a już na pewno komisję. Stak podniósł rękę i chwilę odczekał na uciszenie się publiczności.

– Dobrze, już starczy. Proszę panować nad emocjami. Jeżeli nie potraficie zachować spokoju, będziemy musieli prosić o opuszczenie sali. – Mówił spokojnym, pozbawionym agresji tonem. Miał w tych sprawach doświadczenie i umiał się znaleźć.

Widownia powoli się uspokajała, jednak czuło się, że w każdej chwili może znów wybuchnąć. Znudzeni dorośli nie byli już znudzeni. Senne dzieci nie były już senne. Wszyscy zaczęli słuchać w napięciu, jak Sebastian Ryan punkt po punkcie rozprawia się z pomysłem obwodnicy.

Każdy jego argument brzmiał rozsądnie, przynajmniej dla Theo, który ani na chwilę nie odrywał wzroku od Sebastiana. Mówił mądrze i spokojnie, a dzięki bujnej brodzie i długim włosom wyglądał zdaniem Theo najfajniej ze wszystkich mówców. Sebastian należał do tego gatunku prawników, którzy unikają sal sądowych i poświęcają czas i energię sprawom ochrony środowiska. Chłopiec nigdy wcześniej nie myślał o takiej karierze dla siebie, ale w tym momencie chciał być jak Ryan. Czując lekkie zawstydzenie, zazdrościł Sebastianowi bycia w centrum uwagi.

Jednak nie wszyscy tak myśleli. Lucas Grimes i drugi z komisarzy, Buddy Klasko, zaczęli go nękać napastliwymi pytaniami. Już wcześniej było wiadomo, że Grimes należy do zagorzałych zwolenników obwodnicy, teraz okazywało się, że jest nim także Klasko. Jeśli przewodniczący Stak zagłosuje zgodnie z przewidywaniami, budowa obwodnicy uzyska poparcie trzech z pięciu członków komisji i jej zwolennicy zwyciężą.

Po półgodzinie zbijaniu napastliwych argumentów Sebastian Ryan zaczynał tracić cierpliwość i trudno się było temu dziwić. Panowie Grimes i Klasko stawali się w swoich wypowiedziach coraz bardziej agresywni i czepiali się niemal każdego słowa Sebastiana. Mający odmienne zdanie Cerroni starał się mu pomagać i chwilami wyglądało tak, jakby pięciu członków komisji spierało się między sobą i wzajemnie wytykało palcami. Publiczność źle to znosiła i przy szczególnie głupawych pytaniach odzywały się jęki i buczenie.

Zmagania Sebastiana na mównicy trwały już blisko godzinę, gdy nagle nastąpił dramatyczny zwrot. Korzystając z chwili stosunkowo spokojnej rozmowy, na widowni wstał czterdziestokilkuletni mężczyzna o wyglądzie robotnika i wrzasnął:

– Dość tego! Boicie się głosować czy jak?

Jego donośne słowa rozeszły się po całym audytorium, rozwalając ciężką atmosferę niczym rzucony granat. Widownia zareagowała okrzykami entuzjazmu i zachęty, z tyłu sali ktoś zaczął skandować „Gło-suj-cie! Gło-

suj- cie!”. Skandowanie podchwycili niemal wszyscy i już po chwili cała sala rozbrzmiewała chóralnym „Gło-suj- -cie! Gło-suj-cie!”.

Theo oczywiście też się włączył. Już dawno tak dobrze się nie bawił.

Sebastian i przewodniczący komisji wykazali w tym momencie rozsądek – pierwszy, schodząc z mównicy i wracając na miejsce, drugi, pozwalając tłumowi się wykrzyczeć. Dopiero po jakiejś minucie skandowania, od którego aż dzwoniły szyby, Stak podniósł rękę i z uśmiechem powiedział:

– Dziękuję. Proszę. Tak. Dziękuję. Proszę, siadajcie wszyscy.

Skandowanie ucichło, na sali jeszcze przez chwilę odzywały się pojedyncze głosy, w końcu wszyscy niechętnie usiedli i zapadła cisza. Kilkadziesiąt osób łącznie z Theo nie miało gdzie usiąść, więc stali nadal, jak przez ostatnie trzy godziny.

– Proszę, żadnych więcej demonstracji – rzekł Stak. – Nasz regulamin każe nam głosować i na pewno to zrobimy. Proszę tylko o cierpliwość.

W niemal kompletnej ciszy Stak wziął do ręki kartkę, zmarszczył twarz i oświadczył:

– Z listy nazwisk wynika, że do głosu zapisało się dziewięćdziesiąt jeden osób. – Po sali przetoczył się jęk. Na zegarze było pięć po jedenastej. – Zwykle kiedy jest tak wielu mówców, czas wystąpień ograniczamy do trzech minut. Dziewięćdziesiąt jeden razy trzy to trochę ponad dwieście siedemdziesiąt minut, czyli, inaczej mówiąc, cztery i pół godziny. Nie jestem pewny, czy chcemy tak długo tu siedzieć.

– Zawsze możemy zmienić regulamin, nie? – wtrącił Grimes.

– To prawda, mamy do tego prawo – potwierdził Stak.

– To proponuję skrócić listę mówców.

To wywołało kolejną ożywioną dyskusję w gronie pięciu członków komisji. Stracili dziesięć minut na spieranie się, jak najlepiej zaoszczędzić czas, po czym Sam McGray, najstarszy i najbardziej małomówny z całej piątki, zaproponował, by listę ograniczyć do pięciu mówców i przydzielić

każdemu po pięć minut. To pozwoliłoby wysłuchać wystarczająco dużo wypowiedzi i zakończyć posiedzenie przed północą. Wspomnił też o tym, o czym wszyscy wiedzieli: że wielu mówców i tak powtarzałyby te same argumenty. Pozostali czterej w końcu się zgodzili i regulamin został od ręki zmieniony. Stak zaapelował do zabierających głos, by zechcieli we własnym gronie uzgodnić, kto co zamierza powiedzieć. To oczywiście wywołało lekkie zamieszanie na sali i na zegarze upłynęły kolejne minuty.

Gdy wreszcie pierwszy z mówców stanął na mównicy, dochodziło wpół do dwunastej. Był elegancko ubranym przedsiębiorcą i popierał pomysł obwodnicy. Jego wystąpienie nie zawierało nic nowego: korki na Battle Street spowalniają ruch; szosa numer 75 jest główną trasą dla całego stanu; dalszy rozwój gospodarczy zależy od powstania obwodnicy i tak dalej. Po nim zabrał głos ojciec Hardiego, który występując w imieniu właścicieli gruntów leżących na trasie projektowanej obwodnicy, potępił nadużywanie prawa do przymusowego wywłaszczenia na cele publiczne. Jako kaznodzieja przywykł do wygłaszania kazań i jego wystąpienie było zgrabnie skonstruowane. Właściciel firmy hydraulicznej wypowiedział się za powstaniem obwodnicy, bo w firmie miał osiem ekip wykonawczych, które przemieszczały się ośmioma półcią- żarówkami i wieczne korki bardzo utrudniały prawidłowe funkcjonowanie.

Theo siedział zasłuchany i nawet nie zauważył, gdy obok niego pojawił się Sebastian Ryan.

– Theo, zdejmij na chwilę maskę – szepnął, nachylając się chłopcu do ucha.

Theo zsunął maskę i spojrzał wyczekująco na Sebastiana.

O co chodzi?

Sebastian był podenerwowany, co jak na niego było dość niezwykłe.

– Theo, uważamy, że powinieneś zabrać głos w imieniu dzieci. – Chłopiec poczuł ostre ukłucie strachu, po plecach przebiegł mu zimny

dreszcz, szczęka opadła i przez chwilę nie mógł wydusić z siebie ani słowa.
– Zabierzesz głos jako ostatni. Skrzyknijemy całą gromadę i w drodze do podium będzie ci towarzyszył tłum dzieci, które będą milcząco wpatrywały się w komisję. Musisz to zrobić, Theo.

– Nie dam rady – jęknął Theo, czując, że w ustach już mu zaschło.

– Jasne, że dasz. Doszło do nas, że komisja i wielu innych chciałoby zobaczyć autorów tego wideo. Czyli ciebie, Theo.

Rozdział 28

Miał wrażenie, że każda z jego nóg waży tonę. Idąc środkowym przejściem w stronę podium i siedzących na nim członków komisji z ponurymi twarzami, Theo uzmysłowił sobie, że nie wie, co ma powiedzieć. Nie zdążył nic przygotować. Ani jednego słowa. Był przerażony, sparaliżowany tremą, miał trudności z oddychaniem i myślał tylko o tym, żeby stąd uciec i gdzieś się ukryć. Po lewej, tuż obok przejścia mignęła mu znajoma twarz. Major, z dumnym uśmiechem na twarzy i dłonią zaciśniętą w pięść, jakby mówił: „Dawaj, Theo. Pokaż im wszystkim!”.

Czuł, że za nim zbiera się cała gromada. Słyszał szmer kroków i kątem oka widział dzieci schodzące się z lewej i prawej do środkowego przejścia. Dochodząc do podium, miał za sobą już cały tłum. Dziesiątki, może setki dzieci w różnym wieku, wszystkie w groźnych żółtych maskach. Maluchy z zerówki i pierwszych klas podstawówki Jacksona, starsze dzieci ze szkoły Hardiego i Theo. Zwarta żółta gromada ustawiła się przed podium i wszyscy wlepili wzrok w komisję.

Theo niechętnie wszedł na mównicę, sięgnął po mikrofon i powoli ściągnął go niżej, rozpaczliwie szukając w głowie czegoś do powiedzenia. Na sali zapadła cisza. Podziw dla odwagi dzieci uciszył rozgadany tłum dorosłych.

Theo starał się przywołać na pomoc całe doświadczenie ze szkolnych debat, jednak w tej pełnej napięcia chwili pamięć go zawodziła. Był sztywny ze strachu i nigdy nie czuł takiej tremy. Po paru sekundach przerażającej ciszy stało się jasne, że nikt nie przyjdzie mu z pomocą i nie

zacznie mówić zamiast niego. Odchrząknął, ściągnął z twarzy żółtą maskę i kamiennym głosem wydusił:

– Nazywam się Theo Boone i chodzę do ósmej klasy Gimnazjum Strattenburskiego.

Chyba chcąc go ośmielić, odezwał się komisarz Cerroni.

– To ty nakręciłeś to wideo na YouTube, tak?

– Tak, proszę pana, ja i paru kolegów.

To wywołało głośną owację na sali, co kompletnie zaskoczyło chłopca. Popatrzył na widownię, zobaczył, że ludzie wstają, biją brawo i pokrzykują, i uśmiechnął się. Według najświeższych danych ich fdmik miał już ponad sto tysięcy odsłon i Theo pomyślał, że sądząc po reakcji, wszyscy na sali je widzieli, może nawet więcej niż raz.

Gdy owacja ucichła i wszyscy usiedli, komisarz Cerroni powiedział z uśmiechem:

– No cóż, kolego Boone, dziękujemy za ten film. – Żaden inny członek komisji nie przyłączył się do podziękowań i tylko Sam McGray nieoczekiwanie zapytał:

– Czy to ty jesteś tym chłopcem z psem?

– Tak, proszę pana.

– Jeśli dobrze pamiętam twoje słowa w gazecie, ludzi chcących zbudować obwodnicę nazwałeś bandą drani czy jakoś tak?

Na sali zabrzmiały pojedyncze gwizdy tych, którym nie spodobała się zaczepność tego pytania i chcieli to okazać. Theo uświadomił sobie, że bycie dzieckiem daje mu pewną przewagę. Członkowie komisji nie mogą sobie pozwolić na traktowanie go niegrzecznie czy napastliwie. W końcu ma dopiero trzynaście lat.

– Nie, proszę pana – odrzekł chłodno. – Draniami nazwałem tych, którzy skatowali mi psa.

McGray pokiwał głową i nie próbował ciągnąć tego dalej.

– A jak się czuje twój pies? – spytał Cerroni.

– Coraz lepiej, dziękuję. – Kilka osób na widowni zaklaskało.

– Czy możemy wreszcie zacząć? – rzucił poirytowanym tonem Grimes. Miał już dość patrzenia na tych smarkaczy w żółtych maskach i żółtych bandanach na głowach.

Stak przejął pałeczkę przewodniczącego i powiedział:

– Udzielam wam głosu, kolego Boone. Nie dłużej niż pięć minut – dodał, świdrując Theo swymi czarnymi oczami.

Theo trudno było wytrzymać jego wzrok. Trudno mu też było oddychać, myśleć i robić cokolwiek poza staniem i kurczowym ściskaniem bocznych krawędzi mównicy. Czas mijał, wszyscy czekali, a on czuł, że chyba za chwilę zemdleje.

Jednym z trudniejszych ćwiczeń pana Mounta podczas przygotowań do debat było tak zwane mówienie spontaniczne, czyli publiczne zabieranie głosu bez notatek i wcześniejszego przygotowania. W trakcie tego ćwiczenia obie strony przystępowały do debaty, nie wiedząc, co będzie jej tematem i czego mają się spodziewać. Pan Mount ogłaszał temat debaty i obie strony miały pięć minut na obmyślenie inteligentnych wypowiedzi za i przeciw. Nauczyciel pouczał ich, że najważniejsze w takim przypadku jest znalezienie osobistych odniesień do tematu. Czyli takich, o których da się coś więcej powiedzieć.

Theo spojrzął na swojego sojusznika Cerroniego i zaczął mówić:

– Moi rodzice są prawnikami i mam szczęście, że mogę wiele godzin dziennie spędzać w ich biurze. Właściwie tam się wychowałem i wielu rzeczy nauczyłem. Czytałem dużo o przymusowym wywłaszczeniu na cele publiczne, czyli zabieraniu przez władze prywatnej własności komuś, kto nie chce jej sprzedać. W naszym kraju prawo do prywatnej własności jest jednym z podstawowych praw, posiadanie własnej ziemi jest marzeniem Większości Amerykanów i sporej części udaje się to marzenie zrealizować.

– Kłopoty z oddychaniem ustępowały, Theo zaczął oddychać równomiernie, a słowa nabierały równego, spokojnego rytmu. Nadal był przerażony, ale udawało mu się tego nie okazywać. Pamiętał wciąż powtarzane rady pana Mounta: „Mówcie powoli. Mówcie wyraźnie. Mówcie z przekonaniem”.

Publiczność zachęcająco milczała. Mów dalej, Theo.

– Z przymusowego wywłaszczenia wolno korzystać jedynie w ostateczności. A tu nie mamy do czynienia z ostatecznością. Obwodnica nie jest nieodzowna dla naszego życia w Strattenburgu. Można założyć, że bez obwodnicy życie będzie się toczyło tak samo jak dotąd. Jej zbudowanie może przynieść korzyści niektórym, ale większość mieszkańców nawet by tego nie zauważyła. Czyli w rozumieniu prawa obwodnica nie jest czymś nieodzownym. A jeśli tak, władzom nie wolno zabierać prywatnej własności na mocy prawa do wywłaszczenia na cele publiczne. I czemu miałyby to robić? – Zrobił pauzę dla podkreślenia wagi słów, które wyczytał w pewnym orzeczeniu Sądu Najwyższego i które właśnie sobie przypominał. – To, że władza jest silna i bogata, jeszcze nie znaczy, że ma prawo odbierać obywatelom ich własność.

Strzał był celny i publiczność zareagowała kolejnym wybuchem entuzjazmu.

Theo znalazł już właściwy rytm i pewność siebie, i przez chwilę pławił się w atmosferze powszechnego poparcia. Przystąpił z nogi na nogę, jak to robią wszyscy słynni adwokaci, kiedy na sali sądowej zwracają się do ławy przysięgłych, i nawet poczuł żal, że nie może tak jak oni przespacerować się tam i z powrotem wzdłuż barierki, musiał jednak pamiętać o mikrofonie. Patrząc na przyjaźnie uśmiechniętego Cerroniego, ciągnął dalej:

– Słyszeliście wszyscy słowa pastora Quinna, który opowiadał o swojej rodzinnej farmie. No więc powiem wam, że na niej byłem. Hardie Quinn jest moim kolegą i jednym z autorów naszego wideo. Wychował się na tej farmie, w pięknym czterdziestohektarowym gospodarstwie w miejscu, w

którym każdy z nas chciałby mieszkać. Jest tam wszystko – gęsty las, w którym można polować, potoki i strumienie, w których można łowić ryby, rzeka, po której można pływać łodziami i tratwami, otwarte pastwiska, z których można zbierać siano, i całe kilometry tras, po których można chodzić lub jeździć konno. Na jednym z drzew jest domek, na farmie jest stodoła, stajnia, szopa na traktor i narzędzia, rodzinny cmentarz i stary wiejski dom mieszkalny, w którym Quinnowie spędzają wszystkie święta i większość weekendów. Na ganku przed domem od lat siadywały pokolenia Quinnow, żeby napić się mrożonej herbaty i porozmawiać o życiu. Na podwórzu za domem odbywały się wesela i pogrzeby, a co roku czwartego lipca pieczono prosiaka. I wyobraźcie sobie – spróbujcie to sobie wyobrazić – że na polecenie władz wjeżdżają tam buldożery i wszystko zrównują z ziemią. Nie wolno do tego dopuścić.

Kilka osób na widowni głośno dało wyraz poparciu.

Pięciu członków komisji wpatrywało się w Theo, ani na chwilę nie odrywając od niego wzroku.

– Byłoby to nadużyciem władzy – dodał, wymierzając kolejny celny cios.

Zmienił rytm i ton i zaczął mówić lekko podniesionym głosem:

– Mądrale, którzy wymyślili tę obwodnicę, uważają za dobry pomysł to, żeby dwadzieścia pięć tysięcy pojazdów na dobę przejeżdżało tuż obok szkoły podstawowej i boisk piłkarskich. Z tej liczby co najmniej dziesięć tysięcy to wielkie ciężarówki z silnikami Diesla. Ponieważ nikomu nie chciało się dokonać szczegółowych badań nad zanieczyszczeniem przez nie powietrza, nikt z nas, przepraszam, nikt z was nie wie, czego mamy się spodziewać. Absolutnie nikt. Ale choć jestem tylko dzieckiem-prawnikiem, a nie dzieckiem-naukowcem, nawet ja wiem, że szkoła to ostatnie miejsce na ziemi, obok którego powinna przebiegać ruchliwa, czteropasmowa droga szybkiego ruchu.

Stojący za nim Hardie, Woody, Chase i April jak na dany znak zaczęli zanosić się kaszlem i krztusić. Reszta dzieci natychmiast to podchwyciła i

przez kilkadziesiąt sekund cała okutana na żółto gromada zaczęła kaszleć i charczeć w rzekomym napadzie duszności od dieslowskich spalin.

– Dobrze już, dobrze – powiedział Stak, unosząc rękę w geście „stop”.

Kaszel i charczenie w jednej chwili ustały i ten dobrze wyreżyserowany spektakl rozbawił nie tylko publiczność, ale także większość członków komisji i ich asystentów.

– Na szczęście moja szkoła nie sąsiaduje z planowaną obwodnicą – mówił dalej Theo – ale pozwólcie, że coś wam o niej opowiem. W ciągu minionych dwóch miesięcy dyrekcja szkoły musiała zrezygnować z niektórych zajęć, rozwiązać umowy z kilkoma instruktorami, zwolnić kilku trenerów, woźnych i pracowników stołówki oraz odwołać planowane wycieczki. Tak się dzieje we wszystkich szkołach w naszym okręgu. Dlaczego? Bo nastąpiły cięcia budżetowe. Do kasy miejskiej wpływa za mało pieniędzy. I nie chodzi tylko o szkoły. W policji i straży pożarnej też są zwolnienia. Obcięto fundusze na konserwację ulic, wywóz śmieci, utrzymanie parków i terenów rekreacyjnych, na wszystko. Wiecie to sami, bo wam też kazano zrobić oszczędności w budżecie okręgu. – Znów na chwilę przerwał, szykując się do zadania końcowego sztychu. – Jak możecie, jako przywódcy naszej lokalnej społeczności, jedną ręką obcinać budżety, a drugą głosować za wydaniem dwustu milionów dolarów na zbudowanie obwodnicy, która prowadzi donikąd?

Na sali wybuchł głośny aplauz i w ciągu paru sekund wiwatujący wstali z miejsc. Owacja nie tylko nie cichła, ale na widok robiącego krok do tyłu Theo jeszcze się wzmogła. Stak podniósł rękę, wzywając do zachowania spokoju, jednak nikt nie zwracał na niego uwagi. Zresztą, cóż mógł im zrobić? Aresztować kilkusetosobowy tłum? Na szczęście zachował tyle rozsądku, by znieruchomieć i z ponurą miną słuchać wiwatów. Na krótki moment jego wzrok skrzyżował się ze wzrokiem Theo. Obaj znali prawdę.

Theo miał świadomość, że jego krótka improwizacja osiągnęła cel. Pan Mount zawsze im powtarzał, że najlepiej skończyć, gdy jest się u szczytu.

Wielu mówców traci słuchaczy tylko dlatego, że nie umieją skończyć i mówią za długo. Poza tym Theo był szczęśliwy, że udało mu się dobrnąć do końca i właściwie nie miał już nic więcej do powiedzenia. Gdy owacje na sali w końcu przycichły, podszedł do mikrofonu, skinął głową i powiedział:

– Dziękuję państwu.

– Dziękuję, kolego Boone – rzekł Stak. Dochodziła już północ. Theo był ostatnim mówcą zapisanym do głosu i w porządku obrad zostało już tylko głosowanie nad obwodnicą. Widać było, że nikt na sali nie ruszy się z miejsca, póki komisja nie zagłosuje. Przystrojone na żółto dzieci nie tylko nie wracały na miejsca, ale jeszcze bardziej przysunęły się do podium, po czym wszystkie chwyciły się pod ręce i usiadły na podłodze.

– Możecie wracać na miejsca – powiedział Stak, ale dzieci pokręciły przecząco głowami. Nie miały zamiaru ustępować.

Jakiś krzykacz z tyłu sali wrzasnął „Chcemy głosowania!” i to natychmiast uruchomiło następną rundę skandowania „Gło-suj-cie! Gło-suj-cie!”. Mury aż drżały od chóralnego krzyku i widać było, że na członkach komisji robi to wrażenie. Wszyscy wyglądali na lekko podenerwowanych i zbitych z tropu. Woleliby –jak to mieli w zwyczaju – wycofać się do salki na zapleczu, spokojnie wszystko uzgodnić i dopiero wtedy przystąpić do publicznego głosowania. Jednak dziś było to niemożliwe. Nie pozostawało im nic innego, jak rozpocząć głosowanie.

Stak podniósł rękę i raz jeszcze udało mu się zapanować nad rozkrzyczaną salą.

– Doskonale – oznajmił. – Zgodnie z regulaminem komisji przystąpimy teraz do głosowania. Pani sekretarz, zechce pani poddać wniosek pod głosowanie.

– Naturalnie. Stwierdzam, że cała komisja jest w komplecie i wszyscy jej członkowie mają prawo głosu. Głosujemy, mówiąc „tak” za zbudowaniem obwodnicy lub „nie” przeciwko jej powstaniu. Pan Stak?

– Tak.

– Pan Grimes?

– Tak.

– Pan Cerroni?

– Nie.

– Pan McGray?

McGray siedział z zasepioną miną, gładząc w zadumie siwe wąsiska. Jeszcze chwilę pomilczał, po czym lekko ochrypłym głosem powiedział:

– Nie.

Theo dołączył do grupy siedzącej na podłodze, trzymając pod ramię Hardiego z jednej i April z drugiej strony. Miał wrażenie, jakby w tym momencie wszyscy wstrzymali dech. Nadszedł kluczowy moment i sprawy nie wyglądały najlepiej. Wynik głosowania wynosił dwa do dwóch, został już tylko pan Klasko, a on w swych wystąpieniach dawał wyraźnie do zrozumienia, że jest za obwodnicą.

– Pan Klasko?

Klasko sztywno się wyprostował i odrzucił głowę do tyłu. Przejechał dłonią po ustach, wyciągnął szyję, jakby miał trudności z oddychaniem, i znękany głosem powiedział:

– Wstrzymuję się od głosu.

Mitchell Stak i Lucas Grimes spojrzeli na Buddy'ego Klasko ze zdumieniem, ale on nie patrzył na nikogo. Siedział ze wzrokiem utkwionym w oknie, jakby szykował sobie drogę ucieczki. Przez tłum przebiegł nerwowy gwar, bo nikt nie był pewien, co to znaczy.

Jednak pani sekretarz nie miała wątpliwości, bo spokojnym głosem oznajmiła:

– Wynik głosowania dwa głosy za, dwa głosy przeciwko i jeden wstrzymujący się, co oznacza, że wniosek o budowę obwodnicy Red Creek

zostaje niniejszym oddalony z braku poparcia większością głosów.

Jej słowa wywołały burzliwą owację na widowni. Dzieci zerwały się z podłogi i zaczęły radośnie podskakiwać i wykrzykiwać. Ich rodzice obejmowali się, wzajemnie sobie gratulując i potrząsając pięściami w geście triumfu.

Pośród ogólnego tumultu członkowie komisji w milczeniu wstali i zaczęli zbierać papiery, szykując się do wyjścia. Eksperci z Wydziału Ruchu Drogowego i towarzyszący im zwolennicy obwodnicy chwycili teczki i hurmem ruszyli do najbliższych drzwi.

Posiedzenie zostało oficjalnie zamknięte, ale nikt nie śpieszył się do wyjścia. Dzieci obstały podium, na którym uśmiechnięty Theo Boone przeżywał chwilę największego triumfu w życiu.

Rozdział 29

Piknik zaplanowano na drugą po południu w sobotę, następnego dnia po publicznej sesji komisji. Organizacją zajął się skrzyknięty w pośpiechu rodzinny klan Quinnów, który stawił się niemal w komplecie. Wśród zaproszonych gości znaleźli się sąsiedzi, których posiadłości też były zagrożone przez obwodnicę, przeciwnicy budowy w rodzaju Sebastiana Ryana i członków Klubu Sierra oraz nazywana przez wszystkich „żółtym gangiem” gromada dzieci, które odegrały tak ważną rolę w walce z obwodnicą. W piękne słoneczne popołudnie zeszli się wszyscy na wielkim podwórzu za domem, gdzie tyle pokoleń Quinnów spotykało się na różnego rodzaju uroczystościach.

Dziadek Hardiego, pan Silas Quinn, rządził olbrzymim grillem, na którym piekły się porcje kurczaków, kiełbasy, parówki i żeberka, i od którego na całe podwórze niósł się soczysty, smakowity aromat. Czasami niebieskawy dym znad grilla przypominał komuś o świecach dymnych Theo i wybuchały radosne śmiechy. Babcia Hardiego, pani Beverly Quinn, zawiadywała długim stołem, na którym znalazły się różne pyszności: fasolka, sałatka coleslaw, domowe zapiekanki, jajka faszerowane, kolby kukurydzy – wszystko w takich ilościach, że wystarczyłoby do nakarmienia całej armii.²⁵¹⁹

Nie zabrakło też oczywiście Theo, jego rodziców i Asesora, któremu złamana noga niemal się już zrosła. Usztynienie zostało zdjęte i Asesor hasał radośnie w gronie kilkunastu innych psów. Woody, Chase, April i kilkoro innych bawiło się frisbee, ich rodzice siedzieli ze szklankami mrożonej herbaty i wspominali wydarzenia ze zwycięskiej kampanii.

Cała impreza odbywała się pod hasłem świętowania odniesionego zwycięstwa. Quinnowie byli ogromnie wdzięczni za pomoc w uratowaniu ich ukochanej farmy i nie przestawali gorąco wszystkim dziękować. Gdy nadeszła pora posiłku, goście zgromadzili się wokół długiego stołu i ojciec Hardiego, wielebny Charles Quinn, wygłosił

dziękczynną modlitwę. Podziękował w niej wszystkim, zwłaszcza starym i nowym przyjaciołom, którzy pomagają innym w potrzebie.

Theo stał ze spuszczoną głową, zerkając ukradkiem na Asesora, którego pewnie aż skręcało z głodu, ale który chyba też w tej chwili odmawiał swoją psią modlitwę dziękczynną.



© Bob Krasner

www.facebook.com/JohnGrisham

JOHN GRISHAM. Współczesny pisarz amerykański, autor 30 powieści, w tym czterech dla młodzieży, fabularyzowanego reportażu oraz zbioru opowiadań. Jego książki ukazują się w 40 językach, a ich łączny nakład osiągnął 275 milionów egzemplarzy. Dziewięć z nich zostało zekranizowanych. W 2011 pisarz otrzymał prestiżową nagrodę literacką Harper Lee.

www.jgrisham.com

Mając prawo po swojej stronie, Theo Boone zawsze wychodził obronną ręką z prawniczych kłopotów, zapewniając jednocześnie triumf sprawiedliwości. Ale co robić, gdy prawo ewidentnie wspiera brudne interesy – kontrowersyjną, budzącą wielkie emocje budowę czteropasmowej obwodnicy miasta, która negatywnie odbije się na leżących w jej pobliżu budynkach, szkołach i obiektach użyteczności publicznej? W tej sytuacji sądy nie mają nic do powiedzenia: ostateczna decyzja budowlana leży wyłącznie w rękach wpływowych urzędników. Za obwodnicą są firmy budowlane i transportowe, wpłacające duże kwoty na fundusze wyborcze miejscowych polityków. Do jej zwolenników należy też ojciec Theodore'a, działający w imieniu bogatego dewelopera, planującego zakup 80 hektarów ziemi w pobliżu autostrady. Theo musi znaleźć sposób, aby ocalić przed wywłaszczeniem farmę należącą do ojca szkolnego kolegi. I to sposób zgodny z prawem. Zadanie wydaje się beznadziejne do momentu, gdy Boone natrafia na dokumenty stanowiące niezbitą dowód, iż chodzi o przekręt na miliony dolarów...

Polecamy poprzednią powieść z Theodore'em Boone

OSKARŻONY

Ostatnią rzeczą, jakiej spodziewał się Theo Boone, to zostać wrobionym w przestępstwo. Ktoś włamał się do sklepu komputerowego, skradziono sprzęt. Dowody jednoznacznie wskazują na Theo; w oczach policji jest głównym podejrzanym. Co będzie, jeśli sąd uzna go za winnego? Czy kiedykolwiek spełni się wtedy jego marzenie - pójść śladami rodziców i w przyszłości zostać sędzią lub adwokatem? Zawieszony w prawach ucznia chłopak musi udowodnić swoją niewinność, nawet jeśli oznaczać to będzie złamanie paru przepisów. Ktoś celowo rozsiewa w internecie informację, że Theo jest złodziejem. Jaki ma w tym cel? Co łączy te pomówienia ze sprawą oskarżonego o zabójstwo żony Pete'a Duffy'ego, który zniknął tuż przed procesem? Wydelegowany przez szkołę Boone miał właśnie przysłuchiwać się jego rozprawie z udziałem kluczowego świadka...

Przypisy

[1](#) Veterans of Foreign Wars (Weterani Wojen Zagranicznych) – organizacja kombatancka, tu w znaczeniu miejsca odbywania zbiórek skautów

[2](#) Butt (ang.) – tyłek.

[3](#) Historię tę przedstawiono w powieści Theodore Boone: Oskarżony

[4](#) To również historia z Theodore Boone: Oskarżony.

Theodore Boone jest bohaterem serii powieści Johna Grishama liczącej cztery tytuły: **Młody prawnik**, **Urowadzenie**, **Oskarżony** i **Aktywista**. Jak żartobliwie wypowiada się o niej sam pisarz, to jego odpowiedź na cykl książek o Harrym Potterze. Boone jest uczniem gimnazjum w Strattenburgu, synem pary adwokatów, który o prawie wie więcej niż większość dorosłych. Choć ma dopiero trzynaście lat, na sali sądowej spędza nie mniej czasu niż na boisku. Spraw, którymi się zajmuje, z pewnością nie można zaliczyć do błahych – to uprowadzenie, kradzież, a nawet morderstwo. Czy Theo sam w przyszłości zostanie sędzią lub adwokatem? Czas pokaże...